



PATROL Philip Mac Donald

PATROL

Angielski thriller wojenny Arcydzieło gatunku

...Co myślicie o naszym położeniu? — Spojrzał pytająco na Browna.

— Niewyraźnie — odparł olbrzym. — Pieknie niewyraźnie.

Wachmistrz spojrział na Morellego.

— Nie wiem, co myśleć — odrzekł eks-tancerz.

— Nic nie rozumiesz?

— Przepadliśmy — wtrącił Abelson. — Tak myślę. Psia...!

— Powiem wam, co wiem — rzekł wachmistrz.

Nim przemówił, upłynęła długa chwila.

— Nie wiem nic — rzekł w końcu. — Będę z wami szczery. Nie wiem, gdzie się znajdujemy. Nie wiem, dokąd mieliśmy się udać. Nie wiem, gdzie jest brygada, nie wiem, dokąd się przesunęła. Mam kompas i mapę, ale chyba rozumiecie, że w tych okolicznościach nic nam nie pomoże ani kompas, ani mapa.



Philip Mac Donald

PATROL

przełożyła Janina Sujkowska

WYDAWNICTWO

Białystok 1991

Opracowanie graficzne i redakcja

KRZYSZTOF TUR

Copyright by Witold Sujkowski 1991

ISBN 83-85183-08-6

Wydawnictwo „Łuk”

Spółka z o.o. Białystok 1991.

Wydanie pierwsze powojenne.

Ark, wyd. 7; ark, druk. 8,5.

Druk i oprawa

Białostockie Zakłady Graficzne

Zam. 1592/90

I

— Sam nie wiem, co z nim zrobić — rzekł półgłosem wachmistrz. Głowa, która mu spoczywała na kolanie, obsunęła się trochę i w kątach ust ukazała się nagle krwawa piana.

— Hm! — mruknął — Bell!

Stojący obok kapral ukląkł na ziemi i przyjrzał się uważnie zgasłej twarzy.

— Gotowy — rzekł.

Wachmistrz uwolnił swoją prawą rękę i sięgnął pod mundur zabitego młodzieńca. Przez chwilę słuchał z napięciem, po czym cofnął rękę i odpowiedział:

— Tak. Szkoda! Dobry był chłop, choć nie żołnierz.

Złożył ostrożnie ciało na piasku, wytarł rękę o bryczesy i zaczął wypróżniać metodycznie kieszenie munduru poległego oficera.

Kapral wstał i otrzepał delikatny, popielaty piasek z prawej nogi.

— Pójdę po łopatki — rzekł. — Mam zawołać ludzi? Dwóch — trzech?

— Tak — odpowiedział wachmistrz nie podnosząc oczu. Układał porządnie w małe kupki zawartość kieszeni zabitego oficera.

Kapral Bell odwrócił się i poszedł wolnym, leniwym krokiem do czekających w odległości dwudziestu jardów ośmiu kawalerzystów, stanowiących resztę patrolu. Stali oni i siedzieli w niedbałych pozach, przy czym każdy trzymał za cugle swego konia. I na ludziach i na koniach widać było tępe znużenie. Tak, jakby prażące z nieba słońce miało ważkie promienie i wgniatało ich w piasek.

Kapral podszedł do otepiałej z upału grupy.

— Morelli. Pearson, Brown — rzekł — oddać szkapy Hale'owi, odłożyć karabiny i wziąć łopatki.

Trzej żołnierze wstali i oddali wierzchowce czwartemu, który zniknął wśród ruchomego pierścienia koni, dając o sobie znać wybuchami nosowej, żargonowej, żalosej, sprośnej goryczy.

— Co się stało, panie kapralu? — Z gromadki wynurzył się olbrzymi szeregowiec, obracając w rękę małą, dziwnego kształtu łopatkę. — Co się stało? — powtórzył.

— Porucznik poległ — odpowiedział kapral. — Na przestrzał przez lewe płuco. — Podniósł głos. — Hej, wy tam! Co się tak ociągacie? Piorunem, psiakrew! Brown już jest!

Od oddziałku oderwali się dwaj mali żołnierze; Pearson, ślaniający się i powłóczący nogami, z twarzą zlaną potem; Morelli krępy, rzeński i ochoczy.

Kapral obrzucił ich wzrokiem.

— Za mną, grabarze! — zakomenderował i poszedł przodem.

— Co się stało? — Morelli zadarł wysoko głowę i spojrzał na Browna. — Czy mamy wykopać wygodne łóżko dla podporucznika Jego Królewskiej Mości, A, de C.G. Hawkinsa?

— Cholernie wygodne! — odparł Brown. — Już on z niego nie wstanie.

— Co? — Pearson podniósł do góry drobną, zmizerowaną twarz.

Brown spojrzał na niego z wyżyny swego wzrostu. — Porucznik nie żyje — odpowiedział. — Nasz dowódca nie żyje. Jesteśmy jego grabarzami. Rozumiesz, Pansy?

— Zamknij pysk! — mruknął Pearson, który włókł się ciężko ze zgarbionymi plecami.

— Nie pojmuję, psiakrew, skąd się ten pies tak nagle wziął. — Morelli przesunął hełm na czoło i podrapał się w tył głowy. — Skąd on się wziął?

— O mało go nie trafiłem za drugim wystrzałem — rzekł Brown. — Ale konia miał, psiakrew! Jak błyskawica, i był dobry strzelec. Bell mówi, że przeszył porucznikowi lewe płuco na wylot. — Umilkł. Zrównali się z wachmistrzem, stojącym nad martwym ciałem oficera.

— Gdzie? — zapytał kapral.

— Gdziekolwiek. Tylko śpieszcie się — odpowiedział z roztarznieniem, nie odwracając oczu od mapy.

Piasek był sypki. Trzej żołnierze pracowali w pocie czoła. Niebawem kapral orzekł, że dół jest dostatecznie głęboki i ciało podporucznika (na etacie porucznika) Artura de Courcy Grammonta Hawkinsa spoczęło w ziemi.

— Śpieszyć się! Śpieszyć! — naglił wachmistrz.

Jeszcze trzy łopatkę, i buty kaprala wyrównały gładko piasek.

— Czy oznaczymy jakoś to miejsce? — zapytał kapral.

Wachmistrz potrząsnął głową.

— Po co? — Podeszedł bliżej i przyjrzał się robocie. Udepczcie trochę piasek — rzekł.

Udeptali.

Wachmistrz spojrział ponownie i rzekł:

— Wystarczy. Bell, każ im wsiadać. — Rozwinął znów mapę.

— Morelli, dawaj tu moją kobyłę.

W trzy minuty później mały oddziałek jechał prawie dokładnie w kierunku północy, po dwóch w szeregu, w odległości dziesięciu jardów para od pary. Udeptany prostokąt, który znaczył przez chwilę grób poległego podporucznika, zawiął od razu lotny piasek i nie pozostał po nim żaden ślad, żaden znak. Na miejsce przyjechało jedenastu ludzi, a opuściło je dziesięciu. Jeden zszedł z listy.

II

Jechali godzinę: — dziesięć minut klusem, piętnaście truchtem, pięć odpoczynku i tak ciągle.

Po drugim odpoczynku, w trakcie kłusa, jadący przodem wachmistrz obrócił się w siodle.

— Kapral Bell! — zawołał.

Kapral dał ostrogę koniowi i zrównał się ze zwierzchnikiem. Wachmistrz milczał chwilę. W końcu rzekł, patrząc prosto przed siebie:

— Bell, wiesz, gdzie teraz jesteśmy?

— Nie — odparł kapral.

Wachmistrz zwrócił się doń twarzą.

— Bell, wiesz z czym nas wysłano?

— Nie — odpowiedział kapral.

— I ja nie wiem — roześmiał się wachmistrz.
— Co? — zapytał przerażonym głosem Bell.
— Słyszałeś — odrzucił tamten i wskazał głową w stronę, gdzie pochowali oficera. — Głupi smarkacz nie powiedział mi, jaki był rozkaz.

— Co? — krzyknął Bell, wyprężając się w siodle jak struna.
Wachmistrz potrząsnął głową.

— Ani słowa. Ani słóweczka. Pytałem go z pięć razy. Za każdym razem odpowiadał, że dobrze, że musi to zrobić, a ostatnim razem powiedział: „Jutro!” Jutro! — Starszy podoficer chrząknął i splunął z pasją w piasek. — Jutro! Ot, i mamy jutro! Piękne jutro, nie ma co gadać!

Kaprał potarł się po nieogolonej brodzie, przesuając w górę i na dół podpinkę hełmu. Broda ta wyglądała jak niebieskie ściernisko.

— W jakim kierunku teraz jedziemy? — zapytał.

— Wykombinowałem to sobie, jak się dało najlepiej — odparł wachmistrz. — Jedziemy na północ, prosto jak strzełił. Jutro wieczorem powinniśmy się natknąć na rzekę. Oczywiście, jeżeli się nie mylę co do położenia miejsca, w którym ten młody głupiec odwalil kite.

— Możemy się natknąć na rzekę — rzekł wolno Bell — ale możemy się też natknąć na coś innego.

Wachmistrz wzruszył lekko ramionami.

— I cóż na to poradzę? — Ładny bigos — patrol niewiedzący, z czym go wysłano. Rozkaz został w głowie zabitego bębna. Powinni byli dać na papierze. W prawdziwym wojsku tak by zrobili. Cóż ja wiem? Tyle tylko, że brygada wczoraj, po naszym odmarszu, miała gdzieś wyruszyć i żeśmy się mieli z nią połączyć. Ale nie wiem, w którą stronę miała iść i gdzieśmy się mieli z nią spotkać.

Wargi kaprała złożyły się jak do gwizdnięcia. Potarł ponownie brodę, ale nie odpowiedział.

Jechali w zupełnym milczeniu może przez pięć minut.

— Ani słowa ludziom — rzekł w końcu wachmistrz. — Im później się dowiedzą, tym lepiej. — Podniósł ramię i nakazał marsz stępa. Jadąca za nim wąska, rzadko rozpostarta kolumna zwolniła tempa.

Prawie momentalnie chmury kurzawy piaskowej, owiewające pary jeźdźców, obniżyły się i przerzedziły.

Brown, jadący w pierwszym szeregu z Morellim, potarł wargi wpierv nagim przedramieniem, a potem skuteczniej brudną, lecz przynajmniej nie zapiaszczoną chustką do nosa.

— Dzięki Bogu! — rzekł.

— Ach! — zgodził się Morelli. — Choroba, nie można nawet spluć. Chryste! Krew ze mnie wyparuje. — Mówił z lekka amerykańskim akcentem, datującym się z tych dziewięciu miesięcy 1913 roku, kiedy jako męska, starsza połowa zespołu Morela i Morei tańczył w teatrzykach Nowego Jorku, Chicago i Pittsburga.

— Może jeden łyk? — zapytał niepewnie Brown, sięgając pożądliwie palcami do manierki z wodą.

— Lepiej nie — odpowiedział Morelli.

— Nie. — Brown cofnął niechętnie rękę od cugli.

Obaj jakby tknięci jedną myślą obejrzeni się za siebie. W odległości dziesięciu kroków za nimi jechał Hale. Nie miał towarzysza, lecz prowadził zapasowego konia, ubranego w juczne siodło dziwnego kształtu. Po obu stronach siodła, pod innymi bagażami, wisały na rzemieniach długie skórzane sakwy, podobne do belek.

— Pić nam się chce! — rzekł Morelli.

— Uf! — odkrzyknął Hale. — Czego się umartwiacie? U mnie już po wodzie!

— Hale, ty skunksie...! — rzekł z uśmiechem Brown. Wszyscy śmiali się z Hale'a — żołnierza, tak jak się śmiali z Hale'a — zamożnego handlarza ryb.

Skończył się kwadrans stępa i znów wachmistrz wyrzucił ramię w górę, tym razem zatrzymując konia. Szeregi dosunęły się do niego jedno do drugich.

Zsiedli z koni i utworzyli taką samą grupę, jak przed godziną. Ujechali może z osiem mil, lecz krajobraz nie zmienił się zupełnie, tak iż mogło się zdawać, że osiem mil równało się w rzeczywistości mniej niż dziesięciu jardom.

— Zupełnie jak na ruchomej platformie w Lane — rzekł Abelson, wykrzywiając z niechęcią lubieżne, semickie usta. — Jedziesz, człowieku, jedziesz, jedziesz, jedziesz i jedziesz i ciągle to samo! Powiadam...! Powiadam...! — Nie powtórzył dwa razy tego samego. — Niech... wojnę i... przeklęty dzień, kiedym się zaciągnął do armii!... i wszystko!...

Sanders, który siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, podniósł zmęczone oczy i rzekł:

— Abelson, ty plugawy ozorze.

Mówił akcentem, którego czystość mogła zaimponować pedantom, ale który w ustach zarośniętego, brudnego angielskiego kawaleryzisty wydawał się tak nieodpowiedni, że prawie nieprzyzwoity.

Abelson, który stał, wykręcił się nagle i spojrzał na zaczepiającego. Ramiona jego podniosły się ku uszom, potężna szczeka, pokryta czarnym zarostem, wysunęła się w przód, oczy zwięzły się w dwie szparki, a palce prawej ręki utworzyły u końca muskularnego przedramienia twardą, groźną pięść. Rzekł:

— Ty pobożna, fałszywa małpo!

Ton był obraźliwszy niż słowa. Chuda, wielkonosa twarz Sandersa okryła się czerwienią, która przebiła się przez opaleniznę i spieczone, oklejone kurzem wargi. Zacisnął mocno wąskie usta i milczał.

— Ty s...! — dorzucił pochylając się Abelson. — Ty śmierdzące ścierwo!

— Przestań! — zainterweniował znużonym głosem Brown. — Daj mu spokój! Abelson!

— Ja mu mam dać spokój! — warknął Żyd. — To dlaczego on mnie nie da spokoju? On się doprasza gwałtem kułaka w ucho. Ty, Sanders?

Spojrzał w błyszczące, bladoniebieskie, rozognione, wściekle oczy wroga.

— Ty się dopraszasz kułaka, co? — powtórzył Abelson. — Jestem chory od twojego widoku. Co ja otworzę usta, to ty musisz odszczeknąć. Nie powiedziałem ci, co się czeka? Może nie powiedziałem?

Sanders dźwignął się sztywno na nogi. Był to osobnik średniego wzrostu i średniego wieku, chudy, wąły i zgarbiony. Jego zawód cywilny określony był w papierach wojskowych zagadkowym słowem: inteligent.

— Powiedziałeś — rzekł. — Możesz mnie walić.

Zza jego pleców rozległ się nagle głos wachmistrza:

— Sanders! Zdejm karabin z siodła i wy także, Abelson i Hale. Jeszcze się dopytacie biedy, jeżeli nie będziecie uważać.

Wszyscy trzej zwrócili się do koni i zdjęli karabiny. Wachmistrz

poszedł dalej. Na skraju grupy siedział w przedostatnim szeregu samotny Pearson z okręconymi naokoło prawej ręki cugłami dwóch koni, gdyż jemu przypadło w udziale prowadzenie rumaka zabitego podporucznika. Kapral oznajmił mu o tym takim tonem, jakby chodziło o jakieś szczególne wyróżnienie. Psiakrew z tą szkapą! Dlaczego jej sam nie poprowadził? I tak on, Pearson, miał dosyć kłopotu ze swoją kobyłą, która wiecznie podrygiwała, nawet gdy jechał stępą...

Gardło miał zeschnięte i obolałe, usta pełne piasku, język sztywny i sparaliżowany. Spróbował wyprostować zgięte plecy, ale ciężar i twardość pełnej ładownicy powiększyły się nagle do tego stopnia, iż pomimo upału pożałował, że był tylko w koszuli i że jego bluza pozostała z bluzami kolegów w taborach pułkowych.

Sięgnął chytrze palcami do manierki z wodą i rozejrzał się naokoło. Żaden z pozostałych... jak oni potrafili... Zważył ręką obciążoną skórką manierkę: jej rzemienne paski i metalowa szyjka parzyły mu palce. Była lekka. Za lekka. Nie powinien był do niej tak często zaglądać. Niedługo będzie pusta.

Ech, „niedługo” da sobie radę sam! Przesunął manierkę na przód ciała. Koń wybrał sobie tę właśnie chwilę, aby się poruszyć i szarpnąć go za prawą rękę.

— Stój, psiakrew! — jęknął Pearson. Ściągnął cugle, objął obydwiema rękami manierkę i ją obluźniać korek.

— Pearson! — zabrzmiał głos wachmistrza.

— Rozkaz — zerwał się jakoś na nogi i wsunął manierkę na swoje miejsce.

Wachmistrz stanął przed nim, wyciągnął rękę i zważył na dłoni manierkę. Rzekł:

— Dureń jesteś, Pearson.

— Słucham, panie wachmistrzu.

— Zdejm ją i oddaj mi.

Mały zawahał się. Czuł, że chętniej posłuchałby rozkazu ucięcia sobie palca.

— Śliska! — rzekł wachmistrz. — Nie upiję z niej, możesz być pewny. Będziesz miał więcej na noc.

— Rozkaz, panie wachmistrzu.

Zdjął ramię z ramienia i ściągnął manierkę. Wachmistrz wziął ją i poszedł dalej.

Na końcu zatrzymał się, koło nierozłącznej pary przyjaciół, Cooka i MacKay'a. Cook siedział, obejmując ogromnym ramieniem dwa karabiny. Ramię to było pokryte grubą warstwą kurzu, przez którą przeświecał wytatuowany jaskrawymi barwami rysunek węża. MacKay stał obok z końmi. W rękę trzymał malutki kawałek gąbki, zwilżony wodą z manierki i wycierał nią zasklepienie twardym brudem nozdrza swego kasztanka.

Wachmistrz stał, patrząc. MacKay, oczyściwszy nozdrza, zsunął cugle karego wierzchowca Cooka wysoko na ramię i otworzył pysk kasztankowi w celu przetarcia mokrą gąbką po dziąsłach, języku i podniebieniu. Kiedy go wreszcie puścił, koń oparł mu głowę na ramieniu i chwycił pieśczośliwie wargami za ucho.

— Ty, wielkie bydło! — rzekł serdecznie MacKay i zwrócił się do Cooka. — Rekinie! — rzekł, wyciągając gąbkę. — Daj trochę twojej wody.

— Dobrze — odparł Cook. Wziął gąbkę i skropił ją wodą ze swej manierki.

MacKay powtórzył tę samą operację z karym. Kiedy skończył, wachmistrz rzekł:

— Zaraz nabrały innej fantazji.

— Ba!

MacKay odebrał od Cooka swój karabinek, przewiesił go sobie przez ramię i przyjrzał się koniom. Wygląd ich był lepszy niż reszty. Stały co prawda ze zwieszonymi łbami, ale nie okazywały ochoty do położenia się w piasku.

— Ba! — powtórzył MacKay. — Żeby tu było więcej prawdziwych żołnierzy, wszystkie konie byłyby takie.

Zepchnął hełm na tył głowy i otarł przedramieniem pot z czoła. Gest ten ukazywał siwe włosy na skroniach i promieniste sieci zmarszczek wokół zaszłych krwią oczu. Dodał:

— Tak by było, żebym ja tu miał komendę.

Wachmistrz uśmiechnął się.

— Dobrze, Jock — rzekł.

MacKay był uprzywilejowany. Kiedyś, w połowie swej dwudziestopięcioletniej, przedwojennej służby został starszym wachmistrzem. Ale whisky, początkowo łagodnie, potem z rozpędem, zniosła go z powrotem na niziny. Opuścił armię jako szeregowiec i jako szeregowiec zaciągnął się do swego pułku, gdy wybuchła wojna. I w

dalszym ciągu był szeregowcem. Liczne oferty awansu odrzucał ze spokojną nieugiętością.

— Komu dobrze? — zapytał.

— Koniom — roześmiał się wachmistrz. — Na następnym postoju napoicie je. Wam to powierzam, MacKay. Trzecia część kubła na łeb, albo mniej. Prawej torby nie tykać, rozumiecie?

MacKay skinął głową.

— Jasne, że rozumiem.

— Ale wpiery weźmiecie trochę wody z torby i wytrzećie wszystkim pyski mokrą gąbką, a potem dopiero napoicie.

— Rozkaz.

— Zabierzecie się do tego od razu, jak tylko się zatrzymamy.

— Rozkaz.

Wachmistrz odwrócił się na pięcie i poszedł z powrotem do swego konia, którego trzymał Morelli.

Patrol dosiadł koni i ruszył w dalszą drogę. Było wczesne popołudnie i żar słońca potęgował się niemożliwie z minuty na minutę. Jechali kłusa. Spod czterdziestu ośmiu kopyt wzbijały się wysoko oddzielne tumany szarej kurzawy, miękkiej a przecież zwirowatej. Każde dwa tumany łączyły się razem, tak że każda para jeźdźców jechała owiana brudnym obłokiem, w którym widzenie było utrudnione, rozmowa niemożliwa, a życie prawie nie do zniesienia. Do skór, włosów i ubrań przylegał szary proch: ludzie i zwierzęta wyglądali jak mroczne, ziejące potem widma.

III

Zobaczyli swoje przeznaczenie po południu między trzecią a czwartą.

— Bell! — wachmistrz wskazał ręką przed siebie, troszkę na prawo. — Patrzaj... tam!

Kaprał pochylił się w siodle, wyężając wzrok.

— Widzę coś — rzekł. — A może mi się tylko zdaje. Nie jestem pewny. — Potarł wierzchem upiaszczonej ręki piekące, bolące oczy. — Skrzy się, psiakrew, że trudno ślepie otworzyć!

Wachmistrz obrócił się w siodle i zawołał do Pearsona, jadącego teraz w pierwszym szeregu jako eskorta konia podporucznika.

— Krzyknij na Browna!

— Brown! — podniósł się krzyk. — Brown! Brown!

Ogromny kawalerzysta wyjechał z szeregu i pogalopował na czoło oddziału.

— Brown — rzekł wachmistrz — masz dobre oczy. Popatrz, co to tam może być? — wyciągnął ponownie rękę.

Brown opuścił cugle na grzbiet konia i sięgnął rękami do tasiemki, przytrzymującej w tyle głowy zielone okulary ochronne. Wszyscy mieli takie okulary, ale posługiwali się nimi tylko niektórzy. Okulary ochronne mają swe złe i dobre strony. Ci, którzy ich używali, nosili je na hełmach, na podobieństwo wielkich, wytrzeszczonych oczu.

Supel ustąpił. Brown zsunął z oczu okulary i podążył wzrokiem za kierunkiem wskazującej ręki.

— Drzewa — rzekł. — Kępa drzew. Ani chybi.

— Hm! — Bell poruszył się niespokojnie w siodle. — Miraż.

— I moja noga też miraż — rzekł Brown. — Prawdziwe palmy, panie wachmistrzu. — „Gdzie pod złotą palmą srebrna woda śpiewa”.

— Doskonale. Dziękuję. Do szeregu. — Wachmistrz zwrócił się do podoficera. — Bell, on ma rację.

Kaprał wyjął wargi.

— Może być, a może nie być. To zwariowany człowiek. Mówi o sobie „artysta”.

— Ale dobry żołnierz — rzekł wachmistrz.

— Pewnie! Znałem gorszych.

Jechali dalej w milczeniu. Wachmistrz zmienił niepostrzeżenie kierunek i poniechawszy kompasu, wziął sobie za przewodnika dalekie, niewyraźne urozmaicenie monotonii pustyni.

Brown nie mylił się. Nie był to bowiem miraż, lecz prawdziwe drzewa i woda: wyspa zieleni wśród szarego, rozpalonego, rozmiotanego pustkowia.

Ale marsz do tego ożywczego celu zajął im pięć godzin, ogółem sześc, gdyż o siódmej wachmistrz zarządził postój i kazał rozsiadłać wszystkie konie z wyjątkiem dwóch. Napito się trochę wody i posilono — ludzie i konie. Z powodu fatalnej jakości napoju jedzenie ledwie im przeszło przez gardła.

Przez godzinę ludzie leżeli na piasku, dysząc z gorąca i ociekając potem. Położyły się również trzy konie. Nikt się prawie nie odzywał, gdyż śmiertelne znużenie i pragnienie odbierało wszelkie chęci. Nie było żadnej osłony i słońce prażyło żywym ogniem.

Tylko Hale gadał.

— Co to jest Mezopotamia? — pytał słońca. Leżał na wznak z rozpostartymi nogami i rękami, ze złożonym, płóciennym kubłem pod głową. — Co to jest Mezopotamia? Słodka kraina, szeroka kraina, a środkiem płynie rzeka! Mówili chłopcy, że wszędzie nic tylko miód, a tu figa z makiem. Aleee! Wolałbym już zdechnąć. Nic i nic. Ano, jak kto głupi...

Nikt nie odpowiedział. Nikt się nie roześmiał. Podniósł głowę i spojrzął na leżących najbliżej siebie.

— Niebożęta — rzekł, osunął się z powrotem na piasek i zaczął nucić:

Wieczorna gwiazdko,
Piękna gwiazdko ma!
Wieczorna gwiazdko,
Co...

Urwał nagle, gdyż Sanders, który leżał obok, dzwignął się na nogi i odszedł. Hale pogonił za nim oczami.

— Hej, ty, Sanders! — zawołał. — Nie podoba ci się mój tenor?

— Nie chodzi o twój głos — odezwał się zza swego leżącego konia Abelson — tylko o te brzydkie słowa, coś ich nie dokończył!... Ty, śmierdzący mazgaju!

Wykręcił się nagle nie wstając i złapał przechodzącego Sandersa za kostkę u nogi.

Żołnierz runął jak podcięte drzewo, twarzą do ziemi. Abelson roześmiał się suchym, urywanym śmiechem.

— Abel, mówię ci, zostaw chłopca w spokoju — rzekł siadając Hale. — Może byś zjadł pieczonej wieprzowiny?

Abelson skoczył ku Hale'owi zręcznym krokiem boksera. Morelli, zainteresowany, wstał. Cook i MacKay przetoczyli się na brzuchy, aby móc widzieć, co się dzieje.

Na dalszym planie podnosił się powoli z ziemi Sanders. Jego oczy, nozdrza i usta pełne były piasku. Stał, usiłując niezręcznie zgarnąć go

z twarzy. Pozornie nie zwracał uwagi na awanturę, ale oczy miał dzikie.

Abelson zatrzymał się nad Hale'em.

— Dosyć mi już naurągałeś, rozumiesz? — rzekł. — Wstawaj no, ty!

Hale usiadł, podniósł głowę i spojrzał drwiąco na Żyda.

— Mojżesz — rzekł — za kogo ty mnie masz? Ty jesteś zawodowy bokser, a ja nie. Jeżeli mnie tkniesz, dam ci takiego kopniaka w naj-słabsze miejsce, że popamiętasz. — Podniósł groźnym gestem rękę. — Aron, bo ja nie żartuję. Tak ci dogodzę, że...!

Abelson przysiadł do skoku. Usta jego poruszyły się konwulsyjnie, ale nie wyszedł z nich żaden dźwięk. Już, już miał się rzucić na żartownisia, gdy usłyszał za sobą głos wachmistrza:

— Siodłać konie! Piorunem! Abelson!

— Rozkaz, panie wachmistrzu! — Żyd odwrócił się z wolna.

— Na ciebie kolej prowadzić konia podporucznika. Weź go od Pearsona. Żywo, chłopcy.

Odwrócił się i odszedł.

Abelson podniósł z ziemi swoje siodło.

— Do...! — warknął. — A ty, Hale, ty się jeszcze doczekasz.

Ja tobie mówię!...

IV

Ruszyli w dalszą drogę. Słońce zniżyło się ku zachodowi i nagle zaszło.

Na niebie, na tle granatowego aksamitu wyhaftowanego brylantami, błyszczał srebrny sierp księżyc. Fala srebrzystego światła zalewała pustynię i poruszające się na niej punkciki. W zagłębieniach terenu, niewidocznych przy świetle dnia, leżały czarne jak smoła cienie. Po okrucieństwie słońca zapanowała złuda chłodu i prawdziwego, prawie ekstatycznego spokoju.

— Dlaczego — zapytał nieba Brown — księżyc sprowadza spokój?

— Księżyc sprowadza spokój! — powtórzył Morelli. — Czyś ty upadł na głowę? Czy w tej przeklętej krainie nie panuje zawsze taki spokój, jak na cmentarzu? Spokój! Dobry sobie!

Brown odwrócił głowę.

— Ty nędzny...! — rzekł. — Ty poroniony tworze! Ty półgłówku! Ty śmieciu, ty opiłku!

Morelli wybuchał śmiechem.

— Umiesz być wymowny!

— Czy ty nie rozumiesz, co ja mówię? — zapytał Brown. — Słońce hałasuje, nie huczy jak bęben, nie chrapie jak ty, nie wybucha jak granat, ale rozbrzmiewa śmiertelnym żarem. Potem wschodzi księżyc i robi się ogromna cisza. — Puścił cugle i rozprostował obolałe ramiona. — Boże! — rzekł — chciałbym to wymalować... gdybym umiał. Gdybym...

— Ja bym wołał kwaterkę gorzkiej! Takiej zimnej, że krzyczałoby się wniebogłosy...

— Śmierdzący materialisto! — Brown wstrząsnął szerokimi ramionami. — Ale może masz rację. — Wskazał przed siebie. — Niedługo będziesz mógł się nachlać wody do syta.

— Znosi się na to.

Morelli kiwnął głową, gdyż przed nimi na szczycie wyniosłości, tak łagodnej, że dopiero po trzech kwadransach marszu zauważyli, że jadą pod górę, rysowała się grupa palm. Ich czerń na tle srebrzystości piasku robiła wrażenie fragmentu malowanych dekoracji. I to złych dekoracji — pomyślał Brown. — Nie uwierzono by człowiekowi, gdyby coś podobnego wymalował.

— Opatrzność czuwa nad nami — zauważył MacKay.

— Czuwa! — zgodził się uroczyście Cook.

— Jak to daleko? Wydaje się, że tuż, tuż. Ale to się tylko tak wydaje, jak zawsze. Będzie jeszcze ze trzy ćwierci mili.

— Będzie — potwierdził Cook.

Stary żołnierz miał rację. Zdawało się, że każda następna minuta znajdzie ich u kresu drogi wśród drzew, nad wodą, i każda następna minuta przynosiła rozczarowanie. Odległość pozostawała ciągle ta sama.

Ale w końcu dobili do miejsca przeznaczenia. W odległości pół mili od pagórka wachmistrz zarządził postój i wysłał przodem na zwiady kaprała z Hale'em i MacKay'em.

Wrócili w ciągu kwadransa.

Bell uśmiechał się radośnie.

— Raj — rzekł. — Masa drzew. Źródło... dobra woda. Moc daktyli. I... dziwna rzecz... pusta chata z suchego mułu.

Wachmistrz podniósł brwi.

— Co, chata? Czy zamieszkana?

— Żadnych śladów.

— Stara?

Bell podrapał się po brodzie.

— Trudno powiedzieć. Pewnie, że już dawno stoi. Rozsypuje się miejscami.

— Hm! — rzekł wachmistrz i podniósł głos: — Na koń!

Dosiedli koni i niebawem znaleźli się w zakątku raj. Prawdziwe drzewa rzucały na ziemię u ich stóp srebrno-czarną siatkę chłodnego cienia i jeszcze chłodniejszego księżycowego blasku. Naokoło polanki ze źródłem strażowały wyniosłe, milczące palmy. Woda płynęła, płynęła, płynęła obficie, bez końca... Cisza i spokój nocy obiecywały osłonę i wytchnienie za dnia. Tu, wśród otaczającej pustki, panowała świeżość i obfitość.

— Zsiadać! — rozkazał wachmistrz. — I nie puszczać koni do źródła.

Drugi rozkaz trudniejszy był do wykonania, gdyż konie, poczuwszy wodę, poczęły rwać się jak szalone. Nerwowa kasztanowata klacz, na której jechał Pearson, nastąpiła mu kopytem na nogę. Wrzasnął, puścił cugle i usiadł ciężko na ziemi. Kasztanka ruszyła prosto w stronę źródła. Wpadła na Abelsona, walczącego ze swoim chudym siwkim i rumakiem poległego oficera, przewróciła Morellego, który jednak nie puścił swego konia i wyrwała się na wolną przestrzeń.

Wachmistrz skoczył, zabiegł jej drogę i przytrzymał prawie przy pysku, uspokajając łagodnymi słowami. Bell dał kułaka Pearsonowi.

— Wstawaj, psiakrew! — rzekł. — I trzymaj konia. Na miłość boską, człowieku...

Rozległa się komenda. Powiązano w długi sznur linki, zdjęte z szyi koniom i umocowano do wbitych w ziemię kołków. Konie, uwolnione od uzd i siodeł, zostały spętane i uwiązane rzędem do sznura. Żołnierze, klnąc, czyścili je zgrzeblami. MacKay i Cook napełniali u źródła płócienne kubły i podawali wzdłuż szeregu... półtora kubła na konia. Wachmistrz był niewidoczny.

Poszedł obejrzyć chatę, kryjącą się w ciemnościach między drzewami, z dala od miejsca postoju koni. Miała ona jakieś dwanaście stóp długości na dziewięć szerokości. Ściany były zbudowane z mułu, a dach z takiegoż mułu, nałożonego na plecionkę ze słomy, umocnioną kijami. Dach był w jednym rogu dziurawy. W każdej ścianie znajdowała się dziura. Dziury w ścianach zainteresowały wachmistrza. Znał się trochę na budowlach z piasku i wody i wiedział, że wydrążenie dziury w ścianie tego rodzaju chaty równało się zawaleniu całej struktury. Nie mógł dobrze widzieć, bo w chacie panowały ciemności, ale obmacywał palcami brzegi dziur. Poczł twarde żebra trzciny. A więc dziury, dość niedbale krzywe, były oknami. Potarł w zamyśleniu szczękę, wykręcił się na pięcie, wyszedł z chaty i podążył z powrotem na polankę do ludzi i koni.

— Melduję posłusznie, panie wachmistrzu — rzekł Bell — że wszystkie konie napojone i wyczyszczone. Czy dać im teraz jeść?

Wachmistrz skinął głową.

— Dobrze. Po trzeciej części zapasowej torby. Zaraz. Ludzie potem.

— Rozkaz! — Bell odwrócił się, aby odejść.

— I... Bell! — zawołał wachmistrz.

— Słucham, panie wachmistrzu.

— Powiedz im, że mogą zająć pałac. — Wskazał głową w kierunku rudery. — Wszyscy z wyjątkiem warty. — Otworzył ochronną kołpertę zegarka. — Hm! Prawie dziesięta. Pobudka o piątej... siedem godzin... siedem i pół... Trzech ludzi obejmie kolejno wartę: zmiana co dwie i pół godziny.

— Którzy? — zapytał Bell.

— Nie mogę wybierać — odparł wachmistrz. — Każ im stanąć szeregiem, policz i weź drugiego, piątego i ósmego.

— Rozkaz!

Bell odszedł. Wachmistrz, odwracając się, usłyszał jego głos:

— Do szeregu wszyscy!

Liczby dwa, pięć i osiem padły na Abelsona, Cooka i Pearsona.

— Dobrze! — rzekł kapral i dał znak.

Ruszyli gromadnie do źródła, gdzie już czekał wachmistrz.

— Powoli! Powoli! — napominał.

Niektórzy go posłuchali. Inni nie. Ale ponieważ nikt nie był

naprawdę chory z powodu długiego pragnienia, więc nawet chciwi nie ucierpieli.

Nasyчени położyli się na chwilę na ziemi. Dalsze pokrzepienie przyniosły papierosy i daktyle, które stracali z wysokich gałęzi za pomocą lin obciążonych blaszankami i strzemionami. Nikt nie tknął sucharów i nie przyłożył noża do puszki z konserwami mięsnymi.

Wachmistrz siedział samotnie na boku, oparty plecami o pień palmy. Wypaliwszy wolno fajkę, wytrząsnął popiół o obcas i wstał.

— Dosyć. Teraz wszyscy na spoczynek do chaty. Bell!

Podszedł kapral.

— Masz wartę?

— Mam — Abelsona, Cooka i Pearsona. W tej kolejności.

— Dobrze. Teraz spać.

Wachmistrz zawrócił i poszedł do koni. Stał już przy nich Abelson, na którego wypadła pierwsza warta. Po drugiej stronie polanki uwijał się Bell niby pies owczarski, zaganiający stado do zagrody. Każdy żołnierz niósł przewieszzone przez ramię dwie derki — swoją i końską — a pod pachą szablę.

Wachmistrz przeszedł się wzdłuż szeregu koni, wypróbował moc kółków, do których były uwiązane końce długiej liny, i te, do których uwiązano sznury krępujące zady koni, obmacywał uździenice i przesunął szybko dłońmi po każdym koniu. Znalazł jedną spuchniętą pęcinę i dwa obtarte grzbiety, jeden boleśniej od drugiego. Zawołał stłumionym głosem:

— Abelson!

Żyd podszedł z rękami w kieszeniach spodni. Szedł leniwym krokiem. Przewieszony przez ramię karabin uderzał go w plecy. W srebrnym świetle księżyca, sączącym się przez korony palm, jego upstrzona cieniami twarz wydawała się dziwnie zagadkowa.

— Wprostować się! — rzekł ostro wachmistrz. — Karabin trzymaj w ręku, nie na ramieniu! — Urwał. Żyd wykonał rozkaz. — Czy to twój koń?

— Mój.

— Od razu mi się tak zdawało. Nieraz cię już upominałem. Spójrz na jego grzbiet. Jutro będziesz jechał na koniu podporucznika Hawkinsa, a tego poprowadzisz. I uważaj, jak zakładasz derki pod siodło. Upewnij się zawsze, czy są dobrze położone, zanim zapniesz popręgi.

— Rozkaz, panie wachmistrzu.

Abelson był zadowolony. Monotonia była dla niego zabójczą rzeczą i perspektywa zamiany koni, jakkolwiek połączona z naganą, ucieszyła go jako urozmaicenie.

— Jesteś zmęczony? — zapytał wachmistrz.

Żołnierz skinął głową.

— Hm! Masz tylko dwie godziny. Masz zegarek?

— Mam, panie wachmistrzu.

— Dobrze. Obudź swoją zmianę. Który to, Cook czy Pearson?

— Cook.

— Dobrze. Ja będę spał na dworze z tamtej strony chaty w trawie. W razie czego możesz mnie obudzić. Nie zapomnij, ...noc!

Poszedł do miejsca, gdzie leżało jego siodło, zabrał derki i zaniósłszy je w ciemności, rzucił na ziemię u stóp drzewa za chatą.

Następnie przemknął się między pniami na skraj pagórka i zszedł po zbocz na równinę. Obszedł naokoło zieloną wyspę, badając oczami teren i horyzont. Wdrapał się ponownie na wzgórze tak po cichu, jak to było tylko możliwe. Wynurzył się spomiędzy drzew za szeregiem koni, które stały niedbale, ze zwieszonymi łbami i miękko obwisłymi ogonami.

Wyszedł z cienia i stanął na plamie srebrnego światła.

— Kto idzie?

Abelson stał w cieniu sąsiedniej plamy, z wycelowanym karabinem.

— Swój! — Wachmistrz podszedł bliżej. — W porządku. To ja.

— Chryste! — roześmiał się Żyd. — Myślałem, że to Arab. O mało pan wachmistrz nie dostał kulą.

— Dobrze. Pamiętaj na wszelki wypadek gdzie mnie szukać. Powiedz o tym Cookowi i niech on powie Pearsonowi.

— Rozkaz, panie wachmistrzu. Dobranoc, panie wachmistrzu!

— ...noc!

Wachmistrz powrócił na miejsce, gdzie leżały jego derki i złożyw-
szy każdą poczwórnice wzdłuż, położył na ziemi, końską na spodzie.
Następnie zdjął z piersi ciężką ładownicę i umieścił ją pod ośmio-
krotną grubością derki jako poduszkę. Zdjął hełm, rzucił go na ziemię

koło legowiska i położył się. Od wielu godzin panował całym świadomym wysiłkiem woli nad ołowianymi powiekami, tak że teraz zamknęły się one, nim zdążył przytknąć głowę do posłania.

Oaza spała. Od czasu do czasu rozlegał się słaby szmer poruszającego się konia lub cichy odgłos kroków wartownika. Poza tym panowało milczenie. Niestłumiona wrzawa, jaka uchodzi za ciszę w mieście lub lesie, lecz bezwzględne, okrutne, absolutne milczenie.

V

Księżyc zaczął tracić swą świetność początkowo niedostrzegalnie, potem z coraz większym przyśpieszeniem. Zbladł, zmartwiał i ostatek jego srebrzystości ustąpił miejsca chorobliwej bladeści. Szare palce rodzącego się dnia rozproszyły jednakowo cienie i blaski. Pustynia rozpląszczyła się i objawiła z codzienną, straszliwą tożsamością. Po niebie rozlało się mętne, mroczne światło, niby blask zakurzonej lampy.

Po czym wzeszło słońce. Nie stopniowo, lecz nagle, znienacka, jak to bywa ze sztuczkami kuglarzy. Mroczne światło uciekło, a na świat spłynęło morze ognia.

Słońce podniosło się wyżej. Smuga światła przedarła się przez korony palm i uderzyła w oczy wachmistrza.

Obudził się, ziewnął i przeciągnął wypoczęte członki. Spojrzał w kierunku polanki i jakby podrzucony olbrzymią sprężyną, skoczył na nogi. Prawa ręka sięgnęła do kieszeni spodni i powróciła, zaciśnięta na kolbie małego, nieprzepisowego rewolweru, zabranego z kieszeni zabitego podporucznika. W jednej chwili znalazł się u dziury w ścianie chaty.

— Wychodzić! — ryknął i popędził na polankę.

Koni nie było ani śladu. Znikły razem z liną i kółkami. Siodła leżały na dawnym miejscu, na dwóch spoczywało bezwładne ciało Pearsona.

Wachmistrz rozejrzał się szybko dookoła i ukląkł obok zabitego, który leżał twarzą do ziemi, z wypiętym dziwnie tyłem z powodu

podpierającego brzuch łęku siodła. Na jasnym piasku ciemniała purpurowa kałuża. Z siodła kapały powoli gęste krople.

Wachmistrz wsunął ręce pod trupa, jedną pod głowę, drugą pod kolano, zdjął go z siodła i położył na ziemi, twarzą do góry. Oczy były wysadzone na wierzch, usta otwarte; w brzuchu widniała wielka, cięta rana.

Zbiegli się wszyscy z karabinami w rękach i otoczyli kołem klęczącego wachmistrza. Zdumienie zamknęło im usta. Kilku, obudzonych z ciężkiego snu, myślało, że im się śni. Przecierali oczy, zamykali je i otwierali i mrugali powiekami. Nie. To, co mieli przed sobą, było rzeczywistością.

— Bell! — rzekł, nie patrząc, wachmistrz.

Ludzie spoglądali na siebie, nie wiedząc co myśleć.

— Miłosierny Boże! — rzekł Hale i popędził z powrotem do lepianki.

Wachmistrz zerwał się na nogi.

— Bell! — zawołał. Wzrok jego przesunął się po twarzach obecnych. U jego stóp leżało zakrwawione ciało.

— Hale po niego poszedł — objaśnił cicho Abelson.

Oczy wszystkich skierowały się w stronę chaty, z której wynurzył się Hale — sam.

— Nie ma go — oznajmił zdyszonym głosem, nadbiegając. — Ani jego ładownicy. Ani karabinu. — Odetchnął głęboko. — Nie ma nic, tylko derki, jedno siodło juczne i zapasowe ładownice. I szable.

Wachmistrz wydał rozkaz.

— Rozsypać się i otoczyć pierścieniem oazę. Człowiek od człowieka w odległości dwunastu jardów. Iść prosto na skraj i patrzeć. Ostrożnie między drzewami. Rozumiecie? Nie pokazywać się. Patrzeć na pustynię. Czekać, dopóki nie przyjdę do każdego. I dobrze wytrzeszczać gały. Ruszajcie!

W ciągu minuty znikli bez śladu i zapanowała cisza. Na polance stał wachmistrz patrząc na drobne, groteskowo skrzycone ciało. Rana była tak rażąca dla oka, że schylił się i odwrócił je twarzą do piasku.

Wyprostował się i rozejrzał naokoło. Poczul, że po twarzy, głowie, plecach i nogach ciekną mu strumienie potu.

Spomiędzy drzew, po drugiej stronie polanki, wynurzył się Brown, machając nagle ręką. Wachmistrz podbiegł do niego.

Brown chwycił go za ramię i pociągnął w cień drzew. Dziesięć kroków dalej, u stóp palmy leżał kapral, jakby pogrążony w spokojnym śnie.

Brown pokazał ręką.

— Żyje — rzekł. — Niedobity.

Wachmistrz ujrzał drugą ranę od noża, tym razem w plecy. Grube, szerokie i elastyczne mięśnie uratowały nieszczęśliwego od natychmiastowej śmierci. Oddychał, ale szybko, lekko i słabo jak chore dziecko. Gdy go podnosili, rana otworzyła się szeroko i bluznęła z niej czarna krew.

— Ostrożnie! — rzekł wachmistrz.

Zanieśli go w na wpół pionowej postawie do lepianki, usłali miękkie legowisko z derek i ułożyli na nich twarzą na dół. Brown przyniósł wody w płóciennym kubku, podczas gdy wachmistrz poprzecinał koszulę nożem i zdjął ją delikatnie z torsu. Obmyli ranę, która wydawała się czysta i wachmistrz zalał ją jodyną z buteleczki ze swego opatrunku polowego. Ale rana, długa przynajmniej na cztery cale, nabierała ciągle krwią.

— Trzeba będzie zaszyć — rzekł Brown.

Wachmistrz skinął głową. Znalazszy w rogu na podłodze plecak Morellego, wyjął z niego pudełko z przyborami do szycia — igłami i grubymi nićmi koloru khaki. Wziął najcieńszą igłę, nawłókł nić, umoczył wszystko w jodynie, ukląkł przy nieruchomym ciele i zaczął zaszywać.

W ciągu dziesięciu minut zrobił cztery zręczne szwy, po czym obaj z Brownem obwiązali ranę bandażami polowymi, a na to pasami z podartej koszuli.

— Więcej się nie da zrobić — rzekł wachmistrz wstając i pochylając się nad rannym. — Ty, Brown, zostań przy nim. Nie poruszaj go, ale jeżeli odzyska przytomność, daj mu pić... niewiele.

Wyszedł z lepianki i zniknął między drzewami. Szedł bardzo ostrożnie. W niewielkiej odległości od skraju pagórka osunął się na rękę i kolana. Znalazł leżącego na brzuchu Morellego i położył się obok niego.

— Widziałeś co? — zapytał.

Morelli zaklął. Nie. Nic nie widział i jego zdaniem nic nie było do oglądania oprócz piasku.

— Za dużo tego, psiakrew! — zakończył.

Oczy wachmistrza przeszukały bez rezultatu rozłogi pustyni.

Poczołgał się piętnaście jardów dalej i legł obok MacKay'a. Ale i ten nic nie widział. Wachmistrz obszedł w ten sposób wszystkich swoich ludzi, pochowanych w cieniu drzew, wśród szorstkiej, bujnej trawy. Lecz żaden z nich nie dostrzegł na rozplamionej pustyni najlżejszego śladu życia. Żaden nic nie słyszał oprócz szelestu, spowodowanego własnymi ruchami.

Wachmistrz powrócił w pionowej postawie do punktu wyjścia. Poszukał MacKay'a.

Znalazłszy go, rzekł:

— Jock, chodź ze mną. Obejdziemy oazę naokoło. Oni nas będą kryli.

— Rozkaz!

MacKay wstał.

Zsunęli się razem po najbardziej stromym zboczu zielonej wyspy i zaczęli ją obchodzić szerokim łukiem.

Znaleźli ślady swojego marszu do oazy z poprzedniego wieczora, a dziesięć kroków dalej na zachód więcej śladów, prowadzących w pustynię,

— Po pięć w szeregu — rzekł MacKay. Wachmistrz milczał długą chwilę, wreszcie rzekł:

— Tak to jest.

Skończyli swój obchód i nie znaleźli nic.

VI

Z wyjątkiem MacKay'a i Cooka, pełniących wartę po obu skrajach pagórka, reszta była panami swoich ruchów. Dzień włókł się nieznośnie, gdyż pomimo wody i cienia upał był tak straszliwy, że nawet niczym nie zamącona bezczynność wydawałaby się piekłem. A cóż dopiero mówić o bezczynności przymusowej, pełnej ukrytej groźby, której żaden nie odważył się dotąd spojrzeć otwarcie w oczy.

Na rozkaz wachmistrza wszyscy wykąpali się i ogolili. Od wczesnego rana, od chwili fatalnego odkrycia pełnili kolejno dwójkami obowiązki wartowników. Teraz na warcie stali Cook i MacKay. Co chwila ktoś szedł na palcach do glinianki popatrzeć na kaprała, który jak dotąd ani się poruszył, ani odezwał, ani nie otworzył oczu.

Wachmistrz czuwał przy nim, ale niewiele mógł zrobić. Zgięte ciało Pearsona zostało już dawno wyniesione na pustynię i zakopane głęboko w piasku. Mała gromadka siedziała koło źródła, oparta plecami o drzewa i czekała na nadejście nocy.

— Gorzej niż w piekle! — przerwał milczenie Abelson. — Jakim zas... sposobem...

— Zamknij pysk! — Hale spojrział dziko znad fajki, którą właśnie czyścił. — Przeżywamy to cały przekłety dzień i nic nam z tego nie przyszło i nie przyjdzie. Milcz lepiej!

— Ma rację — wtrącił Brown. — Nie ma się nad czym rozwodzić. Che sara, sara.

Hale podniósł oczy.

— Co to za język?

— Niby włoski.

— Macaroni, co? — Hale wsunął fajkę do kieszeni. — Byłeś tam, bracie?

Brown skinął głową.

— Trzy czy cztery razy.

Oczy zaszyły mu mgłą wspomnień.

— Co to za kraj? — nalegał Hale. — Słyszałem, że żyją makaronem i dużo o sobie myślą. A co to za miasto ta ich Wenecja? Nasłuchałem się za dziecinnych lat, że domy tam stoją na wodzie, a ludzie pływają po ulicach łodziami. Dzieciom opowiada się takie... Byłeś tam, wielkoludzie?

— Byłem — odparł Brown. — Prawda. Stoi na wodzie, i zamiast jeździć dorożkami, pływa się po ulicach łodziami. Strasznie tam śmierdzi, szczególnie w lecie.

— Za granicą wszędzie cuchnie: brudne bydło! — Hale wstał i splunął.

— Tak i nie — odparł Brown. — Ale można czasem o tym zapomnieć, albo się przyzwyczaić, albo znajdzie się czasem czystsze powietrze, czy coś w tym rodzaju. I robi się raj. Cholerny raj. Mają oni taki jakiś swój specjalny księżyc, jakiego nie widziałem nigdzie indziej. Nie mówię, żeby był piękniejszy od tego tutaj — o nie! — ale jakiś inny... zupełnie inny... Ich księżyc świeci z wody. Nie z powierzchni jak zwyczajne odbicia zwyczajnych księżyców, ale z samego dna... błyska i migocze i napędza człowiekowi oczy samym najczystszym pięknem...

Hale wyciągnął rękę i dał Morellemu kułakiem w żebra. Jednocześnie pokazał głową Browna, który przemawiał teraz jakby do rozpostartych w górze koron palm.

— Rozebrało go — szepnęła.

Morelli skinął głową.

— ...taki cudownie piękny, że aż boli — ciągnął Brown. — A gondole, połyskujące latarniami, kołuszają się i tańczą... Kolorowe światła załamują się w wodzie... gondolier lub ktoś inny... zaczyna śpiewać... A ty, człowieku, leżysz sobie i słuchasz, i myślisz, że nigdy w życiu nie słyszałeś nic piękniejszego... Wszyscy śpiewają. A co oni mają za głosy: potężne, ciemne, aksamitne głosy.

— Słyszycie! — Hale usiadł. — Słyszycie! Jakim sposobem głos może być ciemny? Głupiś ty czy co? Pytam, jakim u diabła sposobem...

Obrzucił wszystkich pytającym spojrzeniem.

— Zamknij pysk, Londynie — rzekł Morelli. — Głupi jesteś jak but. Lepiej się z tym nie zdradzaj i siedź cicho. — Zwrócił się do Browna. — Wielkolud — rzekł — powiedz nam, jakie tam są kobiety?

— Właśnie — zgodził się skwapliwie Abelson. — Jak tam ze spódnicami?

— Nie zważaj na Mojżesza — wtrącił Hale.

— Nie — odparł Brown. Siedział chwilę w milczeniu ze wzrokiem utkwionym w baldachimie gałęzi. Hale otworzył usta chcąc coś powiedzieć, lecz Morelli dał mu szybko pięścią w bok, położył palec na ustach i potrząsnął głową.

— Włoskie kobiety — rzekł Brown — włoskie kobiety są tłuste, świecące i bezkształtne i cuchną czosnkiem i sobą. — Urwał. — Ale włoskie dziewczęta... Włoska dziewczyna może być najcudniejszą istotą na ziemi... Włoskie kobiety powinno się truć po dwudziestym szóstym roku życia. Ale dopóki są młodziutkie, powinny być uwielbiane nad wszystkie kobiety świata... — Raz — ciągnął dalej — zdarzyła mi się zdumiewająca dziewczynka... Nazywano ją Lisabetą. Mój Boże, cóż to było za cudo... — Wybuchnął śmiechem. — Było, było, było...

— Co było? — zapytał Hale.

— Zamknij raz jadaczkę. — Morelli przyciągnął go do siebie i zamknął mu usta ręką.

— Nic wiem, czy to w opowiadaniu wyda się takie, jak było — mówił Brown bardziej do siebie samego niż do kolegów. — Działo się to w Wenecji... jakieś siedem lat temu. W czasie karnawału... a romańskie karnawały to nie to, co zabawy w Hove lub Bitwy Kwiatowe w Easbourne, możecie mi wierzyć... Całe miasto... a w każdym razie większa część mieszkańców... szalała. I ja szalałem... i trwało to całe dni. Nigdy się nie wie, jak to długo trwa, bo człowiek jest ciągle pod gazem... nie tak, żeby się chciało spać albo wymiotować, nie. To jest piękne, wspaniałe, szalone pijaństwo, kiedy się wyprawia piekielne głupstwa, które się wydaje cudowne, kiedy wszystkie kolory świata rozplomieniają się w głowie w cudowne arabeski, kiedy chciałoby się burzyć domy i miasta; kiedy człowiek potrafi się bić jak Sam Longford, Hackenschmidt i Cyrano de Bergerac w jednej osobie i uwodzić jak Don Juan...

Ze mną wyrabiało się coś takiego przez parę ładnych dni... Siedziałem w jakimś zakazanym miejscu. Naokoło wrzało istne piekło... kwiaty... ołowiane confetti, które rzucają łopatom... piekielny grad, bracia!... Byłem beznadziejnie pijany. Siedziałem na krześle na stole. Co i raz podawano mi butelki... miałem przy sobie wielki worek confetti i łopatę i bombardowałem po głowach, kto się zbliżył... Pamiętam, że na chwilę przed Lisabettą nawinął mi się wielki, tłusty Żyd w różowym dominie: sypnąłem mu w facjatę trzy łopaty — uciekł z rykiem... Dokończyłem butelkę i spojrzałem na dół... I zobaczyłem ją. Miała domino w kratki na codziennej sukni... i to brudnej. Zdarta maska zwieszała się z uszka, wyglądającego z gęstwiny czarnych... granatowo-czarnych włosów. Wrzasnąłem coś i miałem w nią sypnąć confetti... Kiedy — chociaż byłem pijany jak bela — a może właśnie dlatego... zauważyłem, że ona nie należy do zabawy. Była w strachu, w śmiertelnym strachu. Miała wielkie, ogromne oczy... czarne i aksamitne... i ciało jak sen o szczęściu. Twarz jej była w owej chwili zupełnie szara... te romańskie kobiety nie bledną w zwykły sposób, ale ta szarość jest gorsza od bledności... Nagle jej zalane trwogą oczy uciekły w głąb... Z tłumu wypadł gość w masce demona i w czerwonym płaszczu i złapał ją za rękę. Powiedział coś do niej, ale ona potrząsnęła głową i próbowała mu się wyrwać. Usta jej drżały, twarz dygotała... Wtedy ja, niewiele myśląc, zeskoczyłem z mego krzesła i

stołu i rzuciłem się na owego demona... był prawie tego wzrostu, co ja, ale spasiony... Runął jak podcięte drzewo... Objąłem dziewczynę wpół, a ona położyła mi głowę na ramieniu... Czułem, że cała drży... Powiedziała coś, czego nie dosłyszałem, ale byłem zdecydowany...

Gruby dzwignął się z ziemi i przypuścił atak... Szedł z pochyloną głową i rozpostartymi rękami niby taran... Wyrznąłem go w pysk z taką siłą, że zmienił kąt i położył się na wznak, a z nosa, spod maski, buchnęła fontanna krwi... Wtedy, mój Boże! Stało się coś zdumiewającego... Moja dziewczynka, moja przestraszona owieczka, wyrwała mi się spod ręki i w rączce jej błysnął nóż... Zdążyłem ją pochwycić w chwili, gdy się rzucała na powalonego... Upuściła nóż i zemdląła...

Zrobiło się prawdziwe inferno. Lisabetta wisiała mi na ręku jak draperia. Gruby wstał i przypuścił nowy atak. Nie miałem swobody ruchów i nie mogłem go uprzedzić... Dał mi parę razy w łeb. Trzymał pięści jak młoty, miękką stroną w dół... Nawet nie zaboląło. Wycelowałem w brzuch i w brodę... Położył się na dobre, pod nogi tłumowi, przyjaciółom i wszystkim...

Awantura trwała dalej... piekielna awantura. Tylko lacyńcy potrafią coś podobnego... Ja i Lisabetta byliśmy w samym środku, otoczeni zaognionym miejscem... Około dwudziestu Włochów wrzeszczało i wymachiwało rękami... Za nimi rozciągała się zwykła zdrowa skóra, tłum, który nie wiedział, że zrobiła się awantura i najspokojniej w świecie pił, wył, śpiewał, tańczył i rzucał confetti... Moich dwudziestu diabłów wymyślało mnie i sobie nawzajem i wytrząsało brudnymi palcami mnie pod nosem i sobie... Zdawało mi się, że niektórzy byli po mojej stronie, ale nie mogłem rozróżnić... Stałem z dziewczyną, przerzuconą przez ramię niby serweta i wrzeszczałem na nich. Wrzeszczałem: — „Zamknąć mordy wy, s...! — we wszystkich językach, jakie sobie mogłem przypomnieć... Nie zwracali na to uwagi. Nagle, ciągle pijany jak bela, zobaczyłem wielką, czerwoną plamę...

Przerzuciłem dziewczynę na lewe ramię i przewinałem się przez okrążający mnie pierścień jak gorąca łopata przez funt masła... Przewróciłem może ze trzech, ale wrażenie było takie, jakby wszystko pierzchło na prawo i na lewo... Pognałem dalej i wpadłem między hałastrę, która nie miała nic wspólnego z tamtym nieporozumieniem... Nie myślałem o tym naturalnie, nie wiem w ogóle, o czym

myślałem. Roztrącałem po prostu wirujący tłum, dążąc w kierunku drzwi...

Ale hołocie wydało się, że wyrządziłem dziewczynie krzywdę i zrobiła się nowa awantura... Lisabetta widocznie przysła do siebie, bo zsunęła mi się z ramienia i stanęła obok o własnych siłach... I nagle znikła... Ja naturalnie musiałem się tymczasem bić, bo kto żył, rzucił się do mnie z pięściami... Oberwałem mocno po uszach i dostałem w oko butelką... na szczęście nie rozbiła się... poczułem, że lada chwila będą noże w robocie... I tak się stało. Błysnął jeden, potem drugi... W pobliżu stało krzesło... siedział na nim ktoś bardzo pijany, ale je spod niego wyjąłem... Wierzcie mi, że dobrze władałem tym krzesłem... Byłem pijany, rozjuszony, oszalały i w strachu... Nie podobała mi się ta zabawa w noże.

Dotarłem do drzwi... obdarty z trzech czwartych ubrania i z części skóry... ale dotarłem... Pamiętam, że się obejrzał — z progę... Dobry Boże! Co to była za nora!... Oparłem się o ścianę, dysząc jak dzieśnięć delfinów... Miękka, ciepła rączka pochwyciła mnie za dłoń. Była to moja dziewczyna. Mówiła coś do mnie... trzepała jak katarynka. Moja pijana włoszczyzna niezdolna była do porozumienia. Lisabetta nie przestawała mnie ciągnąć za rękę, wobec czego dałem się wyprowadzić... Ona biegła i ja biegłem... Przekonałem się, że miała rację, gdyż w chwili, gdyśmy skręcali za róg zobaczyłem, że kawiarnia plunęła formalnie ludźmi... spragnionymi mojej krwi.

Pędziliśmy jak zające... Dobiegliśmy do małego kanału, na którym kołysała się gondola... Dziewczyna krzyknęła na przewoźnika, skończyliśmy do łodzi i położyliśmy się na poduszkach, zadyszani i ledwie żywi...

Pogoń przebiegła ulicą, gdy byliśmy już na wodzie. Powiadam wam, odetchnąłem, że mnie nie dostali. Wrzeszczeli jak opętańcy, aż skóra cierpła... Moja towarzyszką zapytała mnie nagle o pieniądze. Miałem tego przy sobie całe bogactwo... Wyjąłem pełną garść, którą zaniósł gondolierowi i powróciła do mnie... Otrzeźwiałem trochę i zacząłem ją rozumieć... — „Powiedziałam mu” — rzekła — „żeby pływał całą noc. Całą noc. Zgodził się. Dostał sowitą zapłatę”. I tak się stało... Pływaliśmy całą noc...

Głos Browna roztopił się w ciszy i zabrzmiał dopiero po pewnej chwili:

— Cudowna to była noc... Cały świat rozplynął się w nicość... pozostała tylko lotna uluda szczęścia... — Roześmiał się cicho. — Albo raczej pozostaliśmy tylko we dwoje. Nie widziałem ani wody, ani nieba... nie widziałem, lecz czułem... Nie wiem, jak to określić... Oczy nasze przyzwyczyły się do ciemności i widzieliśmy siebie... niezupełnie wyraźnie...

Umilkł.

Długą pauzę przerwał Abelson:

— No i co? — zapytał. — Czy...

— Na Boga, milcz Aron! — wrzasnął na niego Hale. — Jemu trzeba wszystko łopata... — Zwrócił się do Browna. — Chociaż prawdę mówiąc, nie powinieneś nas zostawiać na głodno w taki sposób.

— Wszyscy chcą rozpusty, choćby w słowach — rzekł Morelli. — Wiesz, tego, co ty nazywasz „kolorytem”. Szczegółów, szczegółów, kolorowych szczegółów. Tego im nigdy nie za wiele. Kobiet, kobiet, kobiet...

Brown nabijał fajkę.

— Niczego się nie dowiedzą — rzekł. — To, co sobie wyobrażą, będzie daleko bardziej ekscytujące niż wszelkie opisy... A zresztą i tak bym im nic nie powiedział.

Zza drzewa, pod którym siedział Brown, wyłonił się Sanders. Teraz, kiedy był czysty i ogolony, twarz jego razila przeraźliwą chudością. Na tle równej, czarno-szarej opalenizny gorzały niepokojąco bladoniebieskie oczy.

— Idzie nasz święty — jęknął Abelson. — Gdzieś ty był, mazgaju? Na modlitwie?

Nie otrzymał odpowiedzi. Sanders stał i patrzył na Browna. Kiedy się odezwał, w jego twardym, surowym głosie zaznaczyło się lekkie drżenie. Zaciśnięte mocno pięści świeciły jasnymi plamami zbielałych knykci. Wąskie, chude ramiona garbiły się kurczowo nad zapadniętymi piersiami. Rzekł:

— Brown. Mam z tobą do pomówienia.

— Mów — odpowiedział leniwie z ziemi Brown. Oczy jego przysłaniała w dalszym ciągu mgła weneckich wspomnień.

— Wołałbym... — Sanders zawahał się. — Wołałbym pomówić z tobą w cztery oczy... ale może by to było po tchórzowsku. Powiem swoje — rozejrzył się po obecnych, krzywiąc usta — wobec wszystkich... — Powiem, pomimo że...

— No mów — przerwał mu Brown — nie bądź taki uroczysty, Sanders. Za wielki upał.

Z ust fanatyka popłynęła piana słów.

— Drwisz ze mnie, choć jeszcze nic wiesz, co ci chcę powiedzieć! — krzyknął. — Słuchaj, Brown! Leżałem za drzewem i słyszałem twoje opowiadanie od początku do końca. Gdyby to kto inny mówił takie rzeczy, może bym ja, słaby głupiec, wstał i odszedł. Może bym przemilczał plugastwa. Ale to ty byłeś, Brown. Ty! Jedyne człowiek wśród nas, po którym jako po człowieku dobrze wychowanym... — Przyłożył nagłym ruchem rękę do czoła. — Czasami — ciągnął rozdygotanym głosem — mam uczucie, że tego dłużej nie zniosę... tych brudów, tych śmierdzących wypocin znikczemniałych dusz... tych...

Brown usiadł prosto z ogromnymi, nagimi ramionami, oplecionymi dookoła kolan. Jego głęboki, leniwy głos zahamował strumień rozdygotanego, głośnego szeptu.

— Co to ma znaczyć? Kto ci każe wsadzać nos w gówno, jeżeli ci się to nie podoba?

— Pytasz, co to ma znaczyć? — Drżący, przenikliwy głos przeszedł w słaby krzyk. — To, że mi idzie o ciebie, o twoje dobro, Brown! Błagam cię, człowieku, opamiętaj się. Czy twoje życie było tylko cuchnącym stekiem chuci, pijaństwa i awanturnictwa? Czy nie było nigdy niczym więcej, że teraz, kiedy może jesteś bliski śmierci, nie pozostają ci żadne inne wspomnienia, tylko takie, że pozwalasz innym psom wachać razem z tobą twoje wymioty?

Brown osunął się z powrotem na łokieć.

— Zamknij się! — rzekł znużonym głosem. — Upał taki, a ten każe słuchać. I nie wrzeszcz!

Przetoczył się na brzuch i zaczął rysować palcem na piasku fantazyjne arabeski.

— Ale... — zaczął przeraźliwym skrzekiem Sanders.

— Przestać rzygać, ty święty — odezwał się Abelson i na chudych ramionach fanatyka rozprysła się gruda ziemi.

Brown usiadł.

— A ty, parszywy Żydzie, nie wtrącaj się w nie swoje rzeczy.

Abelson zeszytniał.

— Cooo? Jak mam to rozumieć?

— Mówię: parszywy Żydzie — powtórzył Brown. — Dobrze, dobrze... Cóż tak wytrząsasz pięściami? Wiem, że jesteś zabijaką.

Widziałem cię przy robocie. Jesteś mocny, ale ważysz sto sześćdziesiąt funtów. Ja w koszuli i spodniach ważę blisko dwieście, nie jestem tłusty i znam się trochę na walce. Rozumiesz?

Żyd zamamrotał pod nosem i skapitulował. Sanders nie ustąpił. Palce jego otwierały się i zamykały, usta drżały. Zapadło przykre milczenie.

— Brown — zaczął ponownie, już teraz opanowanym, niskim, natarczywym głosem Sanders. — Brown, czy słyszałeś kiedy o Chrystusie?

— O Chrystusie? Owszem — odparł Brown. — Często cytowane nazwisko.

Leżał na brzuchu, rysując palcem w piasku.

— Brown — ciągnął niski, zdławiony głos. — On był Synem Boga.

— Niekoniecznie — odrzekł Brown. — Bardzo nieprawdopodobne.

Sanders pochylał się nad nim, drżąc całym ciałem.

— Więc do swojej listy dodajesz jeszcze bluźnierstwo?

Hale nachylił się do ucha Morellemu:

— Znów go wzięło! Wielkolud nie powinien z nim rezonować. Chłop gotów pęknąć. Biedny on! Zawsze był dziwny, ale teraz coraz z nim gorzej...

— Brown ma rację — mruknął Morelli. — Lepiej mu zrobi, jak się wygada, niż jakby miał to wszystko dusić w sobie.

— Może — odpowiedział z powątpiewaniem Hale. — Popatrz no na niego!

Sanders pochylał się nad Brownem, który ciągle rysował w piasku. Zaciśnięte w pięści ręce fanatyka zakreślały w powietrzu niezręczne koła. Całe ciało podskakiwało jakby podrzucane sprężyną. Mówił:

— Brown... powiedz mi, w co, w co, w co ty... wierzysz?

Brown przestał rysować, dźwignął się na kolana, wstał i oparłszy się o pień palmy spojrział na Sandersa.

— W co ja wierzę? — zapytał. — O, w dużo rzeczy... W dobre wino, w piękne kobiety, w kąpiele morskie, w wiejskie piwo, w żagle na morzu, w siłę pięści, w dziesięciominutową chwałę tego zachodu słońca, w dobre żarcie, w George'a Browna, w konia, w uśmiech dziecka, w czkawkę prostytutki, w rugby, futbol, w jesienny zapach bukowego lasu, w wygodę kobiecych piersi i starych butów, w siłę, w

oślą daremność obecnej wojny, we wspaniałą żądzę zabijania ludzi, w strach, w pijaństwo, które daje odwagę, w zapach kadzidła, w smak smażonej słoniny, w ból zębów, w triumf...

— Dosyć! — wrzasnął przeraźliwym, ostrym głosem Sanders.

— Niech będzie — zgodził się Brown.

— Czy myślisz, że to pięknie drwić ze mnie?

Fanatyk przysunął się o krok bliżej, paląc ogniem błędnych oczu stojącego nad sobą olbrzyma.

— Nie miałem zamiaru drwić — odpowiedział spokojnie Brown.

— Mógłbyś się opanować i spróbować... tylko spróbować pojąć, że są inne punkty widzenia...

Sanders uderzył się ponownie w czoło tym samym dziwnym, nerwowym gestem.

— Inne punkty widzenia! — krzyknął. — Ośmielasz się mówić o punktach widzenia...

Głos mu się załamał. Zaniósł się bulgotaniem, podobnym do łkania.

— Sanders! — zabrzmiał głos wachmistrza.

Nikt go nie usłyszał nadchodzącego. Odwrócili głowy. Stał koło źródła, w odległości sześciu kroków.

— Sanders! — powtórzył.

Żołnierz uspokoił się i poszedł do niego chwiejnym krokiem.

— Słucham? — rzekł.

Podoficer, zajęty rozsupływaniem węzła na sznurku biegnącym od pasa do kieszeni spodni, odpowiedział nie podnosząc oczu:

— Idź do kaprała Bella. Będziesz nad nim czuwał. Jeśli się znacznie ruszać lub coś takiego, dasz mi znać.

Sanders odszedł. Oczy wachmistrza odprowadziły go do drzwi lepianki.

Podszedł do małej gromadki.

— Chciałbym z wami pomówić, chłopcy — rzekł. Hale i Morelli chcieli wstać. — Nie, siedźcie — rzekł.

Brown, zmęczony staniem, wziął ten rozkaz dosłownie. Wachmistrz oparł się ramieniem o pień palmy i spojrzał na podkomendnych. Po pauzie rzekł:

— Co myślicie o naszym położeniu? — Spojrzał pytająco na Browna.

- Niewyraźne — odparł olbrzym. — Piekielnie niewyraźne. Wachmistrz spojrział na Morellego.
- Nie wiem, co myśleć — odrzekł eks-tancerz. — Nic nie rozumiem.
- Przepadliśmy — wtrącił Abelson. — Tak myślę. Psia...!
- Oczy wachmistrza zatrzymały się na Hale'u.
- Nie na rękę mi to, ale muszę się zgodzić z Mojżeszem, panie wachmistrzu — rzekł były sprzedawca ryb.
- Powiem wam, co wiem — rzekł wachmistrz.

VII

Nim przemówił, upłynęła długa chwila.

— Nie wiem nic — rzekł w końcu. — Będę z wami szczerzy. Nie wiem, gdzie się znajdujemy. Nie wiem, dokąd mieliśmy się udać. Nie wiem, gdzie jest brygada, nie wiem, dokąd się przesunęła. Mam kompas i mapę, ale chyba rozumiecie, że w tych okolicznościach nic nam nie pomoże ani mapa, ani kompas.

— Jesteśmy... — zaczął Brown.

— Już to powiedziałem — dokończył Abelson. Roześmiał się nerwowo, ukazując zza czerwonych warg nadmiernie białe zęby. — Jak śliwki w gównie.

— Tak — rzekł wachmistrz. — Takie jest nasze położenie. Konie nam zabrali Arabowie. Tylko Arabowie. Nikt inny nie potrafiłby ich sprzątnąć w taki sposób, nie obudziwszy żywej duszy. Jasna rzecz, że mamy przeciwko sobie Arabów, nie armię turecką. Na razie jest ich niewielu...

— Dlaczego niewielu? — zapytał Abelson.

Brown spojrział na niego i rzekł:

— Dlatego, ty krwawy Piłacie, że gdyby ich było dużo, napadliby na nas i załatwili się z nami od razu.

Wachmistrz skinął głową.

— Właśnie.

— Mówił pan wachmistrz z Jockiem? — zapytał Morelli.

— A jakże. Zgadza się ze mną, że ich musi być niewielu. Mówi, że nie więcej niż trzech. Według mojego przypuszczenia wszyscy, ilu ich

tam było, odjechali z naszymi końmi do swoich towarzyszy. Mogą powrócić wszyscy... a mogą nie powrócić.

— Dziesięć na jednego... pięćdziesiąt na jednego... powrócą — rzekł Brown.

— Jeżeli im nic nie stanie na przeszkodzie. Może to być wędrowny obóz.

— Powrócą — rzekł z uśmiechem Abelson. — Powrócą!

Hale zwrócił się doń gwałtownie.

— Na Chrystusa, milcz, ty przeklęty kuku!...

— Powiedziałem wam — rzekł wachmistrz. — Lepiej, żeby wszyscy wiedzieli, jak sprawy stoją.

Odjął ramię od pnia i stanął wyprostowany.

— I co teraz zrobimy, do stu tysięcy diabłów, panie wachmistrzu? — zapytał Abelson.

— Zostaniemy tu, gdzie jesteśmy — odparł wachmistrz. — Abelson, słyszałem jak przeklinałeś, że mamy za mało wody, a za dużo słońca itd. Powinieneś być szczęśliwy. — Zajrzał mu głęboko w oczy. — I radzę ci być szczęśliwym. Rozumiesz? — umilkł i ponownie objął wszystkich spojrzeniem. — Musimy patrzeć — rzekł. — Musimy mieć na oku jak najdalszy horyzont. Potrzeba nam posterunku obserwacyjnego. Wszędzie rozciąga się równina. Może się zdawać, że na pustyni wszystko widać, ale tak nie jest. Jeżeli się coś zobaczy, da się sygnał albo nie, jak się zdarzy. W każdym razie będziemy wiedzieć.

— Z ziemi nic się nie zobaczy. — Brown spojrzął w górę, marszcząc czoło.

— Nie wiemy dokładnie, gdzie jesteśmy, ale to pewne, że od rzeki dzieli nas około siedemdziesięciu mil. Nie mogliśmy zabrać tyle wody — rzekł wachmistrz. — Ani Bella — dodał.

Brown wzruszył ramionami.

— Rozumiem, panie wachmistrzu. — Spojrzął w górę, na wyniosłe kolumny drzew. — Stamtąd można by coś zobaczyć.

Wskazał na nieruchome, sztywne, dziwnie sztuczne odgałęzienia palm.

— Właśnie — rzekł wachmistrz. — Całodniowe czaty, luzujące się co godzina. W nocy trzy kolejne placówki — co trzy godziny. Zaczniemy od razu. Morelli!

— Słucham, panie wachmistrzu.

— Siodła i uprząż zostały. Przynieś zaraz wszystkie cugle.

— Ja jestem Sokole Oko, panie wachmistrzu. Ja pierwszy? — Brown wstał i przeciągnął się, wyrzucając w górę wielkie ramiona.
— Dobrze — rzekł wachmistrz.
— Ale ja nie albatros — mruknął olbrzym. — Nie mam skrzydeł, bracie.

Rozejrzał się po chropowatych, nagich pniach, na których gałęzie zaczynały się dopiero na wysokości dwudziestu stóp od ziemi i wyżej.

Wachmistrz, który go usłyszał, rzekł:

— Morelli niesie ci ogon.

Wziął w ręce wielki pęk rzemieni.

— Trzeba je powiązać — rzekł. — Kto się zna na węzłach?

— Ja.

Morelli usiadł obok niego.

W ciągu kilku chwil sporządzili rzemienią linię długości sześćdziesięciu stóp lub więcej.

— Dać tu cztery lub pięć strzemion — rzekł wachmistrz i gdy mu je przyniesiono, przywiązał ciężar do jednego końca liny.

— Teraz ją zarzucimy! — ryknął Brown, zrywając się z ziemi. — Ja, panie wachmistrzu! — Wziął w rękę linię. — Na bok! — wrzasnął.

Pęk stali świsnął w powietrzu, zatoczył nad jego głową ukośną elipsę i prawie dotknął ziemi.

— Uuuu! — wydobyło się z ust Hale'a. Puszczona lina poszybowała w górę. — Do ciężkiej cholery! — Żelaza obłamały kilka gałęzi, zawisły chwilę i spadły ze szczękiem na ziemię.

Nie udały się również trzy następne rzuty, dwa Browna i jeden Abelsona.

— Ty bękarcie! — rzekł do rzemienia Brown, biorąc go znów do ręki. Kołysał go w powietrzu parę minut, w końcu puścił. Żelaza poszybowały w górę, ciągnąc za sobą brunatny ogon. Przefrunęły nad gałęzią i spadły na ziemię.

— C'est magnifique, ca! — Brown skłonił się widzom. — Bardzo trudny kawał! Zaraz, panie wachmistrzu.

— Im prędzej, tym lepiej — uśmiechnął się wachmistrz.

— Ach! Tak! — Brown podskoczył; wytarł nogi urojoną żywicą, a ręce w urojoną chusteczkę, rzuconą przez niewidzialnego pomocnika. Przesunął hełm na jedno oko i podbiegł drobnym kroczkiem do

drzewa. Hale roześmiał się Morelli klasnął w ręce. Abelson wydał odgłos, podobny do bicia w bęben. Brown ujął w ręce podwójną linę i potrząsnął nią.

— Cisz! — ryknął. — Uprasza się o absolutną ciszę w czasie cudownych popisów profesora!

Zaczął się wspinać na drzewo. Z powodu grubości butów i cienkości rzemienia nie mógł sobie pomóc ani objęciem nogami liny, ani „marszem” po pniu. Wspinał się tylko siłą ramion.

— Uf! — rzekł Morelli. — Winduje z sobą przeszło dwieście funtów. Silny jak wół.

— Uf! — potwierdził Hale.

Patrzyli. Olbrzym wdrapał się powoli, choć pozornie z wielką łatwością, do miejsca, skąd wyrastała pierwsza gałąź i oparł na niej ręce. Była ona tak wiotka, iż zdawało się, że go nie utrzyma. Spojrzał na dół, na towarzyszy i wrzasnął:

— Heja! Heja! Czy to człowiek, czy małpa? Proszę bić brawa!

Podciągnął się w górę, oparł kolano w kącie utworzonym przez pień i gałąź i objął rękami pień.

— Bardzo, bardzo trudny kawał — zawołał. — Bardzo niebezpieczny. Ten dzielny człowiek igra ze śmiercią dla waszej zabawy.

Osiągnął stopniowo pozycję stojącą i wyciągnął ręce do wyższych gałęzi. Wspiął się jeszcze wyżej i znalazłszy mocny konar usadowił się na nim wygodnie.

— Kruche, psiakrew, te gałęzie — mruknął Hale. — Czy go aby utrzymają?

— Mocne one, nie bój się — uspokoił go Morelli.

Wachmistrz oderwał oczy do Browna, usadowionego na szczycie drzewa.

— Zabierzcie te zapasowe cugle — rzeki. — Wy, Morelli i Hale, złuzujecie zaraz Cooka i MacKay'a. Za godzinę zajdzie słońce. Z nocnymi wartami urządzimy się inaczej.

W górze rozległ się okrzyk. Wszyscy podnieśli oczy. Brown trwał nieruchomo, ale widać było, że ogarnęło go podniecenie.

— Hej! — spojrzał na dół i zawołał coś, czego nie dosłyszeli.

— Co takiego? — odkrzyknął wachmistrz z rękami przy ustach. Hale i Morelli zadarli wysoko głowy.

Rozległy się dwa odgłosy, tak szybko jeden po drugim, że chociaż

wszyscy je usłyszeli, nikt nie mógł orzec, który dobiegł pierwszy jego uszu... Dalekie słabe paf... bliski, przerażający trzask i łomot...

— Cofnąć się! — ryknął wachmistrz. Odepchnął Hale'a na prawo, Morellego na lewo, a sam odskoczył w tył.

W powietrzu świsnęła ciemna masa i uderzyła w grunt z taką siłą, że wszyscy poczuli jakby trzęsienie ziemi.

Pierwszy zareagował najdalej stojący Abelson. Podbiegł do ciała i upadł obok niego na kolana. Podniósł martwą głowę, z której podczas upadku zleciał hełm. W czole, w odległości dwóch cali nad lewym okiem, widniała równa, okrągła dziura. Brzegi jej były lekko zakrwawione.

Zbadał tył czaszki. Kula przeszła na wylot. Złożył łagodnie martwą głowę i ogromne, bezwładne ramiona z powrotem na ziemi.

— Mój... Boże! — wykrztusił Morelli.

Hale gwizdnął cicho przez zaciśnięte zęby.

Wachmistrz zerwał się z przerażającą nagłością, przeskoczył przez ciało, dopadł w trzech susach drzewa i chwycił za podwójny, zwieszający się rzemień. Uwiesił się na nim całym ciężarem i zaczął się wspinać. Ale zdążył się ledwie znaleźć nad ziemią, kiedy lina oberwała się z trzaskiem i zleciała, pociągając za sobą szczątki gałęzi. Zatoczył się w tył i upadł.

Morelli, wyrwany z pierwszego oszołomienia, pobiegł nad źródło, gdzie przed chwilą siedzieli, porwał oparty o pień palmy karabin i popędził na zachodni skraj oazy.

Wachmistrz dzwignął się z ziemi.

— Morelli! — krzyknął.

Morelli przystanął niecierpliwie, odwracając głowę.

— Wracaj!

Wachmistrz poparł rozkaz gestem.

Morelli zawahał się i nie posłuchał. Wachmistrz przyłożył ręce do ust.

— Morelli!

W głosie jego było coś takiego, że biegnący żołnierz zatrzymał się, zawahał i zawrócił. Powrócił wolno ze schyloną głową, powłócząc nogami. Ciągnął za sobą karabin, którego kolba sunęła za nim po ziemi znacząc w piasku węzowatą bruzdę.

— Hale! — rzekł wachmistrz — Abelson! Bierzcie karabiny. Piórunkiem!

Pobiegli i powrócili. Wachmistrz pochylił się nad cichym ciałem Browna.

— Strzał padł gdzieś z tej strony — rzekł, wskazując na zachód. — Patrzył w tamtą stronę. Strzelano z bardzo wielkiej odległości. Hale, idź w tę stronę — ćwierć dystansu między Cookiem i MacKay'em. Nie pokazuj się. Zamień się we wzrok. Żywo!... Morelli, ty zajmiesz stanowisko w połowie odległości między Hale'em i MacKay'em... Abelson, pójdziesz do MacKay'a i dowiesz się, czy czegoś nie widział. A potem do Cooka.

Żywo!

Odprowadził ich wzrokiem i pobiegł do lepianki. U otworu wejściowego zatrzymał się i zawołał cicho:

— Sanders!

Sanders wyłonił się z mroku, mrugając oczami na światło.

— Kaprał nie... — zaczął.

— Dobrze — przerwał porywczo wachmistrz. — Podstaw mi plecy. Muszę tam wejść.

Wskazał na dach lepianki.

— Nie rozumiem... — zaczął znów Sanders.

— Piorunem! — krzyknął wachmistrz. — Podstaw mi plecy. Oprzyj tu ręce i pochyl się trochę. Muszę wejść na dach.

Wdarł się na dach. Na dole Sanders tarł się po kościstych ramionach. Wachmistrz, stojąc ostrożnie na rogu płaskiego dachu, w miejscu wsparcia na grubej ścianie, zasłaniał oczy ręką od ukośnych promieni zachodzącego słońca i patrzył w kierunku zachodu. Miał stąd widok na pustynię, między pniami palm, ale swoją drogą rozleglejszy widok zasłaniały korony.

Przeszukał wzrokiem pustynię, lecz oprócz morza piasku i nielicznych wydm, podobnych do niskich, spokojnych fal, nie zobaczył absolutnie nic... Żadnego śladu życia... Niczego... żadnej wyrwy, zagłębienia czy pagórka, w których czy za którym mogli się kryć ludzie.

Ale fakt pozostawał faktem, że Brown poległ od kuli, to znaczy, że tajemniczy nieprzyjaciel znajdował się w odległości donośności strzału. Wachmistrz wyteżył wzrok, aż przed oczami zaczęły mu latać czarne płatki.

Zaklął pod nosem i przysiadłszy zręcznie na skraju dachu ześliznął się na ziemię. Opadł na ręce, pod nogi Sandersowi i wstał.

— Idź do środka — rzekł. — Jak on się miewa?

Wskazał głową na ścianę, za którą leżał Bell.

— Jakby mocniejszy — odparł z wahaniem Sanders. — Nie oddycha już tak prędko i lekko, jak przedtem. — Urwał, odwrócił się, przystanął i zawrócił. — Panie wachmistrzu! — rzekł natarczywym, wysokim głosem. — Panie wachmistrzu... co... co się stało?

Wachmistrz popatrzył na chudą, zmizerowaną twarz i odpowiedział powoli i spokojnie:

— Brown został zabity. Wszedł na palmę... i ktoś go zastrzelił. Zginął na miejscu.

Sanders wciągnął ze świstem powietrze. Stał z pochyloną głową, milcząc. Wargi jego poruszały się szybko. Wachmistrz spojrział na niego i odwrócił się.

— Wracaj do chaty — rzekł.

VIII

Pochowali Browna po zachodzie słońca, na pustyni, na wschód od oazy. Ciało ponieśli we trzech — Morelli, Hale i Cook. Pogrzebowej czynności asystowali strażujący na skraju oazy Abelson i MacKay — z karabinami w rękach. Na zachodnim skraju wartowali wachmistrz i Sanders. Smutnej ceremonii nie zamącił żaden ruch, żaden dźwięk...

Po czym zebrali się wszyscy nad źródłem. Wachmistrz wyznaczył nocne warty: dwóch ludzi po trzy godziny, na trzy zmiany. Naprzód Hale i Abelson; potem MacKay i Cook; potem on sam i Morelli. Sanders, któremu zaproponowano zwolnienie z obowiązków sanitariusza, potrząsnął głową. — Nie! Będzie czuwał nad rannym. Od czasu do czasu zdrzemnie się parę minut i da sobie jakoś radę.

Spożyli posiłek wydzielony przez wachmistrza. Na każdego wypadł twardy suchar, siódma część puszkę wołowy konserwowej i daktyle. Rozebrawszy swoje porcje rozeszli się na miejsca: Hale, Abelson i Sanders na swoje stanowiska; Morelli i Cook zostali nad źródłem; MacKay na rozkaz wachmistrza zasiadł z nim przez lepianką.

Wewnątrz chaty pożerał swą porcję Sanders. Jadł z pośpiechem nic dlatego, żeby był specjalnie głodny, a dlatego, że chciał skończyć możliwie prędko z przykrą i męczącą, lecz konieczną operacją. Przełknąwszy ostatni okrucz, ukląkł obok nieruchomego ciała kaprała, z odrzuconą w tył głową i zamkniętymi powiekami. Na jego twarzy, z której znikły zmarszczki pozostawiając ją gładką i spokojną, odmalował się wyraz zachwycenia zmieszanego z bólem. Wargi poruszały się bezgłośnie. Wzniesione wysoko ręce były zaciśnięte z taką siłą, że knykcie zbieleły na kolor kości.

Nad źródłem posilał się ze spokojem smakosza Cook. Pokrajawszy swoją wołowinę na małe kostki, obłożył nią starannie pokruszone większe kawałki suchara. Żuł pracowicie poszczególne kąski, przepłatając je łykami wody. Morelli patrzył na niego nie ruszając swojej porcji, obok której leżała manierka z wodą. Nagle przerwał milczenie, mówiąc:

- Nie mam ochoty. Nie chcę. — Podał koledze suchar i mięso.
- Dobra! — rzekł Cook.

Wyciągnął ogromną łapę, wziął ofiarowane sobie jedzenie i skinał głową na znak podziękowania.

Morelli był silnie zdenerwowany. Wstawał, siadał, zataczał małe kółka i znów siadał. Z ust jego padały urywane fragmenty niedokończonych uwag. Wyjął fajkę, lecz nie znalazłszy tytoniu włożył w usta papierosa, ale się rozmyślił i schował go z powrotem do skórzanej papierośnicy. Po czym wstał, patrząc na zajadającego z apetytem kolegę.

- Bracie — rzekł — czy ty się... nigdy... niczym nie przejmujesz?

Cook, nie przestając pić, potrząsnął wolno głową. Morelli usiadł nagle energicznym ruchem, jakby zdecydowany nie zmienić więcej pozycji i spojrział między podniesionymi kolanami na zdeptany piasek.

- Nigdy? — powtórzył. — A gdyby tak teraz przyszła kolej... na Jocka? To co?

Cook wyjął z ust palec, którym odrywał od podniebienia uporczywe pasemko wołowiny i zapatrzył się weń z tępyim namysłem.

- Cholera! — rzekł w końcu.

Morelli chwycił się lekko zmienionej intonacji jego głosu.

— A widzisz! — rzekł. — To cię poruszyło! Och... wiesz teraz, co się ze mną dzieje... Byłeś marynarzem, Cook?... Wiesz, jakich to ludzi nazywają na okrętach Jonaszami?

Cook skinął energicznie głową.

— Jasne.

Skończył się posilać i podkurczywszy pod siebie nogi, skrzyżował je po turecku, ze stopami wsuniętymi pod silne uda. Po czym sięgnął do kieszeni bryczesów, wydobył kostkę czarnego tytoniu i odgryzł z niej kasek. Szczęki jego zaczęły się poruszać równo, rytmicznie. Z wyjątkiem tych poruszeń, był tak nieruchomy jak okoliczne pnie palm. Księżyc zalewał polankę łagodnym, srebrnym światłem i Cook, na pół skąpany w świetle i na pół schowany w czarnym cieniu, wyglądał jak kamienny Budda, kanciasty, krępy, nieruchomy i niewzruszony.

— ...Jonasze! — mówił Morelli — Ludzie, którzy przynoszą nie-szczęście... Ja jestem taki Jonasz... bracie... ani, ani chybi! Przy-najmniej dla moich bliskich i przyjaciół...

Urwał. Głos jego rozplątał się niejako w światło, ciemność i ciszę.

Cook przeżuwał tytoń. Od czasu do czasu głowa jego wykonywała nagle poruszenie w bok, a z ust wystrzelała czarna fontanna śliny i soku tytoniowego.

— Przeklął mnie Bóg, mnie, bękarta, Jonasa — mówił Morelli. — Ledwie odrosłem od ziemi, zacząłem przynosić nieszczęście... Kto-kolwiek zbliżył się do mnie — po przyjacielsku — kobieta czy mężczyzna — dostaje nożem po gardle... Zaczęło się to od szkolnych cza-sów... Dziwnie o tym teraz pomyśleć... miałem kolegę, małego Brow-na: z mojej przyczyny dostała mu się publiczna chłosta... A teraz ten Brown... nie żebym ja był temu winien, że go zabili... ale jeździliśmy w jednej dwójce i zginął... Dobry był chłop, Brown! He, Cook?

Cook splunął.

— Jeden z najlepszych! — Morelli rozplótł ręce, obejmując kola-na, wyciągnął nogi i położył się na wznak z rękami pod głową. Głos jego brzmiał bardzo cicho. — Dlaczego u... — rzekł dziko — on zginął, a nie ten przekłety parszywiec... Żyd albo ta pobożna, biblijna małpa z twarzą jak nóż? Albo ja... Co za powód? Żaden. Ale on jeździł ze mną strzemię w strzemię... Rozumiesz, Cook? Chciałbyś ty być Jona-szem?

Cook splunął i potrząsnął powoli ogromną głową.

— Pewnie, że nie. Nikt by nie chciał. I na Marię, i ja nie chcę! Jestem sobie zwykłym...! Nie jestem zły, choć i dobry nie jestem... Ale ze mną zawsze tak było. Z kobietami też. Znalazłem sobie swoją przed wojną... Nie znalazłbyś lepiej dobranej pary, bracie. Morel i Morea... to myśmy byli. I doszlibyśmy do czegoś, żeby nie to moje jonaszowe przekleństwo. Możesz mi wierzyć. W Chicago, za pierwszym występem, rozumiesz?... musieliśmy powtarzać kilka razy... Kiedy pojechaliśmy stamtąd do Pittsburga, wydrukowali nas na afiszach calowymi literami. Morel i Morea: sławna para tancerzy... Morel, rozumiesz, to byłem ja, a Morea — ona. Joey! Co to była za dziewczynka, żebyś wiedział, Cook... Ktoś powiedział, że była półkrwi, ale to nieprawda! Trochę tylko posądza swego dziadka... i to wszystko. A nawet jeżeli była, to co z tego? Joey była taka, jaka powinna być. Tańczyła... jak ona tańczyła! I przy tym była ładna... może niejeden nie powiedziałby tego na pierwszy rzut oka. Ale potrafiła wejść człowiekowi w krew... Nie byliśmy małżeństwem, bracie, ale jeżeli kiedy jaki ogryzek dostał kobietę za dobrą dla siebie, to z pewnością ja...

Głos jego rozpląnął się w ciszy. Leżał na wznak, patrząc pustym wzrokiem na koronkę liści palmowych, rysującą się na tle rozgwieżdżonego nieba.

Cook trwał w niewzruszonym, spokojnym milczeniu. Morelli nie patrzył na niego. Zaczął znów mówić i głos jego wydawał się głosem samej nocy.

— ...Psiakrew, byliśmy szczęśliwi, Morel i Morea!... Ba!

Szczęśliwi jak... nie ma co gadać. Przez cały czas czuliśmy się jednakowo dobrze i w dodatku w Stanach szło nam jak z płatka, kochaliśmy się i dorabiali...

Ale ja jestem Jonasz, psiakrew... powiedziałem ci już... przeklęty Jonasz... Co się dzieje. Przyjeżdżamy drugi raz do Chicago, i Joey wpadła w oko jakiemuś facetowi... przez cały tydzień gapił się na nią z pierwszego rzędu. Widzisz, to nie był taki sobie pierwszy lepszy, uganiający się za spódnicami, ale agent — nazywał się Mount — poszukujący utalentowanych artystek... Otóż Joey wpadła mu w oko... myślał, że uda mu się skusić ją na dwuletni kontrakt do Nowego Jorku, za ileś tam — furę dolarów tygodniowo — i to na początek... Sprytny był ten Mount... Wywiedział się naprzód o nas oboje, jak ze

sobą jesteśmy itd. Postanowił wziąć Joey na cztery oczy... Nie napisał, rozumiesz? Przyłapał ją kiedyś, gdy mnie nie było, powiedział jak i co, i dał list, gdzie wszystko było wypisane czarno na białym... Ja dowiedziałem się o tym dopiero później... Wiesz, co ona zrobiła? Powiedziała Mountowi, że się namyśli, i namyśliła się. Zrozumiała, że mnie by się to nie podobało. Napisała do Mounta list z odmową... na własną rękę, za moimi plecami.

Potem pojechaliśmy drugi raz do Pittsburga... byliśmy tam już znani i poszło nam cudownie, powiadam ci. Mój Boże! Jak nam wtedy było dobrze... jacy byliśmy szczęśliwi...

— Ale jestem Jonasz, bracie... jak ci już powiedziałem...

Trzeciego dnia pobytu w Pittsburgu Joey wyszła po sprawunki... Chciała sobie kupić płaszcz. Chciała koniecznie mieć ten płaszcz... Pożyczyła ode mnie sto dolarów i poszła, roześmiana...

Ja jeszcze nie wstałem... leżałem w łóżku. Nie wiedziałem wtedy, co to pobudka...

Cook! I ona już do tego pokoju nie powróciła... Boże Wszechmocny! Jestem Jonasz — przeklęty od Boga... Przechodziła przez ulicę — do tego piekielnego sklepu... Ledwie zdążyła zejść z chodnika, kiedy... trach! jakieś przekłete bydlę najechało na nią samochodem...

Morelli usiadł. Głos mu drżał. Chrząknął gwałtownie, włożył w usta pustą fajkę i mówił dalej, zgryzając ją zębami:

— Nie zginęła na miejscu... bo jestem Jonasz... Nie, nie była jej sądzona łatwa śmierć. Nie, bracie! Podnieśli ją z przetrąconym krzyżem... Zobaczyłem ją dopiero w dwa czy trzy dni potem... leżała na wznak na szpitalnym łóżku... Jak deska, bracie, jak deska... Cała obandażowana od stóp do głów... Ale uśmiechała się do mnie po swojemu... taka dziewczynka...

Zerwał się z ziemi i zaczął biegać przed milczącym kolegą, trzy kroki w tę stronę, trzy w tę...

— Cook... ona dotychczas tak leży — rzekł. — Na tym samym łóżku... miałem od niej list z ostatniej poczty w Szeik Amid... Spotkało ją to nieszczęście czternastego marca 14-go roku... I tak została... ja dlatego... ja przez nią... nie, nie przez nią... Kiedy wybuchła wojna, wydało jej się, że chciałbym się zaciągnąć, ale nie robię tego przez wzgląd na nią... I kazała mi iść, opuścić siebie i iść. Cook...

— Rozumiesz, jak to jest z tym moim jonaszostwem? — Przestał maszerować i zatrzymał się przed kolegą. — Rozumiesz, bracie?... Choćby ten Mount ze swoim kontraktem... Żeby nie ja, ona by skończyła z okazji... nie pojechalibyśmy do Pittsburga i... rozumiesz, bracie?

— Cholera — rzekł Cook. Wstał z ziemi i zaczął się przechadzać. Morelli zrównał z nim krok. Maszerowali w milczeniu naokoło polanki, naokoło, naokoło, naokoło...

— Masz rację — rzekł Morelli, gdy zatoczyli trzecie koło. — Ruch...

— Cholera! — rzekł Cook.

Na lewo od lepianki zamigotał wśród drzew czerwony płomyk małego ogniska.

Obok ognia siedzieli w kucki MacKay i wachmistrz. MacKay trzymał nad ogniem menażkę wypełnioną w trzech czwartych brązową ciecżą, w której pływały podłużne ochłapy. Od czasu do czasu mieszał w naczyniu kawałkiem drzewa. W końcu cofnął je znad ognia i zajrzał do środka.

— Dobre? — zapytał wachmistrz.

Żołnierz wykrzywił usta.

— Można wytrzymać... choć na wybredne podniebienie nie bardzo... tego...

— Nie zdobędziemy się na nic lepszego — odparł wachmistrz. — Może zebrać z wierzchu tłuszcz, to będzie lepsze.

— Tak, chociaż nie wiem, czy to się na coś przyda. Chłop leży jak kłoda i...

Wachmistrz wstał.

— Już mu lepiej, Jock. Zaczyna się poruszać. Byłem u niego przed chwilą... A Sanders modli się jak cały klasztor mnichów.

— Niech go wszyscy diabli — rzekł MacKay. — Chyba jego ojciec był koniem dorożkarskim, a rodzicielka miała dziewięć rzędów miedzianych... tego...

Splunął, skosztował brei, splunął ponownie i umilkł.

— Czy takie złe? — wachmistrz wyciągnął rękę po menażkę.

— Nie całkiem — odparł MacKay — ale blisko trzydzieści lat jestem żołnierzem, a nigdy mi się nie zdarzyło skosztować takiej przyprawy.

Podał menażkę.

— Nic lepszego nie mamy — rzekł wachmistrz, próbując gorącego

płynu. — E, mogło być gorsze. — Podniósł trochę głos. — Sanders! — zawołał.

Sanders wyszedł z lepianki. Twarz miał głęboko poraną. Spod ciemnej opalenizny przeglądała bezkrwista bladość. Ale oczy miał prawie spokojne, nierozgorączkowane.

— Pan wachmistrz mnie wołał? — zapytał.

— Jak on się miewa?

— Ciągłe jednakowo. Od czasu, jak go pan wachmistrz widział, nie zaszła żadna zmiana. Tylko trochę się rusza i parę razy coś zamamrotał.

— Hm! — Wachmistrz podrapał się po głowie. — Dziś damy mu spokój. — Wyciągnął rękę z menażką. — Weź to i trzymaj pod przykryciem... Dla kaprała... jak przyjdzie do siebie. Z rana postaraj się jakoś zebrać ten tłuszcz.

Sanders wziął ostrożnie menażkę i znikł w otworze lepianki.

— Lepiej wygląda, co? — wachmistrz zwrócił się znów twarzą do MacKay'a.

— Sanders?... Hm!... — Szkot potrząsnął z powątpiewaniem głową. — Może tak, może nie... Uspokoił się, to pewne... ale co to znaczy? Może to tylko cisza przed burzą... Ten chłop jest bliski obłędu... Zobaczy pan wachmistrz! — postukał się po czole.

Wachmistrz zmienił temat.

— Powiem im to jeszcze dzisiaj, Jock.

— Co pan wachmistrz powie?

— To, co wam powiedziałem.

— A... tak!

— Szczerze... bez ogródek... jak rzeczy stoją... O rzece... każę ciągnąć losy...

MacKay podniósł oczy.

— Ciągnąć losy? — powtórzył.

— Tak... Wszyscy z wyjątkiem Sandersa... On by się nie nadał. Jedno ciągnięcie... Kto wyciągnie, zabiera swego towarzysza z dwójki...

— Ale przecie nie trzeba ciągnąć — zaprotestował gwałtownie MacKay. — Czy nie mówiłem...

Wachmistrz przerwał mu krótko.

— Mówiliście, ale to nie znaczy, żebym was miał posłuchać... Nie, Jock, wszyscy muszą ryzykować... wysłać człowieka na taką rzecz — nie — niech wszyscy ryzykują. — Spojrzał na zegarek. — Zrobimy to

po pierwszej zmianie... Powiecie Cookowi, zanim pójdziecie na wartę. Poszukajcie go od razu. Macie jeszcze pół godziny czasu.

MacKay odszedł, pomrukując. Wachmistrz siedział w kucki koło ogniska. Poruszył przygasające popioły, które strzeliły gniewnym błyskiem i oświetliły na chwilę jego żołnierską twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi, naciągniętą mocno skórą, silnymi, muskularnymi szczękami, głęboko osadzonymi, szeroko rozstawionymi oczami i zuchwałym nosem.

Oczy te patrzyły w ogień nie widząc. Wargi poruszały się w modlitwie czy też w przekleństwach.

Z głębi oazy doszedł odgłos kroków wartującego Abelsona i trzask deptanych przez niego kruchych liści palmowych.

Wachmistrz drgnął i zerwał się na nogi. Kij, którym przegarniał ognisko, upadł na ziemię. Poczul, że cały zeszywniał i że na czoło wystąpił mu pot... nie zwykły pot, właściwy pustynnym dniom i nocom... lecz nagły, zimny pot, pot trwogi. Obejrzał i zobaczył znikającą między drzewami ciemną sylwetkę wartownika.

Roześmiał się z samego siebie niewesołym śmiechem i otarł czoło przedramieniem. Usta jego wykrzywił nerwowy grymas.

— Rozklekotałem się — mruknął i poszedł do swego garnizonu.

IX

Przyszła zmiana i wartę objęli Cook i MacKay. Wachmistrz siedział nad źródłem, oparty plecami o pień palmy. Na wprost niego siedzieli i leżeli Hale, Morelli i Abelson. Księżyc stał wysoko nad głowami czuwających, zalewając jasnym światłem polankę, która wyglądała teraz jak srebrny półmisek, oprawiony w heban i srebrne ażury. W miejscu, gdzie siedzieli, było tak jasno, że można było od biedy czytać drobny druk. Wachmistrz przemawiał. Właśnie skończył i zapanowało milczenie.

Wszyscy byli bez hełmów. Miękkie, lecz metaliczne światło nadało ich twarzom jakiś szczególny wygląd, tak że spoglądali na siebie

ze zdziwieniem, zauważając szczegóły — ostre, ciemne zagłębienia — jakie nigdy przedtem nie rzucały im się w oczy.

Na twarzach tych malowała się powaga i pewne oszołomienie. Nikt się nie uśmiechał — na desperacki humor miała przyjść kolej później.

Hale przewrócił się na brzuch, aby lepiej widzieć wachmistrza i odezwał się pierwszy.

— Pan wachmistrz pyta, czy kto nie ma jakiej rady... Jaka tu może być... rada? Wiemy już, jak i co. Wiemy, że wpakowaliśmy się w paskudną pułapkę, ale nie ubliżając, nic nam pan wachmistrz nowego nie powiedział... — Spojrzał na Abelsona i Morellego, jakby w oczekiwaniu na ich potwierdzenie. Skinęli głowami. — Nie ma się nad czym zastanawiać... Każdy jest gotów ciągnąć losy.

Złożył głowę na skrzyżowanych ramionach.

— Zgadzam się — rzekł Morelli. — Nie ma innego wyjścia, panie wachmistrzu... Musimy zrobić jakąś próbę... Niech tak będzie.

Zapadło ponowne milczenie, które przerwał wachmistrz.

— Abelson? — zapytał.

Żyd siedział z kolanami podciągniętymi pod brodę.

— Dlaczego by tak nie miało być dobrze? — rzekł. — Chociaż rozdzielbym tym, którzy wyciągną losy, żeby sobie na początek strzelili w łeb...

— Tak znowu źle nie jest — odparł wachmistrz. — Zawsze to szansa... może bardzo niepewna, ale szansa.

— Hm! — mruknął z powątpiewaniem Abelson. — Ale... uważa pan wachmistrz... przypuśćmy, że jesteśmy tak daleko od rzeki, że pan wachmistrz się nie myli... i przypuśćmy, że nasi ludzie tam dotrą... to i co z tego? Skąd, u... możemy wiedzieć, że tam są nasi... Anglicy?... my nie wiemy. Czy nasi ludzie nie mogą tam spotkać Turków?... Albo Arabów? Czy nie mogą nie spotkać nikogo? A wtedy co? Co, powiadam...

— To są tylko domysły, Abelson — rzekł krótko wachmistrz. — Musimy się kierować prawdopodobieństwami. Pewniejszego punktu wyjścia nie mamy. Czy chcesz, żebyśmy tu zostali i zginęli... lub dali się wystrzelać jak króliki? Cóż innego możemy zrobić? Powiedziałem wam otwarcie jaka jest sytuacja, chociaż mogłem nie mówić... że wszyscy jesteśmy jednakowo zagrożeni i musimy się ratować.

Prosiłem o rady... i chętnie bym się nad nimi zastanowił... nie o narzekania... Na to nie pozwolę... No więc, masz jakąś radę, czy nie?

Abelson łypnął oczami i rzekł z wahaniem, prawie szeptem, patrząc na swoje kolana:

— A gdyby tak spróbować się z bydłem, które do nas strzelało?... Sam pan wachmistrz mówił, że musi ich być niewielu...

— Dobrze — odparł prędko wachmistrz. — Niczego więcej nie pragniemy... Ale jak to zrobić?

Abelson milczał.

— No mów! Powiedz nam, jak to przeprowadzić?

— To już rzecz pana wachmistrza — mruknął Żyd.

— Tak? A ja nie wiem jak. — Wachmistrz podniósł lekko głos, który brzmiał twardo i wyraźnie i mogło się wydawać, że wierci dziury w nieruchomym, przesyconym księżycem powietrzu. — Czy myślisz, że i mnie to nie przyszło do głowy? Co? Wystarczy wspomnieć Bella tutaj, a Pearsona i Browna tam...! Mówisz, że ich jest niewielu... Masz słuszność. Nie może ich być wielu, bo inaczej napadliby na nas otwarcie i wybili do nogi... i może tak byłoby najlepiej...

— Nie... nie ma ich wielu... Możliwe, że tylko dwóch, a może nawet jeden... Tylko gdzie go szukać? Niewykлучzone, że ci, którzy zabrali konie, wynieśli się z tych okolic... ale kogoś zostawili... może tylko jednego. No, ale gdzie oni są, czy gdzie on jest? Byli na donośność strzału... lecz czy jeszcze są? Jak tu się na nich wyprawić, kiedy nie wiadomo, gdzie oni są... Szukać w takim terenie, gdzie mysz by się nie ukryła... Powiesz pewnie, że jednak oni potrafią się ukryć. Pewnie, że mają jakieś ukrycie, ale cóż to nam pomoże? Nie możemy sami szukać na otwartym terenie... Oni kryją się gdzieś w tamtej stronie, w jakimś niewidocznym dla nas miejscu. — Wskazał ręką w kierunku zachodu. — Wiecie, co to pustynia. Na oko wydaje się płaska, ale tak nie jest... I jeszcze jedno: oni chcieliby, żebyśmy się na nich wyprawili. Ilu z nas dotarłoby do ich kryjówki? Pewnie chciałbyś coś powiedzieć o tych dwóch, którzy pójdą jutro? Że pewnie ich tamci zakatrupią? Możliwe... nigdy nie wiadomo, ale jeżeli oni zginą, to z jakiejś innej ręki, nie z tej, która się nami zaopiekowała. Nasi prześladowcy są tam — znów wskazał ręką. — Zwiad pójdzie w przeciwną stronę. Nieprzyjaciel nie zmienił stanowiska, bo przecież nasze

warty coś by zauważyły... W chwili wyruszenia zwiadu reszta nas obejmie czaty nad zachodnim skrajem oazy...

— Nie, Abelson — ciągnął wolno wachmistrz. — Nic z twojej rady. Będziemy ciągnąć losy... Jutro rano — ci, na których padnie, wyruszą zaraz wieczorem albo pojutrze.

— I koniec, i kwita — rzekł Hale, odwracając głowę, wspartą na rękach. — Tak, Izraelu. Jeżeli musisz płuć, pluj sobie w brodę... Panie wachmistrzu, a może by tak troszkę koncertu? Leżymy oto jak cieleńta, przeznaczone na rzeź... Szczęśliwi jak cztery stare torty na zebraniu dziewczic.

Zaczął nucić półgłosem:

Do domu, chcę do domu,
Za morze, hej, za morze!
Dosyć mam wojny, dosyć granatów
I dosyć Turków psubratów,
Mój Boże!
Do domu, chcę do domu,
Za morze, hej! za morze!
Nie chcę umierać, świat mi jest miły,
Boję się wczesnej mogiły...

— No, śpiewajcie, psy syny! Chórem! Wszyscy razem!

Przez pierwsze wiersze tylko wachmistrz wtórował nosowym tre-lom przekupnia ryb. Na „Turków psubratów” przyłączył się Morelli. Ostatni żaloszny dwuwiersz podjął zdumiewająco Abelson.

Zaledwie przebrzmiało przeciągłe „mogiłyyyy”, kiedy wachmistrz zaczął nową nutę. Jego miły, głęboki baryton wydawał się prawie szeptem, ale szeptem muzycznym i wyraźnym: —

Dziewczyno!
Twoje usta
Po nocach mi się śnią...

Wszyscy podchwycili momentalnie melodię i ponad drzewa poniosły się tęskne, rozlewne tony walca i skonały w dali słabym echem.

Nie ma sentymentalisty, który mógłby się porównać z wojującym Żydem. Abelson zerwał się z ziemi i jego chrapliwy, twardy głos

zaintonował „Annie Laurie”. Stał, oblany światłem księżyca, z odchyloną w tył czarną, gładko ostrzyżoną głową, z dziką, zmysłową, lubieżną twarzą o nosie satyra, mieniającą się karykaturalnie efektami świetlnymi.

Prześpiewał wszystkie strofki jedną po drugiej aż do „dla Annie Laurie oddałbym życie”.

Gdy skończył, zapanowało chwilowe milczenie. Abelson usiadł. Podniósł się Hale.

— Piękne — rzekł. Bardzo piękne. Teraz ja was poczęstuję swoim repertuarem:

Ludzie, ludzie, ludzie,

Czyście słyszeli?

Hej, hej!

Jak to z wieczora,

Córki pastora —

Ile ich było...

Reszta przyłączyła się i prześpiewano przeszło dwadzieścia strof, do których ta była refrenem, powtarzając wiernie cały ironiczny melodramat. Skończyli i usiedli uśmiechnięci.

Nagle zerwał się na nogi Morelli. Na jego szerokiej twarzy z zadartym nosem widniał jeszcze cień jonasyzmu, ale zza cienia zaczynał się wyłaniać uśmiech. Przewrócił zgrabnie Hale'a i powalił go na plecy.

— Zrób miejsce lepszym od siebie, Londynie — rzekł. — A teraz proszę uważać, ja dyryguję. Zaczynamy.

Zaczął:

Była biedna lecz uczciwa,

Chociaż miała zawsze pecha...

Śpiewając, tańczył. Śpiewali z nim razem, wybijając lekko takt rękami. Zobaczyli Morellego, jakiego dotąd nie znali. Zobaczyli w jednej osobie Morela i Moreę, głośną parę tancerzy-mimów. Morelli ilustrował swój śpiew tańcem. Przedstawiał biedną lecz uczciwą panienkę we wszystkich fazach jej skandalicznych awantur. Jednocześnie grał rolę bogatego pana, uwodziciela i starych rodziców jego ofiary. I przez cały czas tańczył. Grał nogami i całym krępyim, drobnym

ciałem, które to wydawało się elastycznie kobiece, to brutalnie męskie, to zmanierowane, to pełne godności... Każdy gest, każde poruszenie, każdy krok — wszystko to były niby genialne pociągnięcia subtelnego ołówka karykaturzysty. Tańczył. Reszta śpiewała. Czasami słowa i rytm ginęły w wybuchach śmiechu. Interpretacja strofki:

On zasiada w parlamencie,
Na występnych pisząc prawa,
Gdy ofiara jego grzechu,
Pod latarnią gdzieś wystawa,

tak podziała na Hale'a, że przestał należeć do orkiestry, upadł na plecy i zaniósł się gdaczącym rechetem.

Wachmistrz, śpiewając i klaszcząc w ręce, nie spuszczał z nich uśmiechniętych oczu. Śpiewał:

W wiejskiej chacie strzela szampan,
Pije ojciec z twarzą srogą,
Pije matka: hojna córka,
Lecz przebaczyć jej nie mogą.

Morelli stanął — był to koniec piosenki — i usiadł. Bili brawa, prosili o więcej.

— Jeszcze, Morry, jeszcze! — wołał rozpromieniony Abelson.

— Hi! hi! hi! — gdał Hale.

Wachmistrz poczuł, że ktoś pociągnął go za rękaw. Jednocześnie cichy, rozdygotany, natarczywy głos zaszeptał mu do ucha:

— Panie wachmistrzu! Panie wachmistrzu!

Zerwał się z ziemi. W głębokim cieniu, za drzewem majaczyła sylwetka Sandersa.

— Co takiego? — zapytał niskim, ostrym głosem. Hale, Abelson i Morelli zerwali się również i skoczyli ku drzewu, o które stały oparte ich karabiny. Ich szybkie, nieopanowane ruchy wskazywały na stan najwyższego zdenerwowania.

— Mów! — wachmistrz położył rękę na chudym ramieniu cienia i potrząsnął nim energicznie. Sanders wyszedł na światło polanki. — Mów, człowieku!

— Te... te śpiewy — wyrzucił prawie niedosłyszalnym głosem fanatyka.

— Czy Bell ocknął się? — Wachmistrz mówił zwykłym tonem. Abelson przysunął się bliżej, za nim Hale i Morelli, wszyscy z karabinami w rękach. Uśmiechy ich zgasły, a na twarze wystąpiły ponownie linie gniewu, zdumienia i nerwowego napięcia.

Sanders potrząsnął głową.

— Nie, panie wachmistrzu — rzekł. — Śpi. Śpi spokojnie... ale ja usłyszałem śpiewy... i wyszedłem, i usłyszałem... te śpiewy.

Głos jego podnosił się z każdym słowem. Nawet łagodne, srebrne światło nie gasiło ognia jego bladych oczu. Przygarbione zazwyczaj ramiona prężyły się jak na musztrze. Głos przeszedł w krzyk:

— Rozpustne tańce! Rozpustne śpiewy! Tam człowiek umiera; tam dwaj w ziemi! Wszyscyśmy bliscy śmierci. Wy... rozpustnicy!... Ale jeszcze nie za późno... Powiadam wam, potęga wiary... — Głos mu zadrżał, a na twarz wystąpiły grube krople potu. — Powiadam wam, że jeszcze nie za późno... Bóg jest miłosierny... Bóg jest nieskończenie miłosierny... Módlcie się! Módlcie się za dusze tych dwóch nieszczęśliwych, którzy umarli w grzechu... Módlcie się...

Namiętny krzyk fanatyka przerwał rozkazujący, urzędowy głos wachmistrza:

— Sanders!

Żołnierz zadrżał, tak jak zadrżałby człowiek, którego by obudzono ze snu zanurzeniem w lodowatą wodę. Ciało jego rozprężyło się, a oczy zgasły. Przyłożył rękę do czoła, jakby oszołomiony i odjąwszy ją z powrotem, spojrzął ze zdziwieniem na mokrą od potu dłoń.

Wachmistrz dotknął jego ramienia.

— Wracaj do chaty — rzekł. — Twoje miejsce przy kapralu. Nie powinieneś być od niego odchodzić. Marsz!

Żołnierz zawrócił wolno jak lunatyk... Abelson skoczył za nim z pociemniałą twarzą, wykrzywioną wściekłością.

— Ty kłocu! — krzyknął. — Ty przeklęty... ale ukrzyżowałbym cię do góry nogami, ty!...

Głos uwiązał mu w gardle. Ręce trzymające karabin drżały tak silnie, że aż szczerkał magazynek.

Wachmistrz chwycił go za ramię i odwrócił do siebie.

— Będziesz cicho!? — zapytał, odpychając go. — Jeszcze jedno słowo...

Sanders odszedł pijanym krokiem. Odprowadził go oczami, dopóki nie zginął w mroku.

— Ech! — zabrzmiał głos Hale'a. — Zwariował chłop z kretesem...

Abelson, cały rozdygotany z pasji, odwrócił się i odszedł na dalszy kraniec polanki, gdzie leżały jego zwinięte derki. Zobaczyli jak je rozpostarli i położyli się na nich z twarzą schowaną w ramionach.

— Ma rację — rzekł wachmistrz.

— Ładny koniec zabawy — zauważył Hale.

Morelli wykrzywił usta i spojrzał na karabin, który trzymał w rękach.

— Dusza mi uciekła w pięty — rzekł. — Niech go diabli... Myślałem, że się coś stało.

Odszedł ze zwieszoną głową po derki, znów pełen świadomości swego jonaszostwa.

Hale popatrzył za nim żałośnie, ziewnął i zarzucił karabin na ramię.

— ...noc, panie wachmistrzu! — rzekł...

Garnizon udał się na spoczynek.

X

Wachmistrz stał na krawędzi dachu lepianki. Trzymał przy oczach lornetkę polową, pozostałą po zabitym podporuczniku i zamiatał nią pustynię od zachodniej strony oazy. Widok zasłaniały mu częściowo pnie palm.

Było wpół do szóstej i słońce, dążące wzwyż, oznajmiało swoje przybycie ukośnymi smugami ognia, gorejącymi nad palmami. Czuł na plecach gorące płomienie, będące zapowiedzią nieporównywalnie gorszego żaru... czuł je pomimo grubego, filcowego pasa grzbietowego, który zaczynał się u szyi, gdzie był przypięty do koszuli pod płócienną klapą, zwieszającą się z hełmu, a kończył u pasa spodni.

Obydwie zewnętrzne soczewki lornetki były pęknięte. Trudno było orzec, czy lepiej się widziało przez nie, czy gołym okiem. Ale z lornetką czy bez, widok był ten sam, nic tylko piasek, piasek, piasek... Na próżno wypatrywał śladu jakiejś kryjówki...

Cały garnizon zgromadził się koło źródła. Wszyscy, z wyjątkiem chorego kaprała, który przez ostatnie sześć godzin spał spokojnym snem, nie budząc się nawet przy opatrywaniu rany. Nikt nie stał na warcie. Wachmistrz uznał tę ostrożność za zbędną, zważywszy na to, że sam na razie wartował. Kaprał również został sam, gdyż Sanders poszedł się wykąpać i posilić.

Tak więc po raz pierwszy od chwili przybycia do tego wątpliwego portu, wszyscy znaleźli się razem. MacKay, siedząc, wykonywał rozkaz wachmistrza, tyczący się żywności. Dzielił mianowicie na równe części zawartość puszek z konserwą mięsną, których zapas mieścił się w siodle jucznym w lepiance.

Na próżnym plecaku obok leżało siedem wielkich, twardych sucharów. Taki suchar stanowi razem z konserwą żelazną rację. Po prawej ręce Szkota myła się w płóciennych kubelkach grupa trzech: Abelson, Hale i Sanders. Handlarz ryb i Żyd byli obnażeni do pasa i szorowali się nowym kawalkiem żółtego mydła, znalezionego w plecaku zabitego Pearsona.

Sanders mył się w koszuli, nie miał mydła i poprzestawał na rękach i wodzie. Z dala od tej grupy, na wprost MacKay'a, golili się Cook i Morelli. Cook orał tępą brzytwą po sztywnej szczecinie, pokrywającej mu policzki i silną brodę, pomrukując i postękując. Morelli kłął, gdyż cienkie ostrze jego zużytej żyletki zeskrobywało mu z twarzy papkę, złożoną z włosów, naskórka i mydlin. Między nimi, na wywróconej menażce, leżał maleńki kawałek różowego mydła i mały, zniszczony pędzel.

Była to spokojna, prawie sielska scena: wojsko na wywczasach. „Nasi dzielni chłopcy z n-tego pułku liniowego za frontem”. Wschodzące słońce nie rozpałiło się jeszcze do najwyższego żaru. W powietrzu unosiło się nieomal tchnienie świeżości. MacKay, przejęty sumiennie swym zadaniem, gwizdał żalobnie w puszkę. Hale, pluszcząc się w wodzie, nucił urywki piosenek, jakie śpiewali poprzedniego wieczoru. Zaintonował pogrzebową melodię „Biednej lecz uczciwej” i na wspomnienie tańca Morellego parsknął przeraźliwym śmiechem. Morelli, załatwiwszy się z torturą golenia, otarł mydło z twarzy i udzielił rady Cookowi.

- Ty, rekinie, nie skrob tak mocno, bo ci skóra popęka.
- Cholera! — odparł Cook, skrobiąc się pracowicie po twarzy.

Tylko Abelson i Sanders milczeli. Pierwszy pełen nieukozonej, mrocznej pasji, przeglądającej z ciemnej twarzy, drugi jak zwykle zamknięty na pieczęć wąskich warg, wymowniejszy w milczeniu niż w mowie.

Wachmistrz odwrócił na chwilę oczy od pustyni i spojrzął na polankę. Mała gromadka wydała mu się z wysokości tak dziwnie skrócona i tak podobna do widzianego kiedyś teatru marionetek, że uśmiechnął się. Z tego kąta widzenia i w tym nadzwyczajnie jasnym świetle zebrani razem żołnierze mieli takie same twarde, niesamowite zarysy i lekkie deformacje, tak zabawne w grotesce.

Patrzył dobrą chwilę, lecz w momencie, gdy zwracał znów oczy na pustynię, w drewnianej, teatralnie upozowanej grupie zaszło gwałtowne poruszenie.

Wachmistrz zagryzł usta i zaklął pod nosem... Zobaczył jak Sanders, skończywszy się myć, wyprostował się, potknął, zachwiał i wyrzucił kopnięciem wiadro z wodą. Wysoki wytrysk wody chlusnął na prawą nogę Abelsona, podczas gdy główna struga, która spłynęła po piasku — (patrzacemu z góry wachmistrzowi wydała się ona gigantycznym, czarnym robakiem) — zmoczyła mu prawy but.

Żyd wyprostował się z kocią zwinnością, gładkie, głębokie mięśnie na jego białych plecach zafalowały ruchomymi cieniami, wzrok przesunął się błyskawicznie z mokrej nogi na Sandersa... Dał krok naprzód... Prawe ramię przecięło powietrze...

Sanders runął bezsilnie w rozlaną przez siebie kałużę. Abelson stał nad nim, poruszając z wdziękiem zakończonymi pięściami rękami niby dobrze naoliwionymi tłokami... Widzowie tej sceny zeszywnieli w bezruchu. Całość zachowała w dalszym ciągu charakter groteskowej marionetkowości. Na odgłos pierwszego głuchej uderzenia w szczękę wszystkie głowy zwróciły się w jedną stronę. Mogło się здаwać, że taśma filmu przestała się nagle odwijać i ruchomy obraz zamienił się w zwykłą fotografię...

Wachmistrz wsunął lornetkę do lewej kieszeni spodni, zwinął ręce koło ust i ryknął:

- MacKay!

Grupa straciła drewnianą nieruchomość. MacKay skoczył na nogi i odwrócił się, patrząc w górę, w stronę lepianki. Wachmistrz machnął ręką.

— Tutaj! — krzyknął. Przysiadł ostrożnie na skraju dachu i równie ostrożnie ześliznął się na ziemię. MacKay nadbiegł w pośpiechu.

— Na dach! — rozkazał wachmistrz. — Miejcie oko na pustynię. W razie czego krzyczcie.

— Władźcie prędko!

MacKay wdrapał mu się na plecy, a stamtąd na dach.

Wachmistrz pobiegł między drzewami na miejsce zajścia. Żołnierze zbili się w zwartą gromadkę, wywołując na tym tle dziwne wrazenie tłumu. Abelson, którego wściekłość spotęgowała się jeszcze wskutek nagłego wybuchu, pochylił się i szarpnął palcami lewej ręki za przedni skraj koszuli leżącego człowieka. Pociągnął, podnosząc ku sobie górną część ciała ofiary. Ale Sanders był nieprzytomny. Oczy miał zamknięte, głowa chwiała mu się martwo na szyi, a na lewej szczęce zaczynały się ukazywać zarysy napuchniętego sińca.

— Ty...! — syknął przez zaciśnięte zęby Abelson, nie przestając szarpać. — Ty fałszywy...! — Pochylił się nad ciałem i wykonał gwałtowny gest prawym ramieniem. — Wstawaj, ty...! — rzekł. — Wstawaj i bij się, bo...

Z tyłu spadła mu na nagie ramię ciężka ręka Cooka, twarda, kanciasta, tępopalca ręka, której rogowata skóra uraziła miękkie, obnażone ciało; ręka porośla z wierzchu czerwonymi włosami, podobna do zwierzęcej łapy... Ręka ta wykrcęła go wstecz. Żyd puścił ze zdławionym warknięciem nieprzytomnego Sandersa, odskoczył krok w tył i rzucił się na natręta. Jego lewa pięść zaatakowała brzuch Cooka, który osłoniły momentalnie czerwone łapy i potężne mahoniowe ramiona, prawa uderzyła w kanciastą szczękę twardej, kwadratowej twarzy z odgłosem mocniejszym niż poprzednio o szczękę Sandersa.

Patrzący wstrzymali oddech. Cook ani drgnął. Potrzęsnał lekko głową, odwrócił się i zaczął ściągać koszulę, pochylając się trochę, aby ją przesunąć przez głowę.

Nadbiegł wachmistrz. Patrzył na nich chwilę w milczeniu, przenosząc szybko oczy z jednej twarzy na drugą, po czym wskazał głową na leżącego na ziemi Sandersa.

— Cały? — zapytał

Morelli ukląkł obok zemdlonego i zajął mu w twarz, pomimo opalenizny szaro-błądą, z siną plamą na szczęce. Zobaczył, że powieki poruszyły się lekko i rzekł:

— Nic mu nie będzie.

— Połóż go tam w cieniu i spryskaj wodą — wskazał ręką wachmistrz.

Morelli odciągnął w cień bezwładne ciało. Wlokące się po ziemi, odziane w buty nogi podniosły mały tuman kurzu.

Wachmistrz spojrział na Abelsona. Spotkał się z wyzywającym spojrzeniem rozgorzałych, czarnych oczu, rozmigotanych czerwonymi iskierkami.

— Ty — zapytał — i Cook? — odwrócił się. — Cook! — zawołał.

Cook położył starannie złożoną koszulę koloru khaki na swym hełmie obok stosu sucharów, spiętrzonych na plecaku MacKay'a i zbliżył się ciężkim krokiem do wachmistrza, zaciągając pas.

— Jestem, panie wachmistrzu — rzekł.

Wachmistrz porównał wzrokiem przeciwników. Abelson był wzrostu odrobinę więcej niż średniego, miał niezwykle harmonijną budowę i pełne wdzięku ruchy. Barwa jego skóry w zestawieniu z brązową szyją i ramionami oraz prawie czarną twarzą i granatowymi włosami uderzała zdumiewającą białością. Cook, o cal niższy, krępy, przysadzisty, niezgrabny, z muskularni jak postronki, raził oko poszyciem rudawych włosów, porastających mu piersi i połowę brzucha. Nadto cała górna część jego ciała barwiła się przyblakłymi kolorami wytatuowanych rysunków.

— Waga? — zapytał wachmistrz.

— Sto sześćdziesiąt! — warknął Abelson.

Cook podrapał się po głowie.

— Sto siedemdziesiąt czy coś koło tego? — zapytał wachmistrz. — Może trochę więcej.

Cook skinął głową.

Wachmistrz wsunął ręce głęboko w kieszenie bryczesów i stanął między zapaśnikami, kołysząc się lekko w przód i w tył.

— Posłuchajcie no — zaczął. — Ty, Abelson, za bardzo się awanturujesz. Jeżeli się to jeszcze raz powtórzy, skarzę cię na obostrzony areszt. Rozumiesz? Nie będę zważał na to gdzie jesteście. Chcecie się

bić. Tym razem pozwolę wam — dla oczyszczenia atmosfery. Ale albo będziecie walczyć tak, jak ja wam każę, albo wcale. Zrozumiano? Dobrze. Według reguł Queensberry'ego... Znasz je, Abelson?

Żyd potrząsnął z pasją głową.

— To są reguły — objaśnił wachmistrz — które markiz Queensberry ułożył dla bokserów. Słuchajcie!... Są rundy, ale nie na czas. Runda kończy się, kiedy jeden z zapaśników zostaje powalony. Jedna minuta przerwy... Pozwalam na dziesięć rund. — Spojrzał na niebo. — Słońce jeszcze niewysoko. Jeżeli teraz zaczniecie, zdążycie przed żarem... Dziesięć rund, rozumiecie? Albo wcale... Jeżeli który — powalony — nie zdoła się podnieść po upływie minuty, walka będzie skończona... Jedno kolano na ziemi oznacza powalenie, a zatem koniec rundy. Rozumiecie obaj?

— Cholera — rzekł Cook.

Żyd podniósł gniewnie głos.

— Co, u diabła... — zaczął.

— Spokojnie! — przerwał energicznie wachmistrz. — Tak jak mówię, albo wcale. Pamiętajcie... Za kogo ty mnie masz, Abelson?... Wiem, że jesteś jednym z najlepszych bokserów średniej wagi... Chcę, żeby się to odbyło przepisowo... Twoi przodkowie uznawali reguły... Weź takiego Mendozę. Był o połowę niższy od ciebie i chory na płuca... I walczył w taki sposób... i gorszy... z przeciwnikami dwa razy większymi od Cooka...

— Niech będzie! — warknął Abelson. — Jak mamy zaczynać, to zaczynajmy...

Wachmistrz wyjął ręce z kieszeni i cofnął się w tył.

— Dobrze! — rzekł. — Ringu nie ma, a nas za mało, żeby go zrobić. Starajcie się trzymać na środku. Hale, ty będziesz miał staranie o Abelsona, a ty, Morelli, o Cooka. Ja będę liczył w przerwach sekundy. Hale, Morelli, cofnąć się... — Żołnierze posłuchali skwapliwie rozkazu. — Wy obaj odstańcie od siebie... Gotowi?... Zaczynać.

Odskoczył krok w tył.

Leżący w cieniu drzewa Sanders zaczął się poruszać, usiłując dźwignąć się do pozycji siedzącej. Zaszła mgłą oczy rozejrzały się nieprzytomnie po otoczeniu, i nagle wstrząsnęły nim gwałtowne torse.

XI

Zapaśnicy stanęli naprzeciw siebie w odległości może dziesięciu stóp. Polankę zalewało światło świeżo wzeszłego słońca, przedzierające się poziomo przez osłonę drzew. W czystym blasku, tak różnym od oślepiającego, a bliskiego już żaru dnia, obnażone do pasa ciała połyskiwały kroplami potu, występującymi na skórę nawet w tej najchłodniejszej godzinie dnia i nadającymi jej pozory gładkiego futra białej foki.

Cook, krępy i prosty, stał z prawą nogą wysuniętą nieco ku przodowi, z pięściami razem, z przedramionami pod kątem prostym do bicepsów, a równoległe do ziemi. Wyglądał potężnie, mocarnie i niezwruszenie i nie było w nim ani cienia strachu, czy podniecenia.

Abelson wyglądał przez kontrast jak szabla arystokraty, skonfrontowana z pałąk olbrzyma sankiuloty... Stał ukośnie do przeciwnika, z rozstawionymi szeroko nogami. Ciało jego wystawione było na ciosy przeciwnika możliwie najmniejszą powierzchnią. Lewa ręka wysunęła się giętkim, pewnym ruchem, prawa od łokcia do pięści zwiślała ukośnie w dół. Białosc podniesionego lewego ramienia przysłaniała dolną część twarzy, pozwalając widzieć tylko oczy, czarne, czujne, złe... Była to pozycja według starej szkoły, z tą wielką różnicą, że ciało nie było ani sztywne, ani wyprężone. Każdy ruch był płynny, swobodny i szybki jak u kota. Przypuszczalnie mógł on zmieniać styl walki tak często i prędko jak chciał.

Zbliżał się niedostrzegalnie lekkimi, tanecznymi, oszczędnymi krokami, pozornie ani trochę nieskrępowany ciężkimi, kawaleryjskimi butami. Cook trwał w zupełnym bezruchu, tylko jego niebieskie oczy, osłonięte krzaczastymi, rudymi brwiami, śledziły bacznie kierunek spojrzeń tamtych czarnych, wyglądających zza wysuniętego ramienia...

Abelson zrobił zwód na prawo i nagle skoczył w lewo... Oczy Cooka poszły systematycznie za jego ruchami... Rozległy się dwa uderzenia, tak szybko jedno po drugim, że zwały się w jedno... Cook potrząsnął wielką głową i parsknął dwa razy. Abelson odskoczył tanecznym krokiem i jego pełne, czerwone usta wykrzywiły się szyderczym uśmiechem. Spod lewego oka Cooka wypłynęła czerwona nitka

krwi, a prawe ucho objęła ciemna, purpurowa plama.

Żyd powrócił do ataku prawie momentalnie. Cook wyrzucił prawą pięść ze zdumiewającą jak na tak powolnego człowieka szybkością. Abelson niepowstrzymany w rozpędzie przysiadł lekko w kolanach i wielka pięść musnęła go tylko po włosach... Zabębnił pięściami po zębach i brzuchu przeciwnika i cofnął się tanecznym ruchem w tył...

Hale, stojący obok Morellego, ściągnął wargi w niedosłyszalnym gwizdnięciu.

— Podle nasienie, ale bić potrafi! Co, Morey? Biedny rekin!

Morelli wzruszył ramionami.

Hm! Żeby tak Cook dał mu raz, a dobrze!

Twarz Żyda promieniała szerokim, szyderczym uśmiechem. Podszedł blisko, już teraz nie tańcząc i stanął. Jakby zapomniał o niebezpieczeństwie. Cook uderzył prawą i lewą ręką. I znów ciosy padły zadziwiająco szybko, ale jednak niedostatecznie szybko. Abelson uniknął pierwszego zręcznym zwodem górnej połowy ciała i odparował drugi wyrzutem lewej ręki... Teraz był już zupełnie blisko... Zadał cztery, niewiarygodnie szybkie, druzgocące ciosy tuż nad sercem, po czym wyprostował się błyskawicznie i wyrznął przeciwnika w szczękę. Za drugim uderzeniem z dolnej wargi Cooka trysnęła krew.

— Oo, niech go... — szepnęła Hale. — To nie walka, a rzeźnia!

Morelli skinął ponuro głową.

Walka trwała w dalszym ciągu. Abelson atakował coraz to innymi sposobami, zawsze z tym samym rezultatem. Cook pomimo sińca pod lewym okiem, spuchniętego ucha i rozciętej wargi wydawał się nieporuszony. Stał ciągle w tej samej pozycji, pierś jego podnosiła się równym oddechem, a pogodne oczy śledziły czujnie ruchy przeciwnika.

— Ale on je musi czuć — mruknął Hale. — To nie są zwykłe klapasy, bracie.

Nagle stało się coś nieprzewidzianego... Abelson przypuścił znów jeden ze swych błyskawicznych ataków, lecz Cook zamiast przeciwstawić mu się, jak przedtem, kamiennym bezruchem, pochylił głowę, rozpostarł ręce i ruszył na spotkanie. Twardy cios lewej ręki, przeznaczony dla twarzy, rozbił się nieszkodliwie o czaszkę i naokoło

elastycznego ciała Żyda oplotły się potężne, żylaste ramiona...

— Iiiii! — rzekł Morelli. — A to ci sztuka! Niech żyje Queensberry!

— Oooch! — odetchnął Hale. — Patrz!

Wielkie ramiona zaciskały się wokół smukłego ciała... Z twarzy Żyda pierzchnął uśmiech, ustępując miejsca wyrazowi nagłego przestraszenia, jaki ogarnia człowieka, który postawi nogę na nieistniejącym stopniu. Usta zamieniły się w wielkie okrągłe o, oczy w dwa mniejsze... Nieubłagany uścisk zacieśniał się niemiłosiernie. Bliski uduszenia Abelson wydał jęk bólu...

— Patrz, człowieku, mówię ci! — Hale tańczył z podniecenia na jednej nodze.

Bo Cook wyprostowywał swą zgietą postać. Nogi Żyda znalazły się nad ziemią — na wysokości cała — dwóch cali — pół stopy... Cook stał, prawie wyprostowany. Nagle sprężył się i wyrzucił kolumnę nogi w górę, ku przodowi... Abelson, uderzony silnym udem w krzyż, runął bezwładnie na ziemię i tak pozostał.

Leżał chwilę, pozbawiony tchu, wstrząśnięty i rozbity. Cook odwrócił się i odszedł. Morelli, śpieszący ku niemu, postawił na ziemi płócienny kubek wypełniony do połowy wodą, którą właśnie niósł i ukląkł na jedno kolano. Na drugim kolanie usiadł Cook, spokojny i ogromny.

Abelson, którego twarz ponownie pociemniała z pasji, zerwał się na nogi. Zdawało się, że rzuci się jak piorun na oddalonego o kilka kroków, siedzącego Cooka, który chłodził sobie teraz wodą twarz i głowę.

— Koniec rundy! — zaprotestował wachmistrz. — Trzy czwarte minuty czasu, Abelson. Odpocznij... Hale zaopiekuje się tobą.

Mówiąc to patrzył na minutową wskazówkę swego zegarka.

Hale podszedł z kubelkiem w rękę, z twarzą pozbawioną wyrazu. Abelson odprawił go ruchem ręki. Nie chciał odpoczynku, nie chciał niczego. W jego czarnych oczach zamigotały z powrotem czerwone iskry. Przechadzał się niecierpliwymi krokami tam i z powrotem, mamrocząc coś pod nosem. Biała, połyskująca jego skóra była teraz pokryta grubą warstwą szarego kurzu. Oddychał głośno, głęboko i z trudem. Po plecach i piersiach ciekły mu strumienie potu, żłobiąc w warstwie brudu białe bruzdy.

— Czas! — krzyknął wachmistrz.

Abelson dał susa, bardziej kociego niż kiedykolwiek. Cook ledwie się zdążył zerwać na nogi, po czym stanął mocno, nieco pochylony i osłoniwszy ramionami głowę, czekał ataku.

Żyd, jakkolwiek nieprzytomny z wściekłości, był zbyt dobrym bokserem, aby stracić kompletnie głowę. Nie sypnął gradem ciosów na pochyloną głowę i chroniące ją ramiona, tak jak przy pierwszej rundzie, lecz odstąpił w tył i przysiadłszy tak nisko, że prawie dotykał kolanami ziemi, czekał...

Cook, wyglądając przez skrzyżowane ramiona, zaczął się prostować. Abelson, ciągle w przyziemnej pozycji, uderzył na niego jak huragan. Posypały się szybkie, krótkie, twarde ciosy pięści. Walił jak młotami z bliskiej tuż! tuż! odległości... Cook, stękając pod gradem uderzeń, wyprostował się w całej wysokości i wyrzucił przed siebie ramiona z otwartymi, chwytającymi dłońmi. Żyd przeciekł niejako przez nie jak woda przez zęby wideł... Cook rzucił się w pogoń. Zamachnęła potężnie prawą ręką i gdyby trafił, walka skończyłaby się od razu.

Ale nie trafił. Błyskawicznie, lekko, arogancko, swobodnie Żyd dał susa w bok. Cook, porwany siłą swego rozmachu nie zdołał się zatrzymać. W biegu, prawie padając, dostał miażdżący cios lewej ręki przeciwnika, który ugodził go za prawym uchem... Runął ciężko na twarz... Abelson stanął nad nim z prawą ręką cofniętą w tył, z lewą w gotowości... Cook poruszył się i zaczął wolno podnosić się na rękach. Prawe ramię Żyda cofnęło się jeszcze bardziej.

Wachmistrz skoczył, porwał Abelsona za ramię i odciągnął w tył.

— Koniec rundy — rzekł. — Nie zapominaj, co ci mówiłem... Odejdź teraz na bok... Masz minutę czasu...

Żyd opuścił ponuro ręce i odszedł na bok. Podeszedł do niego Hale.

— Wody? — zapytał. — Może kolano?

— Pieprzę twoje kolano!

Abelson porwał kubek, postawił go na ziemi i nabrawszy wody dłońmi, oblał sobie twarz i szyję.

— To ma być walka? — rzekł — ... z regułami!... Walka? Cholera!...

Hale milczał. Kątem oka patrzył na Cooka, podnoszącego się sztywno z ziemi z pomocą Morellego. Twarz wilka morskiego

umazana była czarną mazią z kurzu, krwi i potu. Usiadł ciężko na kolanie Morellego i zaczął sobie ocierać twarz chustką, zmoczoną przez niego w kuble. Ruchy jego były powolne i obojętne. Oczy patrzyły bezmyślnie w ziemię.

Abelson przechadzał się gorączkowymi krokami. Wargi jego poruszały się bezdźwięcznymi przekleństwami. Kurz z upadku przylegał jeszcze do białych pleców i pudrował na szaroczarne, krótko ostrzyżone włosy...

— Czas! — zawołał wachmistrz.

Znow Abelson poderwał się jak tygrys, ale tym razem nie miał dużej przestrzeni do przebycia. Na wezwanie wachmistrza i Cook obudzili się do niewiarygodnie energicznego, wściekłego życia i ruszył jak byk z pochyloną głową. Pęd jego był równie nieoczekiwany i zdumiewający jak u byka.

Spotkali się z głuchym uderzeniem. Abelson tym razem naprawdę zaskoczony, zareagował nieoczekiwanie lekkim ciosem lewej ręki. Cook parskając odparł atak, i tak jak za pierwszym razem jego potężne ramiona ogarnęły tułów i ręce przeciwnika.

— Morowo! — wrzasnął Morelli. — Hurra, rekin!

— Cicho! — rzekł wachmistrz.

Mogło się здаwać, że powtórzy się scena z pierwszej rundy... Abelson był tego pewny. Wyprężył się cały w wysiłku, by nie utracić gruntu pod nogami... Nagle poczuł, że żelazne kleszcze opadły... Stał sam... swobodny...

Przez jedną fatalną sekundę cud ten napełnił go zdumieniem... Stał z opuszczonymi ramionami, z wyrazem niedowierzania w wytrzeszczonych oczach...

Cook odstąpił o pół kroku w tył... Jego prawa pięść podniosła się od biodra w górę i trafiła Żyda poniżej mostka... Rozległ się głuchy odgłos, który uderzył dzwoniącym echem o uszy patrzących... Wstrzymali instynktownie oddech.

W odpowiedzi na straszny cios, który sparaliżował ośrodek nerwowy zwany splotem słonecznym, Żyd zachwiał się, a dolna szczeka opadła groteskowo w dół. Kolana ugięły się i zaczął lecieć na ziemię twarzą do przodu.

Cook zmienił trochę postawę, zmierzył okiem odległość i wyrznął ponownie podającego przeciwnika. Jego lewa pięść trafiła z takim samym głuchym odgłosem, jak poprzednio, poniżej prawego ucha Żyda nad żyłą senną...

Kierunek upadku Abelсона uległ zmianie. Zamiast upaść na twarz, wyprostował się, tak jakby się w nim odwinęła sprężyna i runął ciężko jak długi na lewe ramię. Przetoczył się na brzuch i znieruchomiał z twarzą w piasku. Mała chmurka kurzu wzbija się nad nim.

Wachmistrz otworzył zegarek.

— Hale! — zawołał. — Ocuć go. Psiakrew, ma tylko minutę czasu...

Hale rzucił się ku leżącemu i usiadłszy na ziemi, położył sobie jego głowę na kolanie. Oblał wodą szarą twarz i zamknięte oczy, uderzył palcami po zwiotczałych nagle policzkach. Już nieraz ratował ludzi w takim stanie i miał doświadczenie. Wziął się do dzieła z całą energią.

Wysiłeków jego nie wynagrodziło nawet najslabsze drgnięcie zamkniętych powiek. Masaż brzucha sprawił, że oddech zemdlonego był już regularniejszy, ale pomimo to pozostał chrapliwy. Wachmistrz patrzył na zegarek. Upłynęła połowa minuty i więcej. Hale spróbował ostatniego sposobu. Chlusnął wodą na nieprzytomną głowę, uniósł ją i pochylił się...

Wziął w zęby ucho Abelсона i ugryzł, ale bez skutku. Bezwładne ciało Żyda zachowało całą swoją absolutnie martwą nieruchomość.

— Czas!

Wachmistrz zamknął z trzaskiem zegarek, podszedł do Hale'a i spojrzął na Żyda.

— Ma dosyć! — rzekł.

Hale skinął głową. Wspólnymi siłami przenieśli bezsilne ciało w cień palmy.

— Dobrze, że się to skończyło — rzekł wachmistrz. — Jeszcze pięć minut, a musiałbym kazać przestać... Słońce jedzie w górę piorunem.

Na polanie Cook, stojąc nad pełnym kubłem wody, obmywał pot z ciała, krew i kurz z twarzy. Morelli krążył koło niego zachwycony, spoglądając co chwila na słońce, ukazujące się właśnie nad wierzchołkami palm.

— Chodź, bracie — rzekł z niepokojem — bo lada chwila dostaniesz udaru. Na miłość boską, włóż zaraz koszulę, pas grzbietowy i hełm albo schroń się w cieniu... Jak ci teraz, dobrze?

Cook zgarnął rękami wodę z włosów.

— Cholera! — rzekł.

XII

Wachmistrz szedł między palmami, wołając Sandersa. Przyśpieszył kroku. Oczy jego latały niespokojnie na wszystkie strony.

Nagle zatrzymał się, zamrugał powiekami i twarz jego wygładziła się momentalnie z wyrazem ulgi. Znalazł Sandersa. Fanatyk klęczał pod palmą. Do uszu wachmistrza doszło ciche mamrotanie. Odróżnił oddzielne wyrazy, recytowane niskim i opanowanym głosem, pomimo to dziwnie podobnym do krzyku. Przystanął, podszedł bliżej i znów przystanął. Był teraz tak blisko, że jeszcze jeden krok, a wpadłby na klęczącego. Twarz podoficera pobruździła się z powrotem ostrymi liniami. Przesunął hełm na oczy i potarł się z zakłopotaniem po głowie.

— O, Boże Miłosierdzia! — mówił głos Sandersa. — Wysłuchaj twego nędznego, pokornego służy!... Błagam Cię, o Panie! Spraw, niech jeden promień z korony Twojej łaski padnie na to miejsce i oświeci dusze zebranych tutaj ludzi... niech zmiękczy, oczyści i uświęci ich złe serca, niech zasieje w nich nasienie tego boskiego kwiatu, który przywiedzie ich do Ciebie, w tej godzinie, kiedy są bliscy śmierci...

Wachmistrz odwrócił się, odszedł wolnym krokiem, nie przestając pocierać w zamyśleniu dłonią po głowie. Głos Sandersa osłabł i rozplynął się w ciszy.

Podoficer wyszedł na polankę. W cieniu palm, na przeciwnym krańcu siedzieli Cook, Morelli i Hale. Na prawo od nich, w odległości dziesięciu kroków, siedział samotnie Abelson. Oprzytomniał przed pół godziną. Zemdlenie trwało dziesięć minut. Siedział skulony, obejmując rękami podkurczone kolana. Z nieszczęśliwej twarzy patrzyły tępo czarne oczy.

Wachmistrz przeszedł przez polankę, minął go i zatrzymał się przed tamtymi trzema.

— Morelli — rzekł — przy kapralu nie ma nikogo. Właśnie byłem u niego. Idź teraz do niego. Jak tam z tobą, Cook?

— Cholera — rzekł były marynarz i skinął głową.

— Hale — zawołał wachmistrz — postaraj się o kawałek papieru i potnij go na paski — sześć; pięć krótkich, jeden długi.

Hale wstał.

— Będzie ciągnięcie? — zapytał. — Dobra.

Przeszedł przez polankę i pochylił się nad plecakiem zabitego Pearsona.

Wachmistrz zbliżył się do Abelsona.

— Dobrze ci już? — zapytał.

Żołnierz odmruknął coś gardłowo. Patrzył w ziemię i brzeg hełmu zasłaniał mu twarz.

— Na pewno?

Abelson nie pokazał twarzy.

— Dlaczego by mi miało być źle? — warknął.

Głos jego brzmiał o oktawę wyżej niż zazwyczaj i drżał jak u dziecka, które ma ochotę płakać, a usiłuje być dorosłe.

— Czy pan wachmistrz myśli, że ja nigdy nie byłem pobity? — zapytał. — Boże Wszechmocny!... ja biłem i mnie bili.. Pan wachmistrz myśli, że wystarczyło dwóch kułaków od tego... tego — żeby mnie... żeby mnie... — wskazał głową na Cooka — niech go...! — urwał i dokończył złamanym głosem — niech jego... goja, bękarta...

Przestał udawać i złożył głowę na skrzyżowanych na kolanach rękach.

Wachmistrz popatrzył na niego i rzekł:

— Weź się w kupę, Abelson. Zapomnij o tym!

— Ja mam zapomnieć? — Głos Żyda zgrzytnął cienko. — Ja mam zapomnieć? — Podniósł głowę i przechyliwszy ją w tył, spojrział wachmistrzowi w twarz. Czarne, szeroko otwarte oczy błyszczały powstrzymywanymi łzami. — Nigdy już nie będę bokserem — rzekł. — Jeżeli powrócę, zostanę... kelnerem albo subiektem... albo alfonsem... Już się teraz nie przydam na nic lepszego... Żeby mnie taki., taki syn... co tylko posługiwał na okręcie...

— Nie przypuszczałem — rzekł wachmistrz — że tak to weźmiesz do serca. Przecież Kid Walker położył cię w siódmej rundzie.

— To i co z tego? — zapytał dzikim, zniżonym, gardłowym głosem Żyd. Słowa zwierzchnika dotknęły go do żywego. — Czy ja się o to gniewałem? Cholera!... To była walka... Hookey Walker był wtedy najlepszym bokserem... i jeszcze nie pił... Honor dać się takiemu pobić... I niech pan wachmistrz nie zapomina, że on miał wtedy dwadzieścia pięć lat, a ja szesnaście... Tak, panie wachmistrzu, szesnaście... Ale to była walka i zostałem pobity dlatego, że on był lepszy

bokser ode mnie... Rozumie pan wachmistrz?... To była walka, nie bijatyka z regułami... Rozumie pan wachmistrz?... Och, ja wiem... Pan wachmistrz chciał, żeby to było sprawiedliwe...

Zerwał się nagle z ziemi i stanął przed podoficerem. Czarne oczy gorzały jak węgle, twarz wykrzywił skurcz, ściągnięte wargi odsłaniały białe zęby... Powstrzymał je z trudem od drżenia.

— Sprawiedliwie! — powtórzył. — I mnie pobił taki wół, taki kloc, taki ...! Nigdy już nie będę walczył... To nie... to nie...

Obrócił się nagle na pięcie i zaczął się oddalać.

— Abelson! — krzyknął wachmistrz. — Marsz mi prosto do chaty. — W głosie jego brzmiała teraz bezosobowa nuta autorytetu.

— Cook! — krzyknął. — Hale! Do chaty!

Odwrócił się i poszedł przodem. Powlekli się za nim z karabinami przewieszonymi przez ramiona.

Słońce wzbilo się teraz nad polankę i promienie jego były w nich jak rozpalone sztaby. Hale dyszał ciężko.

— Smażymy się jak piekielne parówki — rzekł. — Nic, tylko widelcem przez wnętrznosci i potrawa gotowa.

— Cholera — powtórzył Cook.

Wydał wargi i wykrzywił twarz dziwnym grymasem. Słony pot, występujący na skórę przy każdym poruszeniu, wgrzyzał się boleśnie w obrażenia zadane pięściami Abelsona.

Weszli między drzewa, gdzie cień użyczył im jakiej takiej ochrony przed słońcem. Hale szturchnął w żebra idącego obok Cooka.

— Patrz!

Wskazał na Abelsona, zdążającego samotnie w stronę chaty. Żyd szedł jakoś dziwnie, plecy miał sztywne i pochyloną głowę. Hale zagadał.

— Kark sztywny jak pogrzebacz. Popamięta cię, bracie, do śmierci! — roześmiał się ponownie. — Biedny Izaak, wygląda jakby go tknęła paraliż.

Doszli do drzwi lepianki i stanęli, wsparci na karabinach. Nad nimi, na dachu, stał MacKay.

— Aleś sprął skórę lewicie, Cook! Nie mogłem patrzeć, rozumiesz, jako że wartuję, ale widziałem, coś z nim porobił...

Z ciemnego otworu lepianki wyłonił się wachmistrz.

— Dostyc, MacKay — rzekł. — Hale, masz te papierki?

Zagadnięty sięgnął ręką do kieszeni spodni i wydobyl z niej sześć równo udartych pasków różowego listowego papieru.

— Po Pearsonie — objaśnił. — Wozil z sobą całą papeterię... Ciągle gryzmolił nieborak do swojej Mar...

Wachmistrz wziął papierki.

— Stańcie kołem — rzekł. — Chodź, Abelson... Patrzcie... zwinę te paski tak... — Zwinął paski w zupełnie jednakowe kulki i wrzucił po jednej do wyłożonego zieloną podszewką hełmu Bella, który trzymał przewieszony na pasku przez ramię. — Teraz będziemy ciągnąć... Wiecie, w jakim celu... Ten, kto wyciągnie długi pasek, dobierze drugiego ze swojej dwójki. Pomieszam je, patrzcie... Czy kto ma jakiś zarzut?... Nie... Dobrze. Hale, trzymaj hełm.. Będziemy ciągnąć według alfabetu, ja ostatni... — Podniósł głos. — MacKay, pozwolisz Cookowi ciągnąć za siebie?

— Dobrze! — zabrzmiało z dachu.

— Doskonale — obejrzał się na Morellego, który wynurzył się z drzwi lepianki — Jesteś... Słyszałeś? Zgadzasz się?

Morelli skinął głową. Hale wziął w rękę hełm takim gestem, jakby to była cenna kryształowa czara. Oczy wszystkich skierowały się na hełm. Zapadło zupełne milczenie.

— Abelson! — wdarł się w ciszę głos wachmistrza.

Żyd zbliżył się do zbitych w gromadkę kolegów. Szedł wolnym krokiem, z dziwnie pochyloną, sztywną głową, spoglądając spode łba. Chciał coś powiedzieć, ale zmilczał. Wsunął rękę w hełm i wyjął zeń małą, różową kulkę.

— Trzymaj i czekaj — rzekł wachmistrz. — Cook!... — Cook wyciągnął rękę. — Teraz ty sam, Hale. Dobrze.. Teraz Cook za MacKay'a. Tylko żebyś nie pomieszał... Morelli... — Podszedł sam i wziął w palce ostatnią kulkę papieru. — No — rzekł — teraz rozwinicie!

Zapadło znów milczenie, wśród którego cichutki szelest papierków obil się o ich uszy niczym warkot ognia karabinów maszynowych.

— Cholera! — zabrzmiał głos Cooka, który rozwinął długi pasek.

— Twój? — zapytał wachmistrz.

Eks-majtek skinął uroczyście głową.

— Teraz, Cook — rzekł podchodząc wachmistrz — wybierzesz sobie towarzysza.

— Kogo, jak nie mnie? — zabrzmiał z dachu nagłący głos MacKay'a.,

— Cholera! — Cook spojrział w górę i jego kwadratowa, pokiereszowana twarz rozjaśniła się przelotnie uśmiechem szczęścia.

— Powiedziałem — zabrzmiał znów głos z dachu. — Czy panu wachmistrzowi nie mówiłem? Po co było tyle zachodów? Powiedziałem, że pójdę.

Wachmistrz podniósł oczy.

— To zejdź z grzędę. — Odwrócił się do ludzi i stał chwilę, usiłując przeniknąć tajemnicę ich znieruchomiałych twarzy. — Hale! — rzekł.

— Słucham, panie wachmistrzu.

— Zluzuj MacKay'a. A pamiętaj, wyćężaj wzrok... W razie czego krzycz. Morelli zluzuje cię za godzinę. Będziemy się zmieniali przez cały dzień. W nocy będą takie same warty, jak poprzednio. Z dachu, w ciemności, niewiele by można zobaczyć.

Rozległ się szelest i łomot, i MacKay stanął wśród kolegów.

— Właż na dach, Londynie — rzekł, podstawiając plecy.

Hale wdarł się po nim jak gruba mała i niebawem stał na skraju dachu z lornetką przy oczach.

— A teraz — rzekł MacKay — trzeba nam będzie przyszykować się do drogi.

Uśmiechnął się i poruszył nogami w takt dżiga. Zepchnął hełm na tył głowy i otarł mokrym przedramieniem krople potu, połyskujące na pooranej twarzy i ściekające po czole od korzeni srebrnych włosów.

— Szatan by nie uwierzył w taki piekielny upał — rzekł.

XIII

Słońce wzbijało się coraz wyżej. Płynne strumienie żaru lały się prostopadle na pustynię i na samotną wyspę zieleni. Ale stopniowo złota kula zaczęła się staczać nieubłaganie po pochyłości swej drogi,

walcząc zaciekle o władzę i majestat... Zanurzyła się za horyzont, buchnęła wspaniałością dzikich barw i blasków i zaszła.

Księżyc skąpał świat w cichym srebrnym świetle, które spłynęło na umęczoną pustynię niby balsam ukojenia. Ziemia, porażona niemiłosiernym żarem przez szereg pozornie niekończących się godzin, zaczęła go wyrzucać w górę jak rozgorączkowany chory, który zdziera z siebie kołdrę.

Drzewa oazy zamieniły się znów w czarne, kartonowe dekoracje na tle srebrnego światła. Małe źródło, którego szmer wydawał się w dzień dziwnie ściszony, śpiewało rzeźwiącym pluskiem uszom stojących naokoło ludzi.

Było ich pięciu: wachmistrz, Cook, MacKay, Hale i Morelli. Abelson pełnił wartę na zachodnim skraju oazy. Przechadzał się tam i z powrotem, z karabinem w rękę, zamiatając czarnymi, niespokojnymi oczyma puste rozłogi połyskującej, piaszczystej pustyni. W lepiance, w której panował nierozproszony żar dnia, czuwał nad rannym kapralem Sanders.

Nad źródłem wisiało milczenie... Ludzie stali, przestępując nerwowo z nogi na nogę. Wachmistrz manewrował coś przy zegarku na rękę. Cook, niewzruszony, poprawiał na sobie dziwny ekwipunek: ładownicę z amunicją, dwa nisko opuszczone, pękate plecaki z trzydniowymi racjami mięsa i sucharów i wypełniony w trzeciej części worek z wodą, który wożono zawsze na jucznym koniu. MacKay dzwonił dwoma karabinami, swoim i towarzysza. Lewe ramię miał obciążone ładownicą i plecakiem, wypełnionym upchaną masą zerwanych po południu daktyli, prawe dwiema manierkami z wodą. W prawej kieszeni jego spodni kryła się starannie złożona mapa.

Przykra głośna cisza przedłużała się w nieskończoność.

Przerwał ją MacKay. Obciągnął ostatecznie rzemienie karabinów, obejrzał siebie od stóp do głów, uderzył się po lewej kieszeni bryczesów, aby się upewnić, że kompas jest na miejscu i zwrócił się do stojącego z tyłu Cooka.

— Gotowyś, bracie? — zapytał. Głos jego strzaskał ciszę i sprawił na wszystkich wrażenie czegoś dziwnego i strasznego.

— Cholera! — rzekł Cook.

— A więc wyruszamy, panie wachmistrzu? — rzekł na pół pytająco MacKay.

— Ta...ak!

Podoficer był spokojny, ale odezwał się tonem człowieka, który chce strząsnąć z ramion nieznośny ciężar, a nie może. Wyciągnął rękę i rzekł:

— Bywajcie, Jock. Szczęśliwej drogi.

Nastąpiło ogólne podanie rąk. MacKay'owi rozwiązał się język. Odpowiedział z powolnym, szkockim humorem na wariacje pożegnania kolegów. Cook milczał. Kiwał tylko wielką głową, uśmiechając się pokiereszowaną twarzą.

Wachmistrz stał się znów władzą.

— Hale, Morelli, połączcie się teraz z Abelsonem i powiedzcie mu, żeby przestał patrolować. We trzech wysuńcie się na skraj oazy, połóżcie na ziemi w odległości dziesięciu jardów jeden od drugiego i dajcie oko na pustynię. Ja zostanę chwilowo po tej stronie. Żywo!

Oddalili się biegiem, z poziomo opuszczonymi karabinami w prawych rękach, z brzękiem ładownic objających się o plecy i znikli wśród czarnych cieni drzew.

Wachmistrz, mając po obu stronach MacKay'a i Cooka, udał się na wschodnią stronę oazy. Zatrzymali się na skraju zbocza, przechodzącego w pustynię. Wachmistrz rzekł:

— Macie wszystko? Mapę, kompas, żywność, amunicję, wodę? I ten papier z wyznaczoną marszrutą?

MacKay skinął głową.

— Cook, idziemy — rzekł. — Dobranoc, panie wachmistrzu. Przyślemy pomoc za cztery — pięć dni. Może nawet prędzej.

— Będziemy na was czekali — odpowiedział z uśmiechem wachmistrz.

Stał z karabinem w rękę, odprowadzając wzrokiem przyjaciół, spuszcających się po cienistym zboczu na srebrną, usianą czarnymi plamami płaszczynę pustyni. Hełmy błyszczały w księżycowym świetle jak szyszaki z pantominy. Uszli ciężkim marszem może czterysta jardów, wówczas MacKay odwrócił się i skinął ręką. Wachmistrz wyszedł spośród drzew na otwartą przestrzeń i odpowiedział takim samym znakiem. Ciemna figurka podążyła u boku towarzysza w dalszą drogę.

Wachmistrz wdrapał się z powrotem na zbocze i oparł się o pień najdalej wysuniętej palmy. Oczy jego zataczały po pustyni ogromne półkola, powracając co pół minuty do dwóch malejących figurek.

A figurki te malowały w oczach. Początkowo odcinały się na tle srebrnej pustyni ostrymi, czarnymi konturami. Potem stopniowo ostrość znikła i zarysy ich zaczęły zlewać się z tłem...

Dwie postacie stopiły się w jedną, która jeszcze chwilami rozszepiała się na dwie i malała, malała...

W końcu znikła zupełnie i pozostał tylko migotliwy ocean piasku, upstrzony czarnymi, trędotatymi plamami niedorzecznych cieni.

Zmęczone patrzeniem oczy wachmistrza zaczęły mu wypowiadać posłuszeństwo. Zaszły mgłą znużenia. Potarł je ręką, zawrócił i wszedł między drzewa. Złożywszy dłonie przy ustach, zawołał niskim, głębokim głosem:

— Morelli.

Morelli odkrzyknął jak echo i po chwili na oświetloną przestrzeń wynurzyła się jego mała, krępa postać. Wachmistrz podniósł rękę.

— Spokojnie! — rzekł.

Morelli stanął, zadyszany.

— Słucham, panie wachmistrzu?

— Nic się nie stało — rzekł z uśmiechem wachmistrz. — Zawolałem cię tylko do siebie. Po tamtej stronie spokój?

Żołnierz wykrzywił usta.

— Piasek tylko i nic... Na Boga, chciałbym, żeby coś z tego piasku wyskoczyło... Żeby nareszcie wyskoczyło. Można oszaleć od tego czekania...

Wachmistrz zignorował ten drobny wybuch.

— Oprócz Sandersa jest nas tylko czterech. Sanders, zdaje się, zasmakował w swojej szpitalnej roli. Będziemy trzymali wartę po dwóch, po dwie godziny na zmianę. Jeden z tej strony, drugi z tej. Patrowanie i spotkanie na północnej i południowej stronie dowolne. Teraz zaciągniecie wartę, ty i Abelson. Ja i Hale zlużujemy was za dwie godziny.

Skinął głową, przeszedł przez polanę i powtórzył rozkaz. Hale powrócił z nim do lepianki. Nagle z ust eks-handlarza ryb posypał się potok słów.

— Jock i Cook poszli. Ano poszli. Jak pan wachmistrz myśli, uda im się czy nie uda? Znajdą brygadę albo jakieś nasze oddziały czy nie? Jak to nasi daleko? Sześćdziesiąt siedem mil? Chryste! To ci spacer... Ale chłopcy mocne i dzielne... Cook dał Izraelowi za swoje,

co, panie wachmistrzu?... Ho, ho!... A jeżeli uda im się dotrzeć do naszych...

Wachmistrz powstrzymał energicznie niepotrzebną paplaninę.

— Powiem ci, co myślę — rzekł. — Jest duże prawdopodobieństwo, że przejdą. A teraz pomóż mi rozpalic ognisko, i spokój!... Musimy ugotować zupy dla Bella.

Hale, ciągle gadając, zniknął między drzewami w miejscu, gdzie poszycie było najgęstsze. Wachmistrz popatrzył za nim ze zmarszczonym czołem. Głos żołnierza brzmiał nienaturalnie wysoko, w słowach jego nie było ani cienia prawdziwego humoru. Nogi — wachmistrz nie był pewny, czy nie myli go zmęczony wzrok — plątały się lekko. Gorączkowa, nieskładna gadanina nie przypominała w niczym...

— Nerwy! — pomyślał wachmistrz. — A może nie. Może tylko moje nerwy.

Hale powrócił niosąc drzewo na rozpalkę. Był teraz spokojny, powolny i jakby w letargu. Rozpalili ognisko. Dym wzbil się prosto w nieruchomym powietrzu. Hale siedział obok w kucki, przybity, posępny, dokładając drzewa. Wachmistrz wszedł do lepianki.

Fala powietrza, gorętszego niż na zewnątrz, uderzyła go miękko w twarz. W ciemności rozległy się jakieś ciche głosy. Bell przewrócił się niespokojnie i mamrotał niezrozumiałe wyrazy i fragmenty zdań. Chwilami z gorączkowego bełkotu wylaniały się zdumiewająco wyraźne słowa. Przy posłaniu z derek majączyła skulona sylwetka Sandersa. I on również przemawiał, cicho i prędko.

Wachmistrz stał chwilę w drzwiach, nasłuchując.

— ...Suka... — zabrzmiał wyraźnie chrapliwy, skrzeczący głos rannego. — Oślepnij, ścierwo... — Bełkot wzmógł się i popłynął ciemnym, nieartykułowanym strumieniem gwałtownego uniesienia.

I nagle zamarł.

Teraz rozległ się szept Sandersa:

— ...udręczoną duszą, o Boże! Spraw, aby znalazła ukojenie...

Wachmistrz wszedł do chaty.

— Sanders! — rzekł cicho.

Cień podniósł się z ziemi.

— Słucham, panie wachmistrzu? — odparł szeptem.

— Wyjdź na dwór! — rzekł wachmistrz i wyjąwszy z siodła jucznego, złożonego w dalszym kącie, puszkę z konserwą mięsną — (pozostały tylko trzy) — dotarł po omacku do drzwi i wyszedł na światło księżycyca.

Przed chatą, obok buzującego wesoło małego ogniska, siedział w kucki Hale. Po drugiej stronie stał Sanders. Wachmistrz podszedł do nich.

— Przynieś menażkę, Sanders — rzekł.

Żołnierz podał naczynie.

— Wiedziałem, że będzie potrzebna. Co mam jeszcze zrobić, panie wachmistrzu? Może wrócić... tam? — wskazał głową w stronę lepianki.

Wachmistrz wziął menażkę i postawił ją na ziemi. Następnie usiadł, wydobyl z kieszeni nóż składany i zaczął otwierać blaszankę.

— Nie — odpowiedział. — Chcę z tobą pomówić. Gorzej mu... prawda?

— Tak jakby gorączkował. Bredził.. — odrzekł powoli Sanders. Nagły wybuch ognia z małego ogniska oświetlił patrzącym w górę oczom wachmistrza chudą, zgaszoną, fanatyczną twarz.

— Słyszałem... a ty, Sanders — głos władzy zabrzmiał aksamitnie, ale kategorycznie. — Chcę ci powiedzieć, że jeżeli chcesz się modlić, to rób to po cichu. Rozumiesz? Nie wolno hałasować przy tym biedaku... Teraz sobie odpocznij... Miałeś ciężki dzień. Ja przy nim posiedzę, dopóki nie pójdę na wartę... Jak tam twoja szczeka? Bardzo boli?

Ciało Sandersa, chude, wynędzniałe i niegodzące się z wojskowym ubraniem, wyprężyło się ostro na baczność. Obnażona, wąska głowa świeciła srebrnymi plamami księżycowego światła, poprzedzielanymi czarnymi cieniami; czerwony blask ognia oblewał tors i ramiona. Rzekł głosem napiętym i tak cichym, że ledwie dosłyszalnym.

— Nic mi nie jest.

Ale podniósł rękę do twarzy i dotknął delikatnie palcami miejsca na szczęce między brodą i uchem.

— Dobrze — rzekł ostro wachmistrz. — Teraz sobie wypocznij, masz swobodę. Możesz się umyć, przespać lub wypalić papierosa. Co chcesz...

Sanders, sztywny jak drąg, zrobił w tył zwrot i odmaszerował niezgrabnymi krokami surowego rekruta, udającego bez powodzenia wyćwiczonego żołnierza. Wachmistrz odprowadził go ukradkiem wzrokiem. Gdy ciężka postać rozplynęła się w mroku, wziął się ponownie do otwierania puszk.

— Jak się czujesz, Hale? — zapytał.

— Średnio, panie wachmistrzu — oparł bezbarwnym głosem londyńczyk. — Gorąco jak w piekle, i chciałbym kobiety!... Ot, takiej małej, brunatnej...

Wachmistrz uśmiechnął się.

— Podaż i popyt nie zawsze idą w parze. Popyt piekielny, ale w podażą krucho... tutaj, w tej dziurze... — Wydobył z blaszanki połowę miękkiej masy mięsnej, wylewając na ziemię roztopiony tłuszcz. Włożył mięso do menażki. — Przynieś mi wody — rzekł.

— W manierce.

Hale wstał sztywno na nogi. Przeciągnął się powoli, przycisnął rękę do obolałego krzyża, schylił się, potarł po również obolałych udach i oddalił się ciężkim krokiem po manierkę i po wodę.

Wachmistrz postawił ostrożnie menażkę, wstał i podszedłszy na palcach do drzwi lepianki, zaczął nasłuchiwać. Usłyszał ciężki, szybki oddech chorego człowieka, niezrozumiały pomruk i wyraźne słowa — „...prosiłbym na miłość boską...” — które przeszły momentalnie w gwałtowny, nieartykułowany półszepet, półkrzyk. Wachmistrz czekał przyzwyczajając oczy do ciemności... Wreszcie ukląkł obok posłania z derek i położył rękę na czole chorego człowieka. Skóra była sucha i gorąca. Znalazł po omacku manierkę wypełnioną do połowy wodą, wsunął lewe ramię pod szyję kaprała i odkorkował zębami manierkę.

— ...ty zatracona...! — wybuchnęło z ust głowy wspartej na jego ramieniu. — Ty... stój z daleka... Daj mi tę szklanę... żywo... Nie ciebie chcę.

Wachmistrz przysunął łagodnie szyjkę manierki do spalonych, bełkocących ust. Sztywne włosy nieogolonej brody drapały go po przedramieniu.

Nad źródłem stał pochylony, zmęczony Hale i łapał wodę w wąską szyjkę manierki. W odległości trzech jardów od niego leżał nieświadomy sąsiedztwa Sanders. Leżał twarzą do ziemi, z głową schowaną w ramionach.

Hale wyprostował się z jękiem. Ból w krzyżu stał się nie do wytrzymania. Spostrzegł, że przestał się pocić. Wzrok jego padł na leżącego Sandersa.

— Hej! — zawołał, i raz jeszcze: — Hej!

Sanders podniósł głowę.

— Co? — zapytał znużonym głosem. — Co tam? — Hale zbliżył się do niego wolnym krokiem.

— Co ci jest? — zapytał. — Biadolisz i biadolisz. Czy bardzo cię boli szczeka?

Sanders potrząsnął głową.

— E, musi boleć — orzekł Hale. — Już ja wiem. Żydowin, bo Żydowin, ale bije cholera... Nic sobie z tego nie rób! Uszy do góry, bracie! Rozmazgałeś się bez ratunku. Gdybyśmy mieli rum, wykurowalibyśmy cię w mig. Dobrze by ci zrobiło...

Sanders podniósł na kolegę znękane oczy.

— Nie gniewaj się — rzekł — ale wolalibyśmy być sam.

Hale wbił korek w szyjkę manierki gniewnym uderzeniem dłoni. Uśmiech pierchnął z jego ust, a na czole ukazała się gniewna bruzda.

— Dobrze! — sarknął. — Niech cię wszyscy diabli, zgryźliwy mruku... Lepiej by ci było, żebyś więcej myślał o sobie, a mniej o J. C... I on byłby zadowolony...

Odwrócił się i odszedł, kołysząc na pasku manierkę. Znalazł wachmistrza, siedzącego na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, z dala od dogasającego ogniska.

— Niepotrzebnie się trudził, Hale — rzekł do żołnierza. — Dziś mu nie damy zupy... Bardzo chory. Dostał febry. Pewnie komar go ukąsił.

— A! — Hale upuścił manierkę i usiadł ciężko na ziemi. — Febra jest...! — Wskazał głową w kierunku lepianki. — Nie wyjdzie z tego?

Wachmistrz wzruszył ramionami.

— Mam nadzieję, że wyjdzie, ale Bóg jeden wie, a On nie powie... Cóż my możemy zrobić?... Mam na szczęście trochę chininy, ale to na długo nie wystarczy...

Hale spojrzał na czerwone popioły ogniska i rzekł, nie podnosząc głowy.

— Nie lepiej by to było, żebyśmy się wszyscy od razu wyprawili, zamiast tamtych dwóch?

Wachmistrz otarł spoconą dłoń o bryczesy, sięgnął do kieszeni,

wyjął skórzaną papierośnicę i otworzywszy ją, policzył papierosy. Było ich dwadzieścia trzy.

— Reszta — rzekł.

— Dziękuję, panie wachmistrzu.

Hale chwycił w powietrzu papieros, zapalił go od tlejącego w ognisku patyka i włożył w usta.

Wachmistrz zaciągnął się głęboko dymem i wypuścił go powoli nosem z satysfakcją nałogowca.

— Przedyskutowaliśmy już tę sprawę, Hale — rzekł. — Wszyscy nie mogliśmy iść. Nie. Nie zdołalibyśmy zabrać z sobą ani Bella, ani dostatecznej ilości wody... To nie matematyka, ale chociaż dwaj ludzie mogą unieść zapas wody na dwóch, powiedzmy na cztery dni, ośmiu nie może zabrać prawie tygodniowego zapasu na ośmiu... Przemyślałem naszą sytuację gruntownie.

Hale skinął głową.

— Tak, panie wachmistrzu — rzekł. — Rozumiem, że inaczej nie dało się zrobić i tak sobie tylko zrządzą na wiatr... Czy pan wachmistrz żonaty?

Podoficer zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. A ty?

— A jakże, choć lepiej by było, żebym nie był — Mówił ze wzrokiem utkwionym w ziemię, trąc się delikatnie rękami po obolałym krzyżu. — Nie żebym się skarżył na żonę, dobrześmy się dobrali, tylko wojna weszła w paradę... Nawoływało się: „Walczcie za Ojczyznę, za żony i dzieci!” Ano, walczcie, to walczcie! Ale teraz chciałbym wiedzieć, co komu z tego przyjdzie, jeżeli zginę i moja żona zostanie sama z chłopcem?... Pytam, co?

— Ale jeżeli by to każdy powiedział i nie poszedł... — zaoponował wachmistrz.

Hale poruszył się niespokojnie.

— Wiem... tylko, że tak człowiekowi dziwnie. W tarapatach wszystko wydaje się...

Nie dokończył zdania, pozostawiając je niejako zawieszony w cichym, ciężkim powietrzu. Równa, spiralna kolumna dymu z papierosa jaśniała w blasku księżyca jak strzep mgły.

— Wiedziałem, co mówię — rzekł nagle — kiedy powiedziałem, że chcę kobiety. Pół godziny z tą pierwszą, którą miałem na Grand Road postawiłoby mnie na nogi. Co to była za dziewczynka!... Pan wachmistrz był kiedy na Grand Road?

— Tak — odrzekł podoficer. — Nie bardzo mi się tam podobało, za wielki ruch... Tylko w japońskich domach nie ma się tego uczucia...

— Rozumiem pana wachmistrza — rzekł powoli Hale. — Kwestia osobistego gustu... Pan wachmistrz wyżej stoi ode mnie i inaczej patrzy na rzeczy... Ale ta pierwsza była klasa... Dziwiłem się cały czas, skąd ona się tam wzięła... Nie pasowała do tego wszystkiego... Zabawnego koloru miała skórę, coś niby cytryna z kawą. I była bardzo młoda. W Blighy dałbym jej osiemnaście lat... pewnie naprawdę miała ze czternaście.

Urwał nagle i znieruchomiał ogarnięty urokiem wspomnień. Wachmistrz palił papierosa.

— Jedno mnie zastanawia — ocknął się żołnierz. — Dziwne, jak ludzie patrzą na takie rzeczy... W domu naturalnie nie zrobiłbym tego... chyba, żeby mnie popchnęli... Ale z dala od Blighy... Niech Bóg ma nas w swojej opiece! Czy to my mnichy, czy co? Moja żona nie pomyślałaby sobie tego... ona mnie zna... Ale inne rozumieją. Nie wszystkie...

Urwał nagle i zwrócił głowę w stronę lepianki, z której wnętrza zaczęły dolatywać stłumione krzyki, pomruki i wołania. Wachmistrz zerwał się z ziemi i zniknął w drzwiach. Odgłosy trwały chwilę, osłabły i umilkły.

Hale, pozostawiony sam, zmienił pozycję. Wyciągnął się jak długi na wznak, z rękami podłożonymi pod głowę. Ból w krzyżu spotęgował się do tego stopnia, że sięgnął w górę do łopatek i w dół do kolan. W głowie miał uczucie bolesnej, napuchłej lekkości. Sucha skóra paliła go nieznośnie i po raz pierwszy od wielu miesięcy nie był spokojny.

Cisza, zupełna i nieubłagana, gniotła mu piersi jak jakiś wielki ciężar. Czuł formalnie ból. Rozmawiał z sobą cicho, spieczonymi wargami.

— ...Komar! — Paskudztwo dostaje się człowiekowi pod skórę... gorączka... niech!... Nie mogę się teraz rozchorować! Aby wytrzymać...

Sięgnął po omacku ręką po manierkę, którą napełnił u źródła. Leżał szepcząc do siebie i popijając raz po raz chłodną wodę. W głowie mu się mroczyło.

Wachmistrz wyszedł z lepianki. Otworzył zegarek na rękui spoj-
rzał na tarczę, oświetloną fosforyzującymi wskazówkami i cyframi.

— Hale — rzekł — kolej na mnie i na ciebie. — Oddalił się od cha-
ty, nawołując: — Sanders! Sanders! — Spomiędzy drzew wyłonił się
wołany. — Idź do kaprala — rzekł wachmistrz. — I czuwaj. Bardzo z
nim źle. Silna gorączka. Dałem mu chininy i położyłem mokry ban-
daż na głowie. Pilnuj, żeby nie wysechl. Zdaje się, że mu to dobrze
robi. Nie pozwól mu się rzucać, żeby nie rozkrwawił rany. W razie
czego obudź Abelsona albo Morellego.

Zaraz zejda z warty. Gdyby zaszło coś poważnego, pošlij którego
po mnie i żadnych hałasów. Sanders! Rozumiesz? Jeżeli chcesz się
modlić, to módl się po cichu.

Sanders, wyprostowany cudacznie na baczność, skinął głową. Na
znak odwrócił się i zniknął w głębi lepianki. Wachmistrz poszedł za-
brać swój oparty o drzewo karabin.

— Chodź, Hale — rzekł. — Żywo. Masz karabin? Ja obejmę
wpierw wartę od wschodu. Ty idź na zachodnią stronę i zluzuj Abel-
sona. Od czasu do czasu patroluj. Nie ciągle.

Hale dźwignął się na nogi. Jego karabin stał gdzieś pod ścianą
chaty. Błysk światła księżycowego, sączącego się przez ażury liści
palmowych, ukazał lufę. Wziął karabin, który wydał mu się niemoż-
liwie ciężki. Ledwie się trzymał na nogach. Miał wrażenie, że jego
głowa stała się lekka i wielka jak piłka futbolowa.

— Panie wachmistrzu — zaczął nieswoim głosem — ja... — Ale
wachmistrza już nie było.

— Do diabła... — mruknął. — Nie mogę teraz zachorować. — Za-
rzucił karabin na ramię i już na pewniejszych nogach wszedł między
drzewa.

Abelson wyszedł naprzeciwno, ze sztywno zgiętą szyją.

— Czas... — rzekł półgłosem. — Nic tam nie ma do roboty... Pu-
stynia jak wymiółł, gorąco jak... co?

Oddalił się w kierunku lepianki.

Hale wciągnął parę głębokich haustów powietrza, wyciągnął rękę i
oparł się o pień palmy. Stał chwilę zacinając zęby, po czym powlókł
się ołowianymi krokami na skraj oazy i legł na ziemi z karabinem
pod sobą. Oparłszy na rękach ciężką głowę, która z piłki zamieniła się
w dynię, zapatrzył się w zalaną księżycem pustynię. Oczy miał rozpa-
lone. Czuł je głęboko w czaszce na podobieństwo ognistych zębów.

Czas płynął. Leżący czuwał, pożerany ogniem, który przepalał mu skórę jak żywe płomienie papier, to znów wstrząsany nagłymi atakami zimnicy. Ale ani na chwilę nie odrywał gorących, błyszczących oczu od nieograniczonego srebrnego półkola piasku, upstrzonego czarnymi cieniami. Chwilami miał wrażenie, że jego ciało przywiera mocno do twardej ziemi, to znów, że odrywa się od niej i unosi wśród zimnych płomieni. Chwilami przed oczyma zaczynały mu tańczyć ogniki czerwone, niebieskie i zielone. Przecierał je wtedy ze złością bezsilną ręką, która wydawała się tłusta i wiotka, dopóki nie znikły i nie odsłoniły błyszczącej nieskończonością pustyni. Chwilami rozmawiał z sobą i wtedy albo go paliło w ustach, albo musiał zaciskać zęby, żeby nie szczękały.

— Nie mogę... — mówił. — Nie mogę być chory... Chory... Nie wolno mi się rozchorować! Boże, żebym się tylko spociał!

Bezpośrednio po jednym z takich wybuchów, któremu towarzyszył taniec kolorowych płamek przed oczyma, wydało mu się, że coś dostrzegł... coś jakby poruszenie... daleko na pustyni, w prostej linii przed sobą... może w odległości czterystu jardów, a może mili.

Przetarł znowu oczy, chociaż mu się już w nich nie mąciło. Pomyślał, że może to halucynacja i zastygł w oczekiwaniu.

Poruszenie powtórzyło się. Nie mógł określić odległości. Wrażenie było takie, jakby odwinął się skraj poszarpanej plamy cienia.

Czekał... Ruch powtórzył się po raz trzeci. Wstał ostrożnie na kolana, z ręką na karabinie. Ale nogi i głowa odmówiły mu posłuszeństwa. Osunął się bezsilnie na ziemię z uczuciem, że stał się ośrodkiem otaczającego go wiru. Leżał na plecach zgrzytając zębami. Po chwili dźwignął się z wysiłkiem, który przyprawił go o drżenie całego ciała i oparł się o pień drzewa, ściskając w obu rękach karabin.

Zobaczył ruch, tym razem zupełnie wyraźnie. Spróbował podnieść karabin do ramienia, ale bez skutku. Wyteżając wzrok, dostrzegł coś więcej niż ruch, bo postać... a w każdym razie coś czarnego i wyprostowanego w całej wysokości w miejscu, gdzie przedtem nie było nic. Zachichotał nagle jak podniecona dziewczyna i poczuł się trochę silniejszy.

— Nie widzę — mruknął. — Niedobrze widzę... podejść bliżej... blisko... i strzełę.

Zaczął iść już na silniejszych, lecz niezupełnie pewnych nogach, gdyż w głowie mu się kręciło i nie wiedział, jak je stawiać. Wynurzył się z cienia drzew, zlął po małym, stromym zboczu i znalazł się na piaskowej równinie.

Uszedłszy pewną odległość ciężkim, kołyszącym się krokiem, zatrzymał się, przykleknął na jedno kolano i wyteżył wzrok... Czarne, proste coś, było teraz zupełnie wyraźne i duże.

— Strzele do...! — rzekł.

Podniósł karabin do ramienia, ale lufa nie chciała słuchać i zataczała koła. Przygryzł dolną wargę tak mocno, że pocięła z niej krew. Lufa znieruchomiła. Wycelował ostrożnie, starannie... Czarny, prosty obiekt poruszał się, choć prawie niedostrzegalnie... wkrótce rozszczępił się na dwie części... Wycelował do jednej...

Położył palec na cynglu...

Nagle poczuł dwa uderzenia... dwa wstrząśnienia, prawie jednocześnie, tak straszliwe ciosy, że runął w tył jakby powalony lassem, rzuconym z grzbietu rozpędzonego konia.

Karabin wypalił własnowolnie w niebo. W chwili, gdy świat buchnął w jego mózgu beźmiarem płomiennych ciemności, usłyszał jeszcze słabe paf! paf! i zrozumiał, że został trafiony dwiema kulami...

Legł w dziwnie skręconej pozycji...

Karabin, który utknął między ciałem i skurczonym ramieniem, przybrał położenie palca, wskazującego ku niebu, a na niepokalaną jasność piasku spłynęła wąska, leniwa czarna struga.

XIV

Trzy wystrzały... podwójne, słabe „paf” i głośny, zupełnie bliski trzask...

Wachmistrz, leżący między drzewami na wschodnim skraju, zerwał się z ziemi i przebiegłszy przez polankę, wpadł między palmy po przeciwległej stronie. Tu rzucił się na piasek i poczołgał prawie na sam skraj zbocza. Odwrócił głowę.

— Hale! — zawołał cicho.

Ale nim zdążył zawołać, oczy jego ogarnęły pustynię i zobaczył. Przewrócił się na bok i przyłożył rękę do ust.

— Morelli — ryknął — Abelson! Alarm! Do mnie!

Po czym położył się z powrotem na brzuch i przyłożył karabin do ramienia. Nie widział nic z wyjątkiem piasku, cieniów i skurczonego ciała Hale'a z lufą, wycelowaną ku niebu.

Ale strzelił. Dał trzy strzały w powietrze w kierunku ciała. Donośny huk roztrzaskał ciszę nocy. Śpiący ludzie musieli go usłyszeć, jeżeli nie usłyszeli wołania.

Nadbiegł Abelson, a za nim Morelli.

— Padnij! — rzekł wachmistrz. Doczołgajcie się do mnie!

Padli na ziemię i poczołgali się jak wielkie robaki. Każdy miał karabin i ładownicę. Obaj byli z gołymi głowami. Morelli miał na sobie koszulę, spodnie i skarpetki, Abelson to samo, prócz skarpetek.

— Co się stało? — zapytał świszczącym krzykiem, udającym szept.

— Boże! — rzekł Morelli. Oczy jego padły na nieruchome ciało. — Patrz, idioto!

Abelson spojrział i umilkł.

Rozległ się tupot nóg, nadbiegł zupełnie ubrany Sanders i legł zdyszany obok Morellego.

Nad czterema ludźmi i zalanym księżycem światem zapadła cisza.

— Nic nie widzę, psiakrew — odezwał się w końcu Morelli.

— Chryste! — Żyd zerwał się gwałtownie na nogi.

— Na ziemię! — syknął wachmistrz. — Na ziemię, psiakrew!

Ale Abelson nie posłuchał. Stał z wyciągniętą szyją, ze wzrokiem utkwionym w bezwładnej, ciemnej masie, leżącej na błyszczącym piasku.

— Rusza się! — wykrztusił. — Tam! Patrzcie! Powiadam wam! Poruszył się dwa razy!

Pokazał ręką, która dygotała.

— Na ziemię, psiakrew! — zabrzmiał w ciężkim powietrzu ostry głos wachmistrza. — Zastrzelili go i teraz czekają, żeby ktoś po niego wyszedł. Nie możemy ryzykować. Nie możemy tracić więcej ludzi...

Nie dokończył. Abelson rzucił z trzaskiem karabin i pochylił się jak zawodnik szykujący się do biegu. Wachmistrz zerwał się na kolana

i wyciągnął rękę, ale palce jego zdążyły tylko dotknąć nagiej stopy. Abelson był już na zboczu, na pół biegnąc, na pół spadając. Kiedy znalazł się na równinie, patrzący zobaczyli błysk białych, rozpedzonych nóg.

— Przeklęty dureń! — sarknęła Morelli.

— Niekarne bydło! — wachmistrz przyłożył karabin do ramienia.

— Ale odważny... Teraz wszyscy, uwaga... Uwaga, psiakrew! Patrzcie tam, za Hale'a. Jeżeli coś zobaczycie, strzelać salwami...

Wyteżyli wzrok powstrzymując oddech, tak jakby to mogło skrócić przestrzeń. Ale chociaż patrzyli w dal, byli intensywnie świadomi biegnącej, pochylonej postaci Abelsona, przebywającego sto pięćdziesiąt jardów ruchomego, grząskiego piasku, dzielących go od Hale'a. Wiedzieli kiedy dobiegł do celu, upadł na kolana i pochylił się skwapliwie nad ciałem...

Z piersi Morellego wydarł się krzyk.

— Tam! tam!

Noc zatrzęsa się od huku wystrzałów. Wachmistrz ukląkł z karabinem u ramienia, patrząc... Morelli nabił karabin.

— Do...! — rzekł. — Tam! Dwa palce na prawo od tego kwadratowego cienia, dwieście za chłopcami. Na Jezusa, strzelajcie wy...!

Zagrzmiało więcej wystrzałów — crescendo wypróżniających się magazynów Morellego i wachmistrza... Sanders strzelił niepewnie, na oślep. W srebrnym świetle księżyca widać było czarną sylwetkę pochylonego Żyda, usiłującego zarzucić sobie na plecy bezwładny ciężar... Udało mu się to, po czym wyprostował się i raz jeszcze schylił, aby podjąć z ziemi upuszczony karabin Hale'a... Wreszcie ruszył z powrotem, chwiejnym biegiem, uginając się pod ciężarem...

Tymczasem z oazy strzelano do plamy, którą Morelli uznał za coś więcej, niż cień. Byłże to tylko cień? U nóg biegnącego Żyda rozprysły się dwa wytryski piasku... trzy... cztery... Trzej patrzący nie usłyszeli nic, gdyż wystrzały z ich własnych karabinów zagłuszyły tamte, które trafiły w piasek... Ale je zobaczyli... Ładowali z pośpiechem karabiny, klnąc i odciągając cyngle tak szybko, jak na to pozwalały palce. Morelli i wachmistrz... Sanders strzelał wolniej i niepewniej... Na pustynię sypał się grad kul — w kierunku miejsca, gdzie kryło się coś więcej niż cień.

Wytryski piasku ustały. Abelson dotarł do zbocza, wdarł się na nie ostatnim wysiłkiem i padł na ziemię obok kolegów. Jego ciężar zwałił mu się z ramion i rozpląszczył u nóg Sandersa. On sam zwinął się w pół, chwytając z trudem powietrze. Dusił się, dyszał i sapał.

— Przerwij ogień! — Wachmistrz podniósł się z kolana. — Morelli, patrz na pustynię! — Położył karabin i pobiegł do Hale'a. Ukląkszy koło ciała, sięgnął ręką pod koszulę na piersiach, przykładając jednocześnie ucho do ust rannego.

— Zdaje mi się... — rzekł. — Tak... Nie żyje.

Abelson zaprzeczył zdyszczanym głosem.

— Nie, panie... wachmistrzu... Na Boga. Tam jeszcze żył... Odezwwał się...

Wachmistrz poczuł pod rękami delikatne poruszenie. Pochylił szybko głowę. Usłyszał słowa tak ciche, iż wydawało mu się, że rozbrzmiewają one w jego własnym mózgu.

— Dobry Nab... Nab... Nabuchodonozor! Ot, król żydowski! — Pauza, a potem jeszcze: — Dobry chłopak, dobry... wyratował... stamtąd... Teraz już... dam się chorobie...

Szept zgasł jak zdmuchnięta świeca i po chwili ciszy rozległo się zdławione bulgotanie, rżące, ale płynne. Ciało, które gdy u ust sypały się ciche słowa, zdawało się puchnąć, opadło bezsilnie i znieruchomiało

Wachmistrz wstał.

— Teraz już po nim — rzekł.

Stał chwilę, patrząc na czarną, majaczącą w mroku masę u swych stóp.

— Szkoda — rzekł.

Abelson, w dalszym ciągu zadyszany, wstał i stanął obok wachmistrza.

— Co? — zapytał, spoglądając na ciało.

— Umarł — odparł wachmistrz.

Żyd ukląkł i wsunął rękę pod koszulę zabitego, po czym wstał.

— Niech...! — rzekł. — Niech... — i odwrócił się.

— Bierz karabin! — zabrzmiał za nim głos wachmistrza. — Ty i Morelli obejmujecie wartość! Rozumiesz? — Zwrócił się do Sandersa. — Ty — rzekł — wracaj do chaty!

I odszedł między drzewami, kierując się w stronę źródła.

Znalazł, czego szukał. Nad wodą stały oparte o pień dwie manierki. Napełnił obie i powrócił do ludzi. Staął nad Morellim i Abelsonem.

— Może wody? — zapytał.

O krok na lewo leżało martwe, ciche ciało Hale'a.

— Dziękuję, panie wachmistrzu — odpowiedział Morelli nie odwracając oczu od pustyni.

Wachmistrz pochylił się i nagle wyprostował jak podrzucony sprężyna. Wśród drzew rozległ się odgłos pośpiesznych, alarmujących kroków i z cienia wypadł Sanders.

— Kapral... — dyszał. — Kapral... Kapral nie... Kapral...

Wachmistrz postawił na ziemi manierki.

— Zostańcie na miejscu! — rzekł do leżących na ziemi żołnierzy.

— Sanders! — Zabrał swój karabin, podszedł do Sandersa i pochwycił go za ramię. Palce jego wpiły się w chude ciało. — Co się stało? — zapytał, popychając go w kierunku chaty.

— Kapral Bell... — zadyszał Sanders. — Kapral...

Wachmistrz puścił go i poczał biec. Dobiegł pędem do drzewi.

Ale nie wszedł do środka. Przez próg leżał kapral Bell z podwiniętymi pod siebie nogami. Obok jego głowy świeciła w kurzu lufa karabinu. Był ubrany, w pełnym rynsztunku, w hełmie, z ładownicą przez piersi. Leżał na plamie księżycowej jasności, która sprawiała niewiarygodnie realistyczne wrażenie światła kinkietów.

Wachmistrz stanął nad ciałem, wsparty na karabinie. Zrozumiał, po prostu ujrzał z brutalną wyrazistością, jak się to stało. I nabrał natychmiastowej pewności, że ma przed sobą trupa. Jeszcze jednego trupa.

— Mój Boże! — wyszeptał.

Sanders zbliżył się i położył mu rękę na ramieniu.

— Panie wachmistrzu, czy on... — zaczął.

Wachmistrz skinął głową.

— Biedak... Musiał usłyszeć strzelanie... pomimo gorączki... Wstał, ubrał się i chciał wyjść. Nie wiedział z pewnością co robi. Instynkt. Rana otworzyła się. Jeżeli się nie zabił w upadku, to skonał z upływu krwi.

Ręka Sandersa spadła bezsilnie z ramienia wachmistrza. Nogi ugięły się pod nim. Osunął się na kolana i ukrył twarz w dłoniach.

— O Ojczy... — zaczął się modlić, lecz głos uwiązł mu w gardle i chudym ciałem wstrząsnęło okropne łkanie.

XV

Było południe. Od nocy śmierci Hale'a i kaprała upływał trzeci dzień. Słońce prażyło pionowymi promieniami oazę i jej garnizon... Z wyjątkiem Morellego, wartującego z ręką przy oczach na dachu lepianki, nigdzie nie było widać śladu życia.

Wewnątrz leżeli obnażeni do pasa wachmistrz i Abelson. Ściekające z ich ciała strugi potu tworzyły na podłożonych derkach ciemne, rozszerzające się plamy. Przekonali się, że jakkolwiek lepianka była prawdziwym piecem, to przecież przebywanie w niej za dnia było mniejszą torturą niż bezpośredni żar słońca.

Wachmistrz uniósł się na brunatnym żyłastym ramieniu i sięgnąwszy do plecaka wydobyl z niego łachman, który był niegdyś chustką do nosa. Otarł nim szyję, lepką jak od oliwy, piersi, wzdłuż których spływały małe strugi potu, ramiona i część pleców, na których pot stał chłodnymi, obrzydliwymi kałużami.

Rzucił mokry łachman na plecak.

— Gdzie Sanders? — zapytał znużonym, bezbarwnym głosem.

— Czy ja wiem? — mruknął Abelson. — Tyle wiem, co pan wachmistrz... Choć domyślał się...

— Hm... — wachmistrz poruszył głową — Zabrał swój plecak. Nie widzę go tutaj. Po co on go zabrał?

Mówił jak człowiek, któremu dokuczyla cisza. Żyd mruknął coś i zamknął oczy, oddychając mocno ustami.

Wachmistrz ubrał się we flanelową koszulę koloru khaki, co przyszło mu z pewną trudnością ze względu na wilgotny materiał i mokrą skórę. Przypiął pas grzbietowy i włożył hełm. Następnie wziął z kąta karabin, zawiesił go na zgiętej lewej ręce i wyszedł na dwór... Z pieca do kotła.

Spojrzał w górę na Morellego.

— Nic nie widać? — zapytał.

Wartownik odwrócił oczy od pustyni.

— Jak wymiółł — rzekł. — Która godzina, panie wachmistrzu? Tu, na dachu, istne piekło!

Mówił zadyszczonym głosem. Zachwiał się przy tym i przez chwilę zdawało się, że spadnie. Wachmistrz spojrział na zegarek.

— Jeszcze kwadrans. Cierpliwości! — zwrócił się w kierunku drzewi. — Abelson! — zawołał. Żyd odpowiedział chrząknięciem.

— Godzina Morellego dobiega końca. Jeszcze piętnaście minut. Przygotuj się...

I udał się na polankę.

Znalazłszy się nad źródłem pochylił się, napił z dłoni i umył twarz i szyję. Po czym wszedł między drzewa nad wodą. Rosły tu one gęściej niż gdzie indziej, miały więcej poszycia i było więcej młodych drzewek.

Do uszu wachmistrza dobiegł wysoki, przenikliwy głos niewidocznego Sandersa.

— A jeśli o Chrystusie powiadają, iż zmartwychwstał, jakoż mówią niektórzy między wami, że zmartwychwstania nie masz. Lecz jeśli zmartwychwstania nie masz, ani Chrystus nie powstał z martwych? A jeśliż Chrystus nie powstał, próżne tedy jest przepowiadanie nasze, próżna jest i wiara wasza.

Wachmistrz przedarł się przez zarośla, przepchnął między pniami i zobaczył. Sanders klęczał obok długiego, wąskiego pagórka, trzymając w rękach prawie koło twarzy małą książkę, na której okładce koloru khaki widniał czerwony krzyżyk. Na odgłos kroków zwierznika oprzytomniał, zamknął biblię, wstał i odwrócił się. Spod daszka hełmu patrzyły świecące oczy. Czoło było ściągnięte w bolesne fałdy, szarobrunatna twarz uderzała straszliwą chudością. Właściwie pozostała z niej tylko skóra, naciągnięta tak mocno na wystające kości policzkowe, iż mogło się здаwać, że lada chwila pęknie. Stał sztywno i niezręcznie na baczność. Zaciśnięte po bokach ręce, z których jedna trzymała biblię, drżały...

Wachmistrz spojrział na niego i na mogiłę, pod którą spoczęli Bell i Hale. Przypomniawszy sobie, jak trzy noce temu kopali przy świetle księżycy ten grób, oblewając się potem. Pracowali na zmiany po dwóch. Dwaj inni trzymali tymczasem wartę na dalszym skraju oazy. On i Sanders skończyli kopać grób, złożyli ciała w ziemi, zasypali je i usypali pagórek. Przypomniawszy sobie, że potem Sanders pozostał przy mogile na modlitwie, zobaczył, że od przedwczoraj ktoś... Sanders... sporządził z liści palmowych wielki, niezgrabny krzyż, który wznosił się teraz pod krzywym kątem u wezłowia pagórka. Po chwili milczenia wachmistrz zapytał:

— Od jak dawna tu jesteś?

W spustoszonej twarzy poruszyły się cienkie, blade wargi. Głos był tak cichy, że wachmistrz, aby usłyszeć, wyciągnął szyję.

— Prawie od godziny, panie wachmistrzu.

Wachmistrz spojrział na słońce, które świeciło na grób blaskiem nie łagodnym w tym miejscu przez cień palm.

— Idź pod dach — rozkazał lakonicznie. — Żywo! I żeby mi się to nie powtarzało. Masz wartę na dachu tak samo jak my i nie powinno ci brakować słońca. Jeżeli chcesz, możesz przychodzić w nocy. W dzień ani mi się waź... Słuchaj, Sanders, czymkolwiek byłeś czy będziesz, nie zapominaj, że teraz jesteś żołnierzem. Jako żołnierz musisz robić to, co ja każę... A ja każę ci myśleć tylko o służbie i o sobie, o swoim zdrowiu... Rozumiesz? W tej chwili naszym zadaniem jest czekać w gotowości na... cokolwiek się zdarzy... Rozumiesz?

— Tak — odpowiedziały blade wargi, mokre od potu, który zaczął nagle spływać z policzków i z czoła.

Wachmistrz podszedł bliżej, wyciągnął rękę i położył ją na chudym ramieniu żołnierza.

— Pamiętaj — rzekł. — Uważaj na siebie, Sanders.

W głosie podoficera zabrzmiała urzędowa nuta.

— A teraz idź się położyć. Postarasz się przespać przed wartą. Masz dwie godziny czasu. Teraz pójdzie na dach Abelson, a potem ty. Idź.

Sanders odszedł. Wachmistrz patrzył za jego niezgrabną, chudą postacią, dopóki nie znikła między drzewami, po czym potrząsnął głową, podrapał się po niej i rzekł półgłosem:

— Lada dzień zwariuje... jeżeli już nie zwariował. Nie ma co... żołnierz... dziarski, zawadiacki kawalerzysta.

Odwrócił się od grobu i podążył wolno nad źródło, gdzie usiadł ciężko na ziemi u stóp palmy. Wydobywszy skórzaną papierośnicę policzył papierosy. Było ich dwadzieścia. Po chwilowym wahaniu wyjął jeden i oparł się wygodnie o pień drzewa, z hełmem nasuniętym na oczy. Myślał, myślał ciągle o jednym i tym samym od tej nocy... jak to dawno temu?... Kiedy Cook i MacKay zniknęli mu sprzed oczu w pustynnej dali. Cztery noce temu! Tak... chociaż wydaje się, że dawniej... Nie, na Boga! tylko trzy noce temu... tej samej nocy, kiedy zginęli Hale i Bell... Której nocy?... Od tej nocy myślał ciągle w

kółko to samo...Psiakrew! Nie mógł nie myśleć... myśl krążyła jak mysz w klatce, wkoło, wkoło, wkoło... Nie można było wymyślić nic innego... Zaczarowane koło... Oaza. Cook i MacKay i ich wyprawa po pomoc. Nie wiemy ani gdzie sami jesteśmy, ani gdzie oni są, ani gdzie się znajduje cała, psiakrew! brytyjska armia... Zostać albo wyruszyć... Niemożliwe... żywność prawie wyczerpana. Same daktyle... nie wiadomo dokąd iść... A zresztą odejść i minąć się z pomocą, przyslaną przez Jocka i Cooka, jeżeli im się udało... Niewielu musi być tych Arabów, bo inaczej zaatakowaliby nas otwarcie... Więc nie ma innego wyjścia tylko czekać... Wartować... woda, daktyle, żyć... Oaza... Kompletne koło...

Dym papierosa kłębił się leniwie w rozpalonym, rozmigotanym powietrzu. Pot w miejscu, gdzie opierał się plecami o drzewo, robił się chłodny i lepki. Ale siedział, rozkoszując się papierosem. A myśli krążyły jak w deptaku.

W lepiance leżeli Sanders i Morelli. Abelson pełnił wartę na dachu... Morelli był nagi do pasa i leżał na wznak z rozrzuconymi ramięmi. Jego szeroki, gruby tors podnosił się i opadał konwulsyjnymi podrzutami, świadczącymi o utrudnionym oddechu. Sanders był w koszuli i bryczesach. Zrzucił tylko hełm, pas grzbietowy i ładownicę. Leżał na brzuchu z brodą wspartą na rękach, mając przed sobą otwartą biblię. Panowała cisza, przerywana tylko ciężkim oddechem Morellego i słabutkim szmerem, wypływającym od czasu do czasu z szarych warg, które poruszały się niezmordowanie, równoległe do pracy oczu czytających Objawienie św. Jana.

Wszedł wachmistrz, postawił w kącie karabin, rzucił hełm i usiadł po turecku na swoich derkach.

— Minutę, Sanders! Nie śpisz, Morelli? — rzekł. Żołnierze zwrócili ku niemu twarze. — Chcę wam powiedzieć — rzekł — że została tylko jedna puszka mięsa i dziesięć sucharów. Potem pozostaną nam tylko daktyle. Dziś wieczorem po ćwierci puszki na głowę i po pół suchara... i daktyle. Jutro suchary i daktyle... Pojutrze daktyle i suchary... Później tylko daktyle. Uważałem, że powinienem wam to powiedzieć. — Rozprostował nogi i wyciągnął się jak długi, wspierając się na łokciu. — A co z tytoniem? — zapytał. — Myślałem o tym. Czy wolicie każdy trzymać swoje, czy powierzyć wszystko mnie, żebym wam wydzielał?

— Do tego interesu byłoby tylko trzech — odpowiedział Morelli i wskazał wielkim palcem na Sandersa. — Ten się umartwia... Co, padre?... Chciałem powiedzieć, Sanders!

— Czy wołasz mnie? — Sanders podniósł pytająco blade, gorejące oczy.

— Och, nie! — rzekł. — Tylko zdaje mi się, że ty nie masz grzesznego zwyczaju upajania się nikotyną?

— Nie — odrzekł Sanders. — Nie palę.

Głos jego brzmiał wyniośle i obojętnie. Oczy powróciły jeszcze przed wypowiedzeniem tych słów do drobnego, niewyraźnego druku książki.

— Boże Wszchemogący! — rzekł Morelli. — Dziękuję ci, biskupie! Pewnie także nie pijesz. I pewnie nigdy nie miałeś kobiety... Jesteś za czysty, żeby być naprawdę sobą, ty święty... Psiakrew!... Siedzi cały dzień... zatracony i czyta, czyta, czyta... Modli się, modli, modli... Czyta i modli się! Założyłbym się, że wybiera soczyste ustępy... o ile sobie przypominam to tam tego jest niemało... Panie wachmistrzu, załóż się o dziesięć rupii, że za każdym razem, kiedy znajdzie słowo „nierządnicą”, przechodzą go dreszcze. Ur...

Wachmistrz usiadł.

— Cicho, Morelli — rzekł. — Daj mu spokój.

Głos jego przeciął zastawę, gorące powietrze chaty, jakby ostry bicz.

— Co cię ukąsiło? Nigdy nie byłeś taki. Milczeć!

Kwadratowa, kanciasta twarz skarconego opłynęła ciemnym rumieńcem.

— Przepraszam — wymamrotał. — Przepraszam, panie wachmistrzu... Jestem trochę roztrzęsiony... Mówił pan wachmistrz o tytoniu. Ja mam cztery paczki tytoniu i jakieś pół uncji rolkowego, Izrael ma trzynaście czy czternaście papierosów.

— A więc wszyscy mamy prawie jednakowo. — Wachmistrz położył się ponownie z rękami splecionymi pod głową. — Nie ma co wydzielać... Teraz się prześpię.

Spał pół godziny, podczas gdy Morelli leżał, sapiąc i wpatrując się w sufit, a Sanders czytał biblię. Obudził się dokładnie w porę, wyszedł na dwór i zluzował Abelsona. Żyd zameldował, że nic się nie zdarzyło, nic nie poruszyło, nic nie zmieniło w czasie jego warty. Piasek był i piasek pozostał.

Po czym wszedł do lepianki, rzucił z hałasem hełm. Zdarł z siebie koszulę i runął bezsilnie na swoje derki. Przez dziesięć minut panowało milczenie. Morelli gapił się groźnie na sufit, a Sanders czytał biblię.

Nagle Żyd usiadł. Jego ciemna, posępna twarz świeciła się od potu. Pełne, czerwone usta wykrzywił szyderczy grymas. Podniósł rękę do szyi i przesunął po niej delikatnie palcami.

— Karawaniarze psiakrew! Aż się człowiekowi...

Morelli leżał w tej samej pozie. Sanders czytał, poruszając bezgłośnie wargami. Abelson obrzucił ich spojrzeniem.

— Nie ma co! — rzekł i dodał: — Obudźcie się, hej! Wy zapowietrzzone wieprze! Jak Boga kocham, doprowadzicie mnie do... czegoś...

Morelli, nie odrywając oczu od sufitu, odpowiedział:

— Zamknij mordę! Hałasujesz, jak dziesięć przekupek.

— Odpieprz się! — odrzucił Abelson. Podniósł się i zbliżywszy się do Sandersa, ukląkł obok jego legowiska. — Co czytasz, mazgaju? — zapytał. Wyciągnął rękę i szarpnął za książkę.

— Daj mu spokój! — rzucił Morelli.

Żyd odpowiedział śmiechem.

— Nie zrobię głupcowi krzywdy. A co to? Święta biblia. Święta!... Aaa! Chciałbyś, paskudziarzu! — Przycisnął do derek skręcającego się Sandersa. — Spokojnie, ty świętoszku! — rzekł i roześmiał się.

Sanders, przyciśnięty żelazną ręką, znieruchomiał nagle jak trup, ale ciało jego było naprężone do ostatnich granic.

— Daj mu spokój! — ostrzegł ze swego kąta Morelli. Ale mówił znużonym głosem starego człowieka, karcącego automatycznie dzieci, bez nadziei, że zostanie posłuchany, i niemającego ani zamiaru, ani sposobu nakazania im tego posłuszeństwa.

— Ty zamknij pysk! — odparł pogardliwie Abelson i przerzuciwszy nogę przez nieruchomego Sandersa, usiadł ciężko na jego chudym, wąskim grzbiecie. Następnie wziął w obie ręce biblię i otworzył ją na chybił trafił. Z każdym ruchem na jego biały tors występowały plamy potu, tak że w szarym świetle wnętrza lepianki błyszczał jak klosz lampy. Zaczął czytać wysokim, płaczkliwym, nosowym, żartobliwym głosem:

— „Wszelako wyrzucam ci, iżeś dopuścił aby niewiasta Jezabel, podająca się za prorokinię, nauczyła i zwodziła moje sługi, że czynią

porubstwo i jedzą rzeczy poświęcone bałwanom. Dałem jej czas, aby żałowała swego porubstwa, a nie żałowała. Przeto... rzucę ją na łóżko...

Morelli usiadł, ukląkł, wstał. Nagle wrzasnął:

— Zamknij śmierdzący pysk, ty koszerne ścierwo!

Abelson zerwał się jednym skokiem na nogi, uwalniając Sandersa, który również wstał.

Żyd zmierzył się oczami z Morellim. Z ust jego wydarł się świszczący szept, głośniejszy od krzyku:

— Coś powiedział?... Powtórz... Muszę się upewnić, coś ty powiedział...

Przerwał mu histeryczny, wysoki głos stojącego za nim Sandersa.

— Powinieneś być dalej czytać. Co tam było! „Dam wam zapłatę podług zasług”.

Ale zignorowano go. W tej chwili Sanders dla nich nie istniał. Morelli, którego naga pierś podnosiła się ciężkim oddechem, świadczącym o najwyższym napięciu nerwowym, podszedł bliżej i krzyknął, zagłuszając dzikie uniesienie Sandersa:

— Powiedziałem: cicho, ty parszywa, koszerne mordo! Czy teraz usłyszałeś? Ty śmierdzący Żydzie!...

Podszedł jeszcze bliżej i spojrzał w górującą nad sobą czarną, groźną, semicką twarz.

— Dobrze! — rzekł Abelson i cofnąwszy się o krok w tył, zacisnął na sobie pas. — Dobrze, panie Morelli, czy jak się tam wabisz. Wepchnę ci te słowa w psie gardło razem z wszystkimi zębami. Ty...

— ...Każdemu zapłata podług zasługi. Zasługi! — zabrzmiał znów głos Sandersa.

Zapadła cisza. Abelson cofnął się jeszcze dalej. Ręce jego zacisnęły się w pięści, a ramiona sprężyły w nieubłagane, lekko chodzące, noliwione tłoki. Groźne spojrzenie przeszło w pogardliwego zeza. Wargi wywinęły się jak u warczącego psa.

Morelli stał, gruby, krępy i niski. I jego ręce zacisnęły się w niezgrabne pięści, lecz ramiona pozostały ramionami. Dygotał cały z wściekłości.

— Ruszaaaj! — wrzasnął.

Abelson przysunął się na lekkich, tańczących stopach. Wtem nad ich głowami rozległ się rumor i łomot, i do lepianki wpadł jak piorun

wachmistrz Porwał Morellego za ramię z taką siłą, że palce wpiły się w ciało i rzucił nim o ścianę. Grubas zatoczył się bezsilnie i runął na ziemię. Prawie jednocześnie Abelson poczuł na nagiej piersi mocarne ręce, które powaliły go niczym snop na derki Sandersa. W końcu wachmistrz pochwycił Sandersa za kołnierz mokrej koszuli, zamachnął nim i rzucił na Żyda.

Stał w środku chaty, rozglądając się wokoło rozognionym wzrokiem. Hełm, zepchnięty na tył głowy, odsłaniał czarną od słońca i gniewu twarz. Wyglądał w tej chwili jak dzikie zwierzę, wypadające z jamy. Wyciągnął szyję i ręce z zagiętymi szponowato palcami.

— Bydło! — rzekł. — Rekrucka hołota! Za co wy się macie?

Psiakrew! I za kogo mnie macie? To po to służycie w wojsku, żeby się zreć, awanturować i odprawiać nabożeństwa? Czy myślicie, że dlatego, że pozwoliłem Cookowi wygarbować Abelsonowi skórę za wszystkich, będę patrzył przez palce na takie rzeczy? Na Boga, nauczę was, co to znaczy być żołnierzem! Morelli, ubierz mi się zaraz i na dach! Piorunem! I stój dopóki cię nie zluzują. Sanders podstawisz mu plecy, a potem pójdziesz wartować w gaju. Ruszaj się, rozumiesz! I rzuć tę książkę! Abelson, wstawaj! Ubierz się teraz i idź strząsać daktyle — dopóki cię nie zwolnię.

Abelson wstał powoli z oczami jak rozżarzone węgle. Morelli wciągnął potulnie koszulę. Sanders leżał tak jak go odtrącił podnoszący się Abelson.

Wachmistrz stał w miejscu, rozkazujący, naprężony, jakby gotowy do skoku. Oczy jego zatrzymały się na nieruchomym Sandersie.

— Wstawaj! — rzekł i spojrział na Abelsona, który zacisnął pięści jak poprzednio. Z jego ubielonych pianą ust padły buntownicze słowa.

— Dobrze tak wszystkich rozbijać?...

Wachmistrz wyprostował się sprężyście i roześmiał dziwnym, dzikim śmiechem.

— Jesteś głupszy, niż przypuszczałem, mój chłopcze — rzekł.

— Chcesz się na mnie rzucić?... Smarkaczu!... Widzicie go, chciałby mnie nastraszyć! Gdybyśmy byli gdzie indziej, a nie tu w pułapce, skazałbym cię na chleb i wodę. Nauczyłbym cię, co to jest walka. Ja już walczyłem ze światem, Abelson, kiedyś ty jeszcze ssał mleko

matki, Abelson... Ale dosyć tego... Teraz rób, co ci kazałem.

Sięgnął błyskawicznie ręką do kieszeni i w palcach jego błysnął groźnie mały, masywny rewolwer podporucznika.

— Ja tu rozkazuję — rzekł. Spojrzał w oczy Żydowi, który spuścił powieki. — Żywo! — zakomenderował.

Pośpiesznie, w milczeniu, udali się na wyznaczone sobie miejsca. Wachmistrz został sam. Schował rewolwer do kieszeni i usiadł ze skrzyżowanymi nogami na derkach Morellego.

Rzucił hełm i otarł lepkiem ramieniem spocone czoło. Następnie wydobył papierośnicę, a z niej papierosa.

Siedział spokojnie, paląc. Po chwili usta jego rozszerzyły się cichym uśmiechem. Zaczął wypuszczać kółka dymu, który owinał mu głowę błękitną mgłą.

XVI

Sanders wyszedł z lepianki na światło księżycowe, przesiane przez korony palm. W chacie pozostali, uśpiony spokojnie Morelli i rzucający się, jęczący przez sen, dyszący chrapliwie Abelson.

Po chwili namysłu Sanders zagłębił się w gaj. Hełm, ładownica i karabin, cały jednym słowem ekwipunek wojskowy wydawał się na nim zupełną niedorzecznością.

Skierował się ku zachodniej stronie oazy, gdzie natknął się na człowieka, leżącego na ziemi, z karabinem przed sobą, ze wzrokiem utkwionym w pustyni. Człowiek ten spojrzał na niego i Sanders rzekł:

— Czas, panie wachmistrzu!

Wachmistrz spojrzał na zegarek, wstał i przewiesił karabin przez ramię.

— Dobrze — rzekł. — Te półtorej godziny prędko upłynie. Wytrzeszczaj oczy jak możesz, Sanders. Ja nic nie zauważyłem. Dopilnuję, żeby Morelli zluzował cię o właściwym czasie.

Odwrócił się i już miał odejść, gdy poczuł na ramieniu lekką rękę i usłyszał natarczywy głos.

— Panie wachmistrzu — rzekł Sanders chrapliwym głosem, o wiele tonów niższym niż zazwyczaj. — Panie wachmistrzu! To już cztery dni, jak odeszli MacKay i Cook?

Wachmistrz skinął głową.

— Ano tak... Nie, trzy. Jutro wieczorem będzie cztery. Dlaczego pytasz?

— Ciekaw jestem... — zaczął żołnierz. Głos brzmiał tak cicho, że wachmistrz nastawił uszu. — Myślałem... Ciekaw jestem... czy im się powiodło. Jeżeli... dotarli do naszych... to powinni wkrótce być z powrotem... z pomocą? Jak pan wachmistrz sądzi... Czy...? — Ręka, wsparta na ramieniu wachmistrza, zacisnęła się kurczowo. W długie palce wstąpiła nieproporcjonalna siła.

Wachmistrz zdjął je z ramienia i spojrzał na odwróconą twarz żołnierza, na pół oświetloną przez płamę księżycowego światła i na pół przysłoniętą czarnym cieniem daszka od hełmu.

— Nie mogę nic powiedzieć — rzekł. — Sądzę, że jeżeli czegoś dokazali, to najwyżej połączyli się dopiero z naszymi... Jeżeli przyjdzie po nas jakiś oddział, to za jakiś dzień lub więcej.

Sanders odwrócił głowę w taki sposób, że cała jego twarz znalazła się w świetle i jakby ożyła.

— Bo... — rzekł szeptem — śniło mi się... ubiegłej nocy...

Źle spałem... pewnie nawet nie godzinę... Ale przyśniło mi się, że powrócili. Tyle tylko, że powrócili. Więcej nie zdołałem się dowiedzieć, bo się zaraz obudziłem... — Chuda, udręczona twarz z dzikim spojrzeniem gorejących oczu wykrzywiła się nagłym uśmiechem. Efekt był tak niespodziewany, że prawie wstrząsający.

— Widzi pan wachmistrzu, że wszystko będzie dobrze.

Z długiej, chudej szyi wyrwał się dźwięk, mający być śmiechem.

— Może — odarł krótko wachmistrz. — A teraz kładź się...

Wykręcił się na pięcie i wszedł między drzewa. Raz przystanął i schowany za pień spojrzał w kierunku, skąd szedł. Natężony wzrok napotkał niewyraźną postać Sandersa, leżącego w tym samym miejscu co poprzednio on sam, z podniesioną nieco głową ze względu na rozleglejsze pole widzenia.

Upewniwszy się w ten sposób, że wszystko w porządku, udał się do chaty. W mózgu miał obraz tego nagłego, strasznego uśmiechu, a w uszach echo martwego chichotu, przykrzejszego jako oznaka

ukrytej bojaźliwości niż zapowiedź obłąd. Szedł z pochyloną głową, pogrążony w myślach. Nim doszedł do chaty postanowił, że ta noc będzie ostatnią nocą warty Sandersa. Już go więcej nie pośle... Tylko jeszcze dziś... ta ostatnia warta... Wszedł do lepianki, znalazł swoje derki i leżał na nich spokojnie. Rozmyślał nad tą nową trudnością... Teraz będzie ich na zmianę tylko trzech... Sanders będzie się plątał leniwie po oazie, modląc się i zapadając w obłąd... Trzeba by go czymś zająć... Ale czym? Drobne zagadnienie rozrosło się w zmęczonym mózgu do rozmiarów problemu, który ogarnął cały świat i zwałił się na niego nieznośnym ciężarem.

Wachmistrz usiadł nagle, przeklinając siebie w milczeniu.

— Milcz, ty! — pomyślał... — I ty zaczynasz wariować!... — Zgroził sobie i uciszwszy niesforne myśli wyciągnął się ponownie na derkach z zamkniętymi oczyma.

Pomimo sapania i chrapania niespokojnego Abelsona, zakłócającego haniebnie ciszę nocy, poczuł niebawem, że zaczyna go ogarniać ukojenie... że ciało i umysł roztapiają się w błogości, która jest pierwszą falą snu.

Ale błogość ta rozprysła się z brutalną nagłością. Ciemności wypełniły się szelestem i rozległ się głos Morellego, wyraźny, silny, jak zwykle u ludzi przemawiających przez sen.

— Dziesięciu Murzynków! — pauza. — Ot, co! Dziesięciu! A nie ma ani jednego. — Druga pauza i stłumiony chichot.

Abelson obudził się i usiadł z jeszcze większym szelestem.

— Co u diabła? — zapytał z, pasją. — Zamknij pysk, ty!

— I ty zamknij! — rzucił znużonym głosem wachmistrz.

Morelli, który nie obudził się, zamamrotał coś niezrozumiałego i umilkł. Ciało jego osunęło się z powrotem na derki.

W lepiance zapadło milczenie.

Na dworze, między drzewami, leżał Sanders. Ale oczy jego nie czuwały nad pustynią. Zamknięte mocno jak u dziecka powieki kryły się za rękami zasłaniającymi twarz, a z piersi wydobywał się urywany, pośpieszny pomruk.

— ...błagam Cię, o Panie, uwolnij najpokorniejszego ze swoich niezliczonych sług od ciężkiego udręczenia...

— O, Boże! ulituj się nade mną! Chryste! zdejm ze mnie ten całun! Jezu, Tyś się nie lękał, kiedy tłuszczka wyła: „Ukrzyżuj Go! Ukrzyżuj Go!” Nie lękałeś się, kiedy Cię stamtąd wyprowadzono

i kazano dźwigać krzyż Nie lękałeś się nawet, kiedy przyszła godzina Twojej śmierci...

— O Baranku Boży! O Zbawicielu! O Lwie pokolenia Judy! Ulituj się nade mnie, bo jestem w trwodze! Wysłuchaj mnie, wysłuchaj! Lękam się, o Boże, Boże, Boże!

Szept przeszedł w stłumiony krzyk.

— ...kam się! Czy to ma być kara, o Jezu? Błagam cię... jeżeli nie chcesz mnie wyzwolić z tego piekła strachu, to ześlij mi sen. Dobry Boże, ześlij mi sen!...

Głos umilkł. Wartownik leżał, drżąc, z przyciśniętymi do twarzy rękami.

— Wysłuchaj mnie! — wyrzucił gardłowym szeptem. — Wysłuchaj mnie! O Jezu, mój uwielbiony Jezu!

Doznał wrażenia, że jego modlitwa została wysłuchana i że spłynął na niego wielki, bolesny, słodki spokój, tak że sztywne, drżące ciało rozprężyło się w ekstatycznym ukojeniu... Mózg przestał rozbrzmiewać bezimienni, bezgłośnie, natrętną trwogą; otaczające drzewa przestały osłaniać mętne, katastrofalne niebezpieczeństwa, niewidzialne i niesłyszalne lecz wyczuwane każdym napiętym nerwem; cisza przestała dzwonić szelestem, szeptami i knującymi, gardłowymi, wstrętnymi głosami, które naradzały się w dziwnym, niesamowitym języku, jak mu wymierzyć ból i śmierć... ból, ból, ból, a potem śmierć.

Za zamkniętymi powiekami przestały się ukazywać obrazy tamtych: Pearsona, Browna, Hale'a i kaprała leżącego martwo przez próg lepianki, z twarzą oświetloną księżycem, z czarną plamą krwi na posrebrzonej ziemi, krwi, wyciekającej z otwartej rany. W końcu strach opuścił udęczonego człowieka. Czuł się teraz czysty, rześki, wolny i lekki. Tylko go złuzują, a pośpieszy do lepianki i pograży się w długim, spokojnym, błogim śnie...

Ręce opadły z twarzy i spoczęły na usrebrzonej księżycem ziemi. Popatrzył na nie i zamknął oczy. Głowa opadła na uspokojone ręce i na lufę karabinu. Wartownik usnął.

A przed nim daleko na pustyni coś się poruszyło. Długa ciemność, czarniejsza niż cień, z którego się wynurzyła, pełzła ku oazie, powoli, lecz równomiernie. Co sto jardów ruch ustawał jakby w oczekiwaniu na reakcję.

Ale reakcji nie było. Między drzewami spał Sanders z wyrazem

wielkiego spokoju na dziwnej, wychudzonej twarzy. A ruch nie ustawał.

Gęsty, ruchomy cień był coraz bliżej. Tak blisko, że gdyby oczy Sandersa były otwarte, zobaczyłby, że za gęstą czarnością wlecze się w komicznych podskokach niewyraźna, ciężka, jaśniejsza w blaskach księżycy białość.

Ruch ustał. Teraz dzieliło go od zbocza zielonej wyspy najwyżej dziesięć jardów. Ustał na kilka minut i zaczął się ostrożnie z powrotem. Ale nie był to już taki sam ruch.

Złożona na rękach głowa Sandersa poruszyła się lekko, znieruchomiała, znów się poruszyła i uniosła do góry.

Obudził się momentalnie i całkowicie. Naraz wybuchła w nim świadomość potrzeby widzenia.

Zobaczył u stóp zbocza dwie białe plamy i czarny, gęsty cień, który nie był cieniem. I w jednej chwili porwała go okrutna, ogłuszająca trwoga.

Chwyił drżącymi rękami karabin, przyłożył do ramienia i zaczął strzelać — jak oszalały. Gęsty, czarny cień wyprostował się i zamienił w sylwetkę człowieka w ciemnych szatach, który odwrócił się i rzucił do ucieczki. Za jego głową leciał kaftan na podobieństwo rozwianego welonu. Nie uciekał w prostej linii lecz regularnymi, wydłużającymi się zygzakami.

Sanders sięgnął rozdygotaną ręką do ładownicy. Magazynek był próżny. Ale w ładownicy coś się zacięło.

Morelli gotował się już do zluzowania kolegi, gdy usłyszał strzały. Porwał się jak rażony piorunem.

— Alarm!!! — ryknął, porywając karabin. Wypadł z lepianki, pośliznął na zachodni skraj oazy, runął płasko na ziemię i obrzucił wzrokiem pustynię. Zobaczył uciekającą zygzakami postać, teraz już w połowie odległości od smug czarnego cienia, z którego się wynurzyła.

Przyłożył karabin do ramienia i przez chwilę wiódł lufą za malejącą figurką.

— Dam ci! — mruknął, celując starannie trochę na prawo od uciekającego. Padł strzał. — Uf! — wykrzyknął. — Trafiłem drania! — Gdyż ciemna postać zachwiała się, zakreśliła w koło, padła i znieruchomiała na piasku, na kształt plamy.

Nadbiegli z tupotem wachmistrz i Abelson, obaj obnażeni do pasa,

ale z karabinami i pełnymi ładownicami, przewieszonymi zabawnie przez nagie persi.

Wachmistrz położył się obok Morellego, Abelson również, tylko trochę dalej na prawo, między Morellim i niewidocznym Sandersem.

— Co się stało? — zapytał wachmistrz. Spojrzał i zobaczył ciemną plamę w odległości dwustu jardów. — Dobra! — rzekł. — Czy jest ich więcej?

— Nie widziałem — odmruknął Morelli. — Ale od czego się zaczęło?

Z prawej strony rozległ się wystrzał. Sanders zdołał załadować swój karabin i zaczął strzelać, teraz już zupełnie na oślep.

— Co u diabła? — wachmistrz zerwał się z ziemi i wpadł między drzewa. Dobiegł do Sandersa w chwili, gdy padał ostatni strzał z drugiej łódki. Rzucił się obok niego na ziemię i położył rękę na drgającej lufie.

— Co ty wyprawiasz? — rzekł. — Gdzie oni są?

Zobaczył zwróconą ku sobie twarz, której wyraz przejął go dreszczem. Nie było na niej żadnego cienia, gdyż hełm spadł z głowy i światło księżyca, przedzierające się między koronami palm, oświetlało wyraźnie przymknięte oczy i otwarte, obwisające, zaślinione wargi. Cały wygląd tej twarzy świadczył o obląkańczej niemal trwodze.

Wachmistrz odwrócił oczy.

— Od czego się zaczęło? — zapytał ostro.

Nie otrzymał odpowiedzi, na którą zresztą nie czekał. Oczy jego padły na dwie białości, leżące w dole, u stóp zbocza. Wciągnął ze świstem powietrze, wstał i wyszedłszy na sam skraj oazy spojrzął, co by to mogło być.

— Wszzechmocny Boże! — wyrzucił przez zaciśnięte zęby. — Morelli! Abelson! — krzyknął, podnosząc głos.

Nadbiegli pędem. Stał z wyciągniętą ręką. Poszli oczami za jej kierunkiem i zmartwieli.

— To Anglicy! — szepnął Morelli.

Abelson wyciągnął szyję i z gardła jego wyrwał się przeraźliwy, histeryczny śmiech.

— Ty głupi! — krzyknął. — Toż to Jock i Cook!... Zapadło bolesne milczenie. W końcu wachmistrz rzekł:

— Nie możemy ich... tak zostawić!

— Pójdziemy po nich — ja i on. — Abelson wskazał palcem Morellego.

— Nie! — rzekł wachmistrz. — Jeden wystarczy. Połóżcie się obaj tutaj. Jeżeli zobaczycie na piasku jakiś ruch, strzelajcie jak cholera. Mnie wyraźnie nie zobaczą i zresztą zajmie mi to tylko pół minuty.

Zrzucił ładownicę i spuścił się po zboczu. Jego nagi tors musiał zaświecić jako dostrzegalny cel, gdyż rozległy się dwa wystrzały i wytrysnęły dwie małe fontanny piasku, jedna u jego nóg, a druga o dwa kroki dalej. Abelson i Morelli otworzyli nad nim momentalnie tak gwałtowny ogień, iż mogło się zdawać, że to zagrał karabin Vickersa...

Wachmistrz pochylił się i pochwycił w ręce zimne, sztywne, białe ramiona, jedno chude i żylaste, drugie olbrzymie, muskularne, podobne do splotu grubych lin... Odwrócił oczy, gdyż to, co zobaczył przyprawiło go o gwałtowne mdłości... Zgięty wpół zaczął ciągnąć okropny ciężar w górę zbocza.

Nad jego głową Abelson i Morelli zasypywali pustynię gradem kul. Z czarnego cienia padły jeszcze dwa strzały, jeden tak blisko, że wachmistrza chlasnął w twarz ostry wytrysk piasku. Ciągnął, dysząc i wyężdżając wszystkie siły. W końcu wywindował swój podwójny, blisko czterystufuntowy ciężar na skraj wzgórza i w cień palm.

Legł na ziemi — bez tchu — w odległości paru stóp od dwóch białych, przyciągniętych przez siebie okropności. Morelli i Abelson przestali strzelać i spojrzeli...

— O, mój Chryste! — zamruczał Abelson.

Morelli milczał, ale zerwał się nagle na nogi, odstał chwajnie o trzy kroki i zaczął wymiotować.

Sanders wynurzył się z cienia, podobny do wycieńzonego upiora. Stał, patrząc na dwa ciała leżące w kręgu księżycowego światła, które użyczało ich zupełnej nagości dodatkowej grozy. Na ciałach tych nie było żadnych obrażeń — z wyjątkiem śladów lin, na których przyciągnięto je z powrotem do towarzyszy, i tego jednego, haniebnego okaleczenia.

Zabrzmiął dziwnie nagły cichy głos Sandersa:

— Ich twarze... jakże to... co się stało z ich twarzami?... Och! — krzyknął straszliwym, wysokim kobiecym krzykiem... — Och!... Nie. Nie. Nie!

Upuścił z hałasem karabin, zasłonił ramieniem oczy, odwrócił się i uciekł jak oszalały w głąb oazy.

XVII

— Niech idzie! — rzekł wachmistrz, gdyż Abelson chciał rzucić się w pogoń za uciekającym. — Przynies łopatkę... Żywo!

Abelson zniknął między drzewami. Morelli, trochę uspokojony, odstąpił od drzewa, o które stał oparty. Schylił się i podniósł swój karabin. W plamie księżycowego światła, która leżała na tym miejscu, twarz jego zaświeciła zielonkawą bladością.

Wachmistrz podszedł doń i rzekł:

— Ty połóż się tutaj i uważaj na pustynię. Ja i Abelson załatwimy się z tym...

Morelli osunął się na ziemię, mrużąc zdławionym głosem:

— Myślałem, że mam brzuch z żelaza! Ale to mnie wzięło... Nigdy nie rzygałem, nawet wtedy, kiedy ta 18-tofuntówka gruchnęła parę pocisków w sam środek szwadronu B pod Eisal... aniśmy się spostrzegli... Co to były za jatki, Boże, co to były za jatki!... Ale to! — Rzucił głową za siebie i zadygotał jak w febrze.

Wachmistrz pokiwał głową.

— Jeszcze o tyle gorzej, że się ich znało. Widziałem już raz... coś podobnego. Wzięło mnie to i wtedy... ale teraz... Jock i Cook.

Urwał, gdyż powrócił zadyszany Abelson z łopatkami. Wziął od niego jedną i rozejrzał się wokoło, mierząc okiem wolną przestrzeń między drzewami.

— Tu będzie w sam raz — rzekł. — Chodź, Abelson. Zabierzmy się od razu do roboty. Morelli jest na straży.

Abelson rzucił ładownicę. Na pół nadzy, ociekający strugami potu kapiącego na ziemię, trudzili się w milczeniu więcej niż pół godziny.

Abelson wyprostował się na chwilę, przyciskając ręce do obolałego krzyża.

— Boże! — jęknął. — Boże!... Przeklęte takie syny, przeklęte! — Pochylił się ponownie nad dołem, ale teraz usta mu się rozwiązały.

— Panie wachmistrzu — rzekł. — Dlaczego oni to robią? Do stu szatanów! Zastrzelili porządnie... bez jatek... w głowy od tyłu... Dlaczego ich tak nie zostawili... Dlaczego to zrobili?...

Wachmistrz chrząknął.

— Dlaczego to i owo?... Stara sztuka arabskich kobiet...

— Kobiet? — krzyknął Żyd. — Kobiet? Gdybym dostał w swoje ręce sukę, która to zrobiła...

Powiedział, co by z nią zrobił.

— Ale to nie mogły być kobiety — rzekł wachmistrz. — Nie rozumiem, jak...

Urwał i wyskoczył z wykopanego dołu.

— Już dosyć głęboko — zawyrokował.

Abelson również wydobył się z piaskowej jamy i stanął obok niego. Obaj byli zwrócenii plecami do ciał Cooka i MacKay'a. Odczuwali ich śmiertelną obecność w intensywny sposób, a bali się po prostu spojrzeć. Ociągali się niezręcznie, nic do siebie nie mówiąc, przejmując świadomi, że ta zwłoka musi się skończyć i że będą musieli dotknąć rękami lepkich, białych okropności, które były ich towarzyszami i złożyć je w wykopany przez siebie grobie.

W trakcie tego zawieszenia uświadomili sobie jeszcze coś innego. Zrozumieli, że to, co przez ostatnie długie dni wzbierało w ich sercach, a z czym się nawzajem przed sobą nie zdradzali... ta początkowo słaba nadzieja, która siłą pragnienia urosła prawie w pewność... Zrozumieli, że ta nadzieja stała się teraz nieprawdopodobieństwem... Jednocześnie drżeli przed drugą, bliższą, bardziej natychmiastową grozą, w jakiś niedorzeczny sposób bardziej wstrząsającą od pierwszej... Czuli, że nie będą mogli pochować ciał swoich towarzyszy tak jak je zobaczyli; że nie będą ich mogli przykryć ziemią, nie uczyniąszy z powrotem ich okropnych, sprośnych twarzy znanymi rysami Cooka i MacKay'a.

Wielka cisza nocy ciążyła im jak jakiś kolosalny ciężar. Świat tonął w srebrnym blasku i czarnych cieniach. Powietrze było gęste i nieruchome. Trzej ludzie, Morelli leżący z oczami utkwionymi w pustynię, wachmistrz i Abelson stojący na skraju świeżo wykopanego grobu, słyszeli tę ogromną, przerywaną tylko biciem serc ciszę we własnych głowach.

— Boże! — rzekł nagle zniżonym głosem wachmistrz. Uderzył Abelsona po ramieniu i odwrócił się. — Teraz chodź! — mruknął, podchodząc szybkim krokiem do białych trupów, oblanym światłem księżyca.

Abelson posłuchał z ociąganiem. Wachmistrz stał chwilę, patrząc na trupy, po czym wciągnął w płuca powietrze, ukląkł i przyłożył obie ręce do twarzy martwego MacKay'a.

Żyd podszedł bliżej i ukląkł wolno koło drugiego ciała, twarzą do wachmistrza, z którego ust wydobywał się stłumiony pomruk przekleństw, modlitwy czy samoupomnienia... Spojrzał na to, co wypadło mu zrobić i nagle zerwał się z ziemi, odwracając głowę.

— Nie — rzekł głośno. — Nie mogę tego zrobić... Nie mogę!

Odpowiedziało mu milczenie, które przeciągnęło się w wieczność. W końcu zabrzmiał głos wachmistrza:

— Już! Pomóż mi teraz!

Abelson odwrócił się powoli, prawie przemocą. Nie miał zamiaru... postanowił, że nie... spojrzy. Ale spojrział. Oczy jego skierowały się same ku ciałom, leżącym u nóg wachmistrza... I nagle ogarnęło go uczucie niewypowiedzianej ulgi. Zobaczył w świetle księżyca nie ludzkie, potworne maskary, a prawdziwe twarze Cooka i MacKay'a.

Pochylił się i w tej pozycji dociągnął do grobu wielkie ciało Cooka.

Wkrótce po Cooku i MacKay'u nie pozostał żaden ślad... prócz niskiego pagórka świeżo poruszonej ziemi, ubitej butami i wyrównanej łopatkami.

Długie milczenie przerwał wachmistrz.

— Jakim sposobem — rzekł ciężkim, powolnym głosem człowieka, mówiącego przez sen — jakim, u diabła, sposobem oni się tutaj znaleźli?

Abelson odwrócił się ostrym ruchem. Usta mu się otworzyły, a łopatka wypadła z ręki.

— Do...! — wykrztusił. — Nie pomyślałem o tym... zaraz po pierwszym strzale...

— Tak — rzekł wachmistrz. — A my byliśmy na miejscu w dwie minuty później...

— Jak to... — Abelson mówił przerażonym, urywanym głosem, krótkimi wybuchami słów, rozplywającymi się w ciszy. — Do...! Nie mogli spać z... Panie wachmistrzu, to jest... to jest...

— Chyba że — zabrzmiał głos wachmistrza — ...a naturalnie! Dureń usnął. Naturalnie... Arab musiał ich skądś przyciągnąć pod samą oazę... Sanders spał i zobaczył ich dopiero w ostatniej chwili... Tak musiało być... Jeżeli nie... to niech Bóg ma nas w swojej opiece... Ale tak było...

Z piersi Żyda wyrwało się westchnienie.

— Tak — potwierdził. — Tak musiało być... Parszywiec, psia-krew!... Co by się stało, gdyby ich tak przyszło ze dwunastu?... Co by się wtedy stało?... Wymordowaliby nas, zanim byśmy się spostrze-gli... Ten...! — Głos mu się załamał, odwrócił się, chwycił wachmi-strza za rękę i zapytał chrapliwie: — Po co oni ich tu przyciągnęli? Po co? Po co?

Wachmistrz potrząsnął ociężałe głową.

— Skąd ja mogę, u diabła, wiedzieć... Skąd można wiedzieć... Krwawe czarty i to wszystko... — Roześmiał się głucho.

— Krwawe czarty! — powtórzył. — Chcieli nas... ostrzec!

Odstąpił wolno od grobu, otrząsnął się i wyprostował przygarbio-
ne plecy.

— Idź poszukaj Sandersa! — rzekł ostrym głosem komendy. — Idź, Abelson! Dziś nie będzie warty, wszyscy będziemy czuwali.

— Bydlaki dwa razy nie przyjdą — odparł Abelson. — Dwa razy w ciągu jednej nocy.

— Idź po Sandersa! — warknął wachmistrz. — Ty głupi, nigdy nie słyszałeś o takim podwójnym podstępie?

Odmaszerował do Morellego. Abelson odszedł z grymasem. Wachmistrz stanął nad Morellim.

— Co nowego? — zapytał.

— Nic... jak wymiół... Dobrze, że chociaż tego utłukłem.

Wskazał na ciemną plamę, każącą srebrzystą jasność piasku.

— Jeden — rzekł wachmistrz. — A ilu ich jeszcze jest?... Mam wrażenie, że może dwóch... Może trzech... Nie, możliwe, że czterech lub pięciu, bo jakimś sposobem połączyli się z nimi ci, którzy schwy-tali Jocka i Cooka... Nie widzieliśmy ich i Pan Bóg wie, ilu ich teraz może być razem... Chociaż nie zdaje mi się, żeby więcej niż pięciu... bo w takim razie napadliby tu na nas otwarcie... — Urwał, umilkł na dłuższą chwilę, po czym dodał: — Nie ruszaj się stąd. Pójdę po koszu-lę. Zaraz tu przyjdziemy wszyscy.

Podążył pośpiesznie w kierunku chaty. Dochodząc do niej, usły-szał głos Abelsona:

— Sanders! Sanders! Gdzieś ty, u cholery, jest? Odezwij się, ty święty! Gdzieś ty się podział?

Wachmistrz zobaczył Żyda, wychodzącego z cienia na wschód od lepianki i zaglądnącego do środka przez jedną z dziur, mających imi-tować okna, i usłyszał jego triumfalny okrzyk:

— Wychodź stąd, ty psi...!

Abelson zniknął pędem w otworze drzwi.

Wachmistrz ruszył biegiem — nie chciał, aby Żyd pobił wariata — i w tej chwili do uszu jego dobiegł dziwny hałas. Brzęk. Przystanął zdziwiony, ale tylko na sekundę. Ależ naturalnie. Jeden z nich musiał się wpakować na stos jedenastu szabel, złożonych w kącie pierwszej nocy po przybyciu do oazy.

Roześmiał się ponuro z siebie samego i z dzikiego, nedorzecznego przywidzenia, jakie ten metaliczny brzęk wywołał w jego umyśle. Zwolnił kroku, po czym puścił się nagle możliwie najszybszym biegiem. Od chaty dzieliło go jeszcze kilka jardów. Przypomniawszy sobie, że przecież te szable nie stały, a leżały i że wobec tego Ktoś je musiał postawić i dlatego osunęły się z takim hałasem.

Więc pędził co tchu, ale nie zdążył. Kiedy już był prawie koło drzwi, wewnątrz wybuchła nagła wrzawa, złożona z gardłowych, cierpkich przekleństw Abelsona i przeraźliwego, wariackiego, biblijnego bełkotu Sandersa. Po czym zapadła przerażająca w swej nagłości cisza.

Przez drzwi wypadł tyłem, prosto w ramiona wachmistrza, Abelson.

— Stój! — rzekł podoficer, chwytając go w pól. — Co to znowu za...

Urwał. Ciało, które pochwyił, było bezwładne. Złożył je na ziemi i zobaczył w świetle księżyca, że tam, gdzie było prawe oko i górna część policzka, ziała ogromna dziura...

Jednocześnie z drzwi wybiegł bełkoczący, oszalały człowiek, w trzech czwartych nagi. W ręku trzymał niezręcznie obnażoną, kawaleryjską szablę, z której końca kapąca czarna ciecz. Z bełkoczących ust ciekły białe płaty śliny.

Wachmistrz, stojący nad zabitym, doznał wrażenia, że ten żywy chce go zaatakować. Przysiadł, skoczył i pochwyił obiema rękami chude nogi szaleńca w samych kostkach. Nie puszczając ich, poderwał się do góry. Głowa Sandersa uderzyła o spieczoną ziemię z taką siłą, że rozległ się odgłos podobny do wystrzału. I znieruchomiała.

Wachmistrz osunął się na kolana obok dziecinnie skurczonego ciała Żyda. Sprawdził to, co już wiedział. I ten nie żył...

Pozostał w tej pozycji przez długą, czarną chwilę, patrząc niewidzącymi oczyma w mroczny gąszcz drzew. Czuł głębokie odrętwienie,

niby człowiek, który został częściowo zachloroformowany i pomimo że zachował świadomość, nie jest zdolny ani do myśli, ani do czynu.

Z tego stanu wyrwał go nagły huk wystrzału... Strzelał Morelli. Po-tem padły jeszcze cztery strzały i zabrzmiało echo wołania.

Zerwał się jak piorun, przeskoczył przez dwa ciała, jedno martwe, a drugie pogrążone w martwocie bliskiej śmierci. Wpadł do lepianki i wybiegł, obładowany dwoma karabinami, trzema pełnymi ładownicami i manierką wody. Przeskoczył ponownie przez ciała, pognął między drzewami do Morellego i rzucił się obok niego na ziemię.

Morelli strzelał systematycznie, nieregularnie, celując starannie do określonych punktów. Wachmistrz również wziął się do karabinu. Nie trzeba było słów. Hen, na srebrnym piasku, daleko poza czarną plamą, rezultatem pierwszych strzałów Morellego, poruszały się czarne plamy, które wynurzyły się z ochronnego, niedorzecznego cienia... Jedna... dwie... pięć... sześć czarnych, pełzających plam.

Strzelali bez przerwy, oszczędnie, starannie... Czarne plamy posuwały się nieodparcie naprzód, prawie niedostrzegalnie, ale się posuwały.

— Niech...! — rzekł z pasją Morelli. — Czy nie umiemy strzelać, czy co? Jaki celownik, panie wachmistrzu?

— Mój trzy — pięćdziesiąt — odparł wachmistrz. — Ale to pewnie więcej. — Przesunął wyżej celownik.

— Hm! — Morelli zrobił to samo. Strzelił. — Gdzie jest Żyd? — zapytał.

Wachmistrz strzelił i odpowiedział.

— Już nie przyjdzie. Teraz tylko my dwaj...

— Co? — Morelli odwrócił ostro głowę.

— My dwaj, powiadam. — Wachmistrz wsunął w magazynek swego karabinu nową łódkę. — Sanders zwariował z kretesem. Wbił Abelsonowi szablę w oko... Zginał chłop na miejscu.

Podniósł karabin do ramienia, przywarł policzkiem do twardego drzewa i wycelował starannie do pierwszej z sześciu czarnych plam, pełzających po srebrzystej pustyni.

XVIII

W trzy... prawie w cztery godziny później. Księżyc jeszcze świeci, ale już blednie; srebro przechodzi stopniowo w jasną, widmową szarość... Wachmistrz i Morelli leżą na tych samych miejscach... Ale nie strzelają... przed nimi, daleko, widnieją już tylko trzy czarne plamy. Ale plamy te są ciche i spokojne, nie pełzną naprzód nawet niedostrzegalnie. Gdyż w ogóle już nigdzie nie popelzną.

Prawe ramię Morellego jest mocno przewiązane nad łokciem szmatą, udartą z koszuli. Bo nie tylko on i wachmistrz strzelali. Dostał rykoszetem. Kula odbiła się o pień palmy i wyłobiliła mu w ramieniu głęboką koleinę... Poza tym są nietknięci.

I chwilowo zwycięscy. Trzej... czy czterej jak utrzymywał Morelli... żyjący nieprzyjaciele wycofali się z powrotem w nieprzeniknione, niedorzeczne cienie.

Potrzeba czujnej, zbiorowej uwagi na razie ustała i wachmistrz, leżąc, unosił co chwila nagą szyję i ramiona, spoglądał za siebie w rozjaśniającą się głąb oazy.

— Co takiego? — zapytał za trzecim takim razem Morelli.

— Sanders. Żołnierz drgnął.

— Chryste! zapomniałem... Czy tam jest?

— Nie widzę — odparł wachmistrz. — Dlatego się oglądam. Odwrócił ponownie głowę.

Morelli, leżąc, wykręcił się również w taki sposób, żeby móc sięgnąć wzrokiem w mroczną szarość.

— Arabowie przed nami — rzekł — krwiożerczy opętaniec za nami... Ładną mamy zabawę, panie wachmistrzu!

Obaj roześmieli się krótkim, ostrym śmiechem, podobnym do szczekania.

— Mogłem go ostatecznie zabić — odparł wachmistrz. — Chociaż nie sędzę... Ogłuszyłem go... Musiałem... — Umilkł i rozejrzał się po pustyni. — I jeszcze z tym Abelsonem... — dodał.

— Znów trzeba kopać — rzekł Morelli i zaczął chichotać...

Wachmistrz szarpnął się gwałtownie.

— Uciszyć się psiakrew, bo...

Zduszony śmiech zamarł raptownie.

— Przepraszam, panie wachmistrzu — rzekł Morelli. — Nie wiem, co mnie napadło...

— Zaraz wrócę — rzekł normalnym tonem wachmistrz. — Pójdę po hełm i koszulę. Ty zostań tu.

Dźwignął się na nogi, zakryty od strony pustyni pniem palmy i odszedł cichym krokiem z karabinem w rękę.

— Ostrożnie, na miłość boską... — pogoniło za nim ostrzeżenie Morellego. Szedł, uśmiechając się kurczowym uśmiechem z powodu tej niepotrzebnej rady. Niósł przed sobą ukośnie karabin, trzymając na spuście prawy wskazujący palec. Szedł, pochylony w biodrach, z muskularni napiętymi jak struny. Do czujnych uszu dolatywały odgłosy, których nie było... odgłosy skradających się kroków... głośnego, ostrego oddechu... brzęku szabli, uderzającej o drzewa... Przyłapał się na głośnym odezwaniu:

— Nie daj się, człowieku! Przecież nic nie słyszysz!

Przygryzł wargę i przyspieszył kroku.

Ciało Abelsona leżało przed lepianką, tak jak je zostawił, ale Sandersa nie było. Przekroczył trupa i zamieniony w jeden twardy wysiłek woli, od którego mu dygotały wszystkie mięśnie, zanurzył się w czarne wnętrze chaty, z karabinem wzniesionym nad głowę.

Ale Sandersa nie było...

Wziął ze swego legowiska koszulę, hełm i pas grzbietowy.

— Czy mam się tu ubrać? — myślał. — Może wpaść w chwili gdy będę miał omotaną głowę...

Stał niezdecydowany, ale pragnienie dodatkowego poczucia pewności, związanego z ubraniem, przeważało. Położył karabin na derkach i pochwycił go pospiesznie, gdy tylko naciągnął koszulę.

— Jestem odważny, nie ma co — rzekł głośno i usłyszał swój głos jako coś grzmiącego i nienaturalnego.

Wepchnął niezręcznie koszulę w bryczesy jedną ręką, gdyż w drugiej trzymał karabin. Odpasanie i przypasanie pasa było trudnym zadaniem dla pięciu palców. Ale dał sobie jakoś radę i opuścił lepiankę w koszuli, w hełmie i w pasie grzbietowym, obciążony dwiema ładownicami i plecakiem, zwieszającym się z prawego ramienia.

W chwili gdy wychodził za próg, wybuchnął świt z całą charakterystyczną, nagłą, złotą wspaniałością. Zrobiło się widno i naprężone, wzburzone nerwy doznały ukojenia.

Ale na ziemi leżało przypomnienie... trup Abelsona.

Przekroczył go i podążył ku środkowi polanki, strzelając oczami na prawo i na lewo. Sandersa nie było.

Zatrzymał się na środku polanki, bardzo niespokojny. Wtem dobiegło go wołanie Morellego.

— Panie wachmistrzu! Wachmistrzu!...

— Jestem! — odkrzyknął, biegnąc.

Przebył gaj i rzucił się, spocony, na ziemię, na swoje dawne miejsce. Przesunął oczami po pustyni, lecz nie zauważył niczego z wyjątkiem trzech ciemnych przedmiotów, które teraz, przy świetle dnia, wydawały się w jakiś dziwny sposób bardziej oddalone, niż w łagodnym, srebrnym blasku księżyca.

— Co się stało? — zapytał, nie patrząc na towarzysza.

— Ja... ja... — zaczął się jąkać Morelli. — Niech pan wachmistrz patrzy... tam... daleko. Za tym trzecim zabitym. — Wskazał palcem. — Myślałem... przysięgłbym, że się tam... poruszyło...

Jego opalona twarz okryła się wraz z szyją ciemnym rumieńcem. Spojrzał z ukosa i odetchnął z ulgą, że na niego nie patrzy. Gdyż w rzeczywistości ani nie dostrzegł żadnego ruchu na pustyni, ani mu się to nie przywidziało. Tylko po dziesięciu minutach samotności, które po tej upiornej nocy wydały się godzina, nabral przekonania, że wachmistrza spotkało jakieś nieszczęście, prawdopodobnie z ręki Sandersa. Walczył z tym uczuciem tak długo, jak tylko mógł, ale w końcu nie wytrzymał i zawołał. Słowa wyrwały mu się z ust prawie bezwiednie. Lecz z chwila gdy przebrzmiały i gdy im odpowiedział krzyk wachmistrza. Morelli poczuł, że oddałby rękę za to, żeby móc je cofnąć.

Przewlokło się kilka długich minut i wachmistrz rzekł:

— Nic nie widzę... Gdzie jest lornetka?

Za nimi rozległ się słaby szelest. Obaj go usłyszeli, ale żaden się nie odezwał. Sądził, że się przesłyszeli wskutek zdenerwowania. Lecz choć się nie odezwali, natężyli uszu. Pytanie wachmistrza zawisło niejako w powietrzu.

Znów coś zaszeleściło... Obaj odwrócili się raptownie. Morelli pozostał na ziemi, z otwartymi ustami, z wysadzonymi na wierzch oczami,

z twarzą brudnoszarą, z której uciekła wszystka krew. Wachmistrz zerwał się momentalnie i stanął zapatrzony, dysząc krótko, urywanie...

Przed nimi, nagi jak nowo narodzone dziecko, stał Sanders... Nagi i z próżnymi rękami... Spodziewali się mordercy — ujrzeli głupiego świętego.

Wyciągnął do nich próżne ręce dłońmi do góry. Na jego twarzy malował się pozornie słodki, natchniony uśmiech, który po bliższym przyjrzeniu okazał się mrozącym krew w żyłach grymasem szaleńca.

Mała grupa przetrwała w absolutnej nieruchomości szereg minut, które mogły się wydać mikrokosmosem wieczności. Niby pozując do obrazu, skomponowanego przez wielkiego satyryka.

Pierwszy poruszył się Sanders. Podszedł do nich wolnymi, delikatnymi krokami, z błagalnym gestem rąk, z wrytym na twarzy uśmiechem i przemówił. Jego głos, głęboki i dźwięczny, był tak niepodobny do głosu, który znali, że doznali wstrząsu jeszcze silniejszego niż w pierwszej chwili.

— Opuszczam was — rzekł. — Ale nim to uczynię, padnijcie ze mną na kolana i pomódlmy się...

Ukląkł i złożył ręce, wznosząc je wysoko przed twarzą. Oczy zamknęły się ale usta pozostały uśmiechnięte. Zabrzmiał znów głos:

— Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech, święć się imię Twoje...

Wachmistrz ożył. Jego blada twarz była poorana głębokimi liniami.

— Nieprzyzwoicie... Dość tego... — mruknął i podszedłszy do klęczącego położył drżące palce na nagim, kościstym ramieniu.

— Dostyc tego — rzekł dziwnym, niepewnym głosem. — Dostyc tego!

Ale wypowiedziawszy te słowa, uświadomił sobie momentalnie całą ich czczość. Potrząsnął chude ramię żelaznymi palcami.

— Wstań — rzekł. — Wstań mi zaraz!

Schylił się, wsunął ręce pod pachy szaleńca i podniósł go na nogi. W pewnej mierze powróciła mu zwykła stanowczość i pragnienie konkretnego działania.

Morelli, leżący w dalszym ciągu na ziemi z oczami jak cebule, usłyszał krótki rozkaz:

— Ty tu zostań! Uważaj na pustynię! Zaraz będę z powrotem.

I nim się przewrócił z powrotem na brzuch, zobaczył, że nagi człowiek wagi stu kilkudziesięciu funtów został dźwignięty z ziemi jak dziecko i poniesiony w stronę lepianki. Mignęła mu również nad ramieniem oddalającego się wachmistrza podskakująca twarz, rozjaśniona uśmiechem nie seraficznym, a tak idiotycznym, że prawie plugawym. Przeszedł go długi dreszcz trwogi i odrazy.

— Niech Bóg ma nas w swojej opiece! — jęknął i położywszy się na brzuchu, zawiesił czujne oczy nad oszałamiającym, nieskończonym półkolem rozplamionej pustyni.

Wydało mu się, że nim usłyszał ponownie kroki wachmistrza i jego umyślnie stłumiony ze względu na stan nerwów głos, upłynęło morze godzin.

— Co słyszeć?

Morelli nie podnosząc oczu, potrząsnął głową.

— Nic — odpowiedział, dziwiąc się nienaturalności własnego głosu...

Wachmistrz położył się na swoim miejscu. Spojrzeli na siebie przelotnie i odwrócili pośpiesznie głowy, jakby się obawiali wyczytać nawzajem na swoich twarzach to, co było na nich wypisane. I rzeczywiście obawiali się tego. Każdy czuł, że drugi czuje to samo.

Wachmistrz otarł mokrą ręką ociekające potem czoło. Oddychał prędko, z trudem, prawie dyszał. Ręka mu drżała, a wargi poruszyły się mimo woli. Mogło się zdawać, że wzbierające w głowie gorączkowe myśli domagały się wyzwolenia przez usta.

Morelli obliznął suchym językiem jeszcze suchsze wargi.

— Co pan wachmistrz z nim zrobił? — zapytał. Chciał, aby jego głos zabrzmiał spokojnie i zwyczajnie, lecz z gardła wydobyło się zduszone skrzeczenie.

— Chata — odmruknął wachmistrz. — Uwiązałem go... Powiązałem kilka par cugli... jego w pasie... przez okno... do palmy... Nie sądzę, żeby mógł się urwać... Chociaż ma swobodę ruchów... Zabrałem szablę — wszystko... Nie będzie mógł przekrajać rzemienia... i gotów jestem przysiąc, że nie uda mu się rozplatać węzłów z tyłu... Może się poruszać... I zostawiłem mu daktyli i wody... Modli się ciągle z tym uśmiechem...

Głos rozpląnął się w ciszy.

Morelli milczał.

Wachmistrz, podrażniony tym milczeniem, wybuchnął.

— Cóż mogłem zrobić innego? Nie chciał się ubrać... Nie mogłem pozwolić, żeby tak chodził po słońcu... Cóż innego mogłem zrobić? Mów, kiedyś taki mądry!...

Morelli odpowiedział, łykając słowa.

— Pewnie! Pewnie! Trzeba go było uwiązać. Pewnie! Tylko właśnie myślałem...

Urwał raptownie.

— Co myślałeś?

— Myślałem, że... że... No... Za-zastanawiałem się... czy nie lepiej byłoby... psiarew! jeżeli byśmy położyli koniec jego... jego., cierpieniom?

— Myślałem o tym — rzekł wachmistrz i odwróciwszy się, rzucił wyzywająco: — Kto to robi? Może ty?

Morelli wzdygnął się i nie odpowiedział. Leżał nieruchomo, patrząc w dal. Nie był pozbawiony wyobraźni.

— Zrobiłbyś to? — zabrzmiało natarczywe pytanie wachmistrza.

Żołnierz potrząsnął wolno głową.

— Nie — szepnął. — Nie, teraz widzę, że nie... Może powinniśmy, zważywszy na nasze położenie... Ale ja bym się na to nie zdobył, panie wachmistrzu...

— Ani ja — rzekł wachmistrz. — Myślałem o tym... Ale kiedy spojrzalem na nieszczęśnika... Siedzi sobie tam, uśmiecha się i modli... Psiakrew, wiesz Morelli, może bym się jeszcze na to zdobył, gdyby on był ubrany!

— A! — Morelli pokiwał głową. — A jak tam z żarciem, panie wachmistrzu?

Wachmistrz wydobył z leżącego obok plecaka duży gnieceuch sprasowanych daktyli, który przyniósł ze sobą z ostatniej wycieczki do lepianki.

Jedli w milczeniu, popijając letnią wodą z manierek. Gdy skończyli, wachmistrz zajrzał do papierośnicy.

— Pięć — rzekł. — Ile ty masz?

— Trzy — odparł Morelli — ale... zostały jeszcze po Abelsonie...

Podał jeden wachmistrzowi, a drugi włożył w usta.

Nad głowami leżących wzbily się w rozżarzone powietrze dwie smugi dymu, które rozplynęły się w małe, niemowłące chmurki. Z każdą minutą potęgował się straszny upał z ciągłą zapowiedzią czegoś jeszcze gorszego.

Długie milczenie przerwał Morelli.

— Panie wachmistrzu — zaczął — pan wachmistrz słyszał o Jonaszach?

— Słyszałem. — Wachmistrz skinął głową. Był w tej chwili jakby roztargniony. — Chciałbym — mruknął — żeby te diabły coś zrobiły... To czekanie!...

Zapadła cisza.

— ...O Jonaszach... — zabrzmiał głos Morellego. — Słyszysz pan wachmistrzu?

— Słyszę — odpowiedział wachmistrz. — Słyszę.

— Ja jestem Jonasz — oznajmił cicho Morelli. — Ja... To jest tak...

XIX

Wykopali, zmieniając się przy robocie, grób dla Abelsona, z dala od chaty. Wachmistrz złożył ciało w ziemi, przysypał i udeptał mogiłę.

Upłynął dzień; noc... drugi dzień i druga noc.

Dla tych dwóch ludzi czas przestał istnieć. Stworzony przez człowieka surowy podział na dni, noce i godziny roztopił się w kotle słonecznego żaru i w srebrnej kąpeli księżyca. Jedli od czasu do czasu i pili dużo wody. Spali na zmiany, gorączkowo albo wcale. Na zmiany strząsali świeże daktyle i szli po wodę. Na zmiany wędrowali jak nieprzytomni do lepianki i dawali jeść i pić nagiemu szaleńcowi, który modlił się ze swoim straszonym uśmiechem, pozwalając wyprować się na przechadzkę jak zwierzę i odzywał się do swoich opiekunów ciągle jednymi słowami:

— Opuszczam was.... padnijcie na kolana i módlcie się ze mną!

Niekiedy rozmawiali ze sobą, to monosylabami, to gadatliwie, całymi godzinami. Kiedyś milczeli od wschodu do wschodu. Ale

bezustannie wypatrywali niezmordowanymi oczami, które piekły, bolały i płakały od żaru słońca i promieni księżycy. Zdawało im się, że ta męka trwa już całe życie... całą wieczność, że od początku stworzenia leżą na brzuchach, wsparci na obolałych, pokaleczonych łokciach, patrząc piekącymi oczami w pustkę, czekając na nieprzyjaciela, którego nie odważyli się szukać ani nie mogli widzieć, ale którego istnienie było faktem. Magicznego nieprzyjaciela, który krył się tam, gdzie nie było żadnej kryjówki, który zwrócił im na wstętnie urągawisko potwornie zeszpecone ciała towarzyszy, który miał ich według wszelkiego prawdopodobieństwa zwyciężyć, tak jak zwyciężył tamtych.

Oczy mieli jak węgle. Na ciemnych twarzach rósł szczecinowaty zarost. Jakkolwiek ich legowisko było do pewnego stopnia osłonięte, żar bił w nich jak z pieca, tak że każdy słoneczny cykl był crescendo ognia, uzupełnianym niewiele znośniejszą nocą. Drewniane kolby karabinów paliły ręce, dotknięcie metalu było torturą. Z ciał lały się bezustannie strugi potu, tak iż wydawało się im, że się roztopią. Chwilami czuli się bliscy oblędu. Naokoło i nad nimi wartowały nieporuszone, wyniosłe, niemal groźne palmy. Przed nimi słało się bolesne półkole pustki, jałowy, rozpalony piec za dnia, trędowata, srebrzysta czara w nocy. Pustka przeobraziła się w ich umysłach w rozgorączkowaną, pożądliwą, wrogą istotę, która ziała do nich nienawiścią i miała im przynieść śmierć, poprzedzoną oblędem.

— Żeby się chociaż coś poruszyło! — jęknął Morelli. — Psiakrew, żeby chociaż coś...

Wachmistrz odwrócił się na łokciu. Milczał prawie przez cały dzień i teraz z jego ust popłynął spieniony potok gniewnych słów. Prawie krzyczał:

— Tak. Tak. Wiem. Coś powinno się poruszyć. Tak. Ale co powinno się poruszyć? Co? Niech Bóg... tych krwawych szatanów! Niech porazi trądem ich... dusze, niech... Oni nas tu dosięgną! Ale na kości ich proroka i my ich dosięgniemy! Morelli, czy ty wiesz, co to ambicja? Naturalnie, że wiesz. I ja wiem. Mam bezgraniczną ambicję. Kiedyś byłem ambitny jak szatan, Morelli, ale nigdy tak, jak w tej chwili. Ja ich dosięgnę. Powiadam ci. Dosięgnę ich, a potem umrę...

Umilkł. Uświadomił sobie nagle, że krzyczał głośno, coraz głośniej, do człowieka, który był tak blisko, że można się z nim było

porozumiewać szeptem. Własny dziwny głos dzwonił mu w uszach nieprzyjemnym echem. Ugryzł się w wargę, starając się opanować wzburzenie.

Ale Morelli sam zaraził się krzykiem.

— ...to bardzo dobrze — wrzeszczał. — Doooskonale! Ale dlaczego te bydlaki czekają? Na co? Powiem panu wachmistrzowi. Przyszło mi właśnie do głowy. Gdyby nie to, że to słońce działa nam na mózgi, dawno byśmy to pomyśleli. Oni czekają na towarzyszy. Na posiłki. Rozumie pan wachmistrz? Psiakrew, nic tylko czekają na posiłki. Tamtej nocy zakatrupiliśmy trzech. To znaczy, że zostało trzech, może czterech i ci nie chcą ryzykować. Dlaczego? Bo wiedzą, że ich bracia są w drodze. Wtedy dopiero na nas uderzą i zrobią jatki. Co wtedy będzie z ambicją pana wachmistrza, co?

— Dobrze. Dobrze. Nie potrzebujesz wrzeszczeć! — Wachmistrz odzyskał panowanie nad sobą. Głos jego brzmiał cicho, równo i energicznie. — Może masz słuszność. W każdym razie rozumiesz logicznie. Ale pomimo wszystko zdaje mi się, że się mylisz. Powiem ci: ja myślę, że oni czekają... po prostu czekają. Część ich programu. Rozumiesz? Nie zależy im na tym, żeby nas wymordować za jednym zamachem. Oni się bawią. Dlaczego przywlekli z powrotem Jocka i Cooka? Rozumiesz, co mam na myśli? To czekanie, to tylko dalszy ciąg zabawy.

— Trudno powiedzieć... może to i tak jest... — I Morelli przyszedł trochę do siebie. — Piekło jest piekłem! A jakie tam ono jest, to już nic nie znaczy. Niech... ich i nas także! — Zaczął gwizdać żałośnie:

Wieszają dziś ludzi
Nie wiadomo za co.

Wachmistrz podjął słowa piosenki. Smętna melodia wzbila się nad korony palm i zamarła.

— Nie ma to jak śpiew — rzekł wachmistrz, uśmiechnął się i zaczął śpiewać:

Gospodarzu, czy dobre wino macie?
Parli - wu!
Gospodarzu, czy dobre wino macie?
Parli - wu!

Gospodarzu, czy dobre wino macie?
Hej! To je nam tu dajcie!
Hej! To je nam tu dajcie
Bo kawaleria ma tęgi spust!
Bo kawaleria ma tęgi spust!
Hej! Hej!

Morelli patrzył na niego, przysłuchując się początkowo bezmyślnie, potem z zainteresowaniem, wreszcie z uciechą. Jego zarośnięta twarz przepołowiała się szerokim uśmiechem. Wrzasnął nagle tak przeraźliwie i donośnie, że w tej ciszy mógł się dać słyszeć w promieniu dwóch mil.

— No, to śpiewajmy. Hej! Hej! Hej!

Ryknął drugą strofkę i jego dość piskliwy tenor zlał się, nie bez harmonii, z głębokim barytonem wachmistrza.

Gospodarzu, czy piękną córkę macie?
Parli - wu!
Gospodarzu, czy piękną córkę macie?
Parli - wu!
Gospodarzu, czy piękną córkę macie?
Hej! To ją nam tu dajcie!
Hej! To ją nam tu dajcie!
Bo kawaleria ma dobry gust!
Bo kawaleria ma dobry gust! Hej! Hej!

Otoczające palmy drżały od wojennego, zamaszystego rytmu piosenki. Słowa i tony leciały wzwyż i w dal ponad pustynię, czerwoną od szkarłatnego blasku zachodzącego słońca. Spojrzeli na siebie z uśmiechem i ogarnął ich jeszcze większy zapał. Podnieśli się na kolana, a z kolan na nogi. Stali, jeden na wprost drugiego, z odrzuconymi w tył głowami, rycząc strofkę po strofco, każdą następną głośniej niż poprzednią. Krew uderzyła im do głów i przyciemniła i tak już czarne, zarośnięte twarze. Z czoł, policzków, piersi i pleców lały się strumienie potu.

Piosenka dobiegła końca.

— Niech słyszą — zadyszał wachmistrz. — Nie ma to jak śpiew...

— Niech słyszą — zawtórował Morelli. — A teraz Armia Freda Karno... Zaczynamy...

My armia Freda Karno
Jesteśmy cywil banda!
Nie umiemy bić się, nie umiemy strzelać,
Więc na cóż ta granda?
Gdy przyjdziem do Berlina i Kaiser nas zobaczy,
Powie: Och! Och! Mein Gott! Mein Gott!
Co to za pułk sobaczy!
Psiakrew n'ty liniowy!
Psiakreeew!...

Teraz oddychali swobodniej, gdyż tę piosenkę śpiewa się na nutę sławnego hymnu, powolną, uroczystą i rozległą. Następnie zaintonowali wypoczętymi płucami ulubioną piosenkę Hale'a. Tytuł jej brzmiał Prawdziwa Miłość, a zaczynała się od słów:

Sprawiedliwości! — rzekł młody majtek.
Ni słowa więcej.

Urwali w połowie z powodu różnicy zdań w kwestii słów i melodii. W dalszym ciągu stali. Ogarnęło ich podniecenie. Zaczęli krzyczeć.

— Nie wrzeszcz! — ryknął wachmistrz. — Czy to nie wszystko jedno? Poczestujemy ich Skoczkiem!

I znów odrzucili w tył głowy i zawyli z całych sił. Tym razem ryk był jeszcze donośniejszy niż przy Armii Freda Karno. Zdawało im się, że palmy kołyszą się w takt ich głosu, podczas gdy krwawa gloria słońca, jakby zawstydzona ich brawurą, jęła się rozplýwać i blednąć.

Oni tylko grali w Skoczka,
Oni tylko grali w Skoczka,
Oni tylko grali w Skoczka,
Tak jak konik polny skacze
przez konika!

Śpiewali, aż im drętwiały karki, a żyły na nich wzdymały się jak postronki. Śpiewali w górę drzewom, śpiewali w dal pustyni,

osłaniając rękami usta dla nadania większej donośności głosowi Zachodzące słońce rzucało na obszary piasku już nie czerwoną lunę, a przyćmiony blask, podobny do światła sączącego się przez witraż. Odwrócili się i śpiewali do siebie. Morelli potańcowywał, wachmistrz machał z przejęciem rękami, udając kapelmistrza...

Wreszcie siły ich opuściły. Osunęli się na ziemię, spoceni i zziębnięci. Morelli zaczął się śmiać, chwytając z trudem powietrze. Śmiech ten wzbierał, bulgotał, przycichał i znów wzbierał. Zarażony nim wachmistrz zawtórował towarzyszowi i wkrótce obaj tarzali się po ziemi, konając ze śmiechu...

Wachmistrz usiadł i przetarł knykciami mokre oczy. Trwał chwilę nieruchomo, patrząc na pustynię, na której nic się nie poruszyło i nic nie było widać oprócz piasku i trzech nieruchomych plam. Pomyślał, że pewnie trochę urosły... i zaczął się znów śmiać.

Morelli oprzytomniał:

— Czyja teraz kolej? — wskazał w stronę lepianki.

— Moja — odparł wachmistrz, przestając się śmiać. — Tak. Pójdę... za minutę.

— Dzięki Bogu, że nie moja — rzekł prawie szeptem Morelli. — Najgorzej mi działa na nerwy to dogłądanie jego!

— Niemile zajęcie. — Wachmistrz również zniżył głos. — Przyjemniej by było, żeby to był któryś inny...

Morelli podniósł oczy.

— Ma pan wachmistrz rację — odpowiedział powoli. — Nie pomyślałem o tym... Słuszna uwaga... Na przykład Brown!... To był porządny gość!

Wachmistrz skinął głową.

— Ano był... I wszyscy tamci... Każdy na swój sposób... Trudno było pragnąć lepszej gromadki... Z wyjątkiem jego...

— Ma pan wachmistrz rację... ja nic na to nie poradzę, że jestem Jonaszem...

— Dureń jesteś! — warknął wachmistrz.

— Tak — ciągnął Morelli. — Dobrali się wszyscy jak w kocu maku. Nawet Żydowin miał serce. Gdzie tam, dwa serca... Ciekawsze by było, gdyby któryś z tamtych zwariował... Choć on był zawsze na pół zwariowany... — Urwał i w parę sekund później dodał:

— Boże Wszechmocny!

— Co takiego? — wachmistrz odwrócił się raptownie.

Morelli z twarzą utopioną na poły w cieniu i w zapadającym zmroku, ział plamami rozdziawionych ust i szeroko rozwartych oczu.

— Wspomniałem Browna — odparł — i zacząłem myśleć o drapaniu się na drzewa... Przyszło mi do głowy, że nie potrzeba było tego całego zachodu z zarzucaniem liny. Wystarczyło przywiązać ją sobie do pasa i wspiąć się po pniu w górę... Nic prostszego...

— To i co z tego? — zapytał wachmistrz. — Później... i mnie to przyszło do głowy. Ale przecież nie zrobiliby to żadnej różnicy.

— Nie. Pewnie, że nie... Tylko... pomyślałem sobie, że może... jeżeli nam się zachciało stałych czat...

— Milcz, na Boga! — krzyknął z uniesieniem wachmistrz. — Co nam z tego przyjdzie, jeżeli zaczniemy się zastanawiać, cośmy mogli zrobić, a nie zrobili? Szkoda po prostu gadania. Co by się stało, gdyby nie te nieudane czaty? To, że wygnietliby nas od razu, bez przeszkody... I to wszystko...

— Racja, panie wachmistrzu, racja... — potwierdził pośpiesznie Morelli...

Ale wachmistrz ciągnął dalej.

— Możeśmy... może ja, jeżeli chcesz!... może postąpiłem we wszystkich wypadkach dobrze, a może źle, albo częściowo tak, jak należało, a częściowo po głupiemu... Ale zrobiłem to, co zrobiłem. I psiakrew, nie ma co gadać! Rozumiesz? Może źle się stało, żeśmy wyprawili Jocka i Cooka? Może nie powinniśmy używać dachu naienne czaty? A może, chociaż jest nas tylko dwóch, nie powinniśmy byli z niego schodzić? Może powinniśmy spróbować od razu na początku napaść na ich niewidzialną kryjówkę? Może powinniśmy zwabić Arabów, albo wywiesić chorągiew na drzewie, albo rozpalić wielki, dymiący, stały ogień, żeby ewentualnie zwrócić uwagę naszych? Może to, a może tamto. A może — jeszcze co innego. Ale to, co się stało, to się stało i nie odstanie się. Tak, mój chłopcze! I na miłość boską, nie wspominaj już o tym!

Urwał tak nagle, jak zaczął. Leżał, patrząc przed siebie w gęstniejące morze mroku i oddychając ciężko i prędko.

Zapadło milczenie. Mrok stał się ciemnością, a ciemność prawie momentalnie pierwszym brzaskiem księżycza.

Wachmistrz odezwał się cichym głosem:

— Przepraszam cię. Morelli! Niepotrzebnie się uniosłem...

— O, panie wachmistrzu! — rzekł Morelli. — Nie ma o czym mówić. Moja wina.

— Nie, moja. Ale... uniosłem się dlatego... bo... ja byłem za wszystko odpowiedzialny i ja musiałem zawsze decydować. Każda rzecz, której się tknąłem, miała pięć lub sześć rozwiązań i musiałem się biedzić i głowić...

— Dobrze, że to właśnie pan wachmistrz nami dowodził — rzekł prędko Morelli.

Wachmistrz uśmiechnął się z nagłym błyskiem białych zębów na tle prawie niewidocznej, czarnej twarzy.

— Dziękuję. Daj spokój, Morelli... Wiesz, co mnie najwięcej boli? To, że ginieemy z rąk wszawych Arabów. Ot, co! Co ich ta wojna obchodzi? Równie dobrze mogliby nas potraktować po przyjacielsku. Jedni są przychylni, inni — nie. Wszystko zależy od tego, czy spotkają się z silniejszymi, czy słabszymi od siebie. Niech ich...

— Tak, nie byłoby — powtórzył Morelli. — I nie tak podle, żebyśmy mieli do czynienia z Turkami... Ale z Arabami! Zaciągnąłem się na ochotnika, dlaczego? Po pierwsze dlatego, że pomimo obcego nazwiska czuję się Anglikiem, a po drugie, że zawsze nienawidziłem plugawych Niemców. I teraz oto mam zginąć z rąk arabskiej, cuchnącej, parszywej kanalii... Cała pociecha w tym, że jestem Jonaszem i dla siebie samego. Urwał i wybuchnął prawie z płaczem:

— Ale co się stanie z Moreą?

Mogło się zdawać, że słowa te wydarła mu z ust jakaś nieubłagana, niewidzialna ręka. Chociaż rzucone szeptem, przebiły się przez ciemności i poraziły uszy wachmistrza jak żywy ogień.

— Czy to twój wspólnik? — zapytał, aby coś powiedzieć.

— Ach, Joey — zabrzmiał szept. — Dzięki Bogu, odłożyliśmy dosyć pieniędzy... Ale ona będzie potrzebowała mnie! Mnie!... Leży tam, samotna... na wznak... i zawsze tak pozostanie... — Głos mu się zmienił, stał się głośny i nienaturalnie burkliwy. — Co tu gadać, psia-krew! — rzekł. — Pan wachmistrz może wie, co się we mnie dzieje...

— Rozumiem! — odparł wachmistrz.

Morelli odwrócił głowę.

— Ma pan wachmistrz kogoś, komu go zabraknie?

— Nie — padła lakoniczna odpowiedź. — Nikogo. Jest ktoś, komu się może będzie zdawać przez pewien czas... Ale ona... oni znajdują się w lepszym położeniu. — Zerwał się szybko na nogi.

O, w daleko lepszym, psiakrew. — Schylił się i podniósł z ziemi karabin. — Muszę teraz zajrzeć do niego — rzekł. — Daj manierki. Nabiorę wody.

Odszedł wolnym krokiem, z karabinem pod pachą, z rozkołysanymi manierkami w ręku. Morelli patrzył za nim, dopóki nie zniknął wśród drzew i cieni.

XX

W połowie drogi do lepianki wachmistrz zmienił zamiar i kierunek. Postanowił wpierw iść do źródła i nabrać wody w manierki. Sanders mógł poczekać trzy minuty dłużej.

Przeszedł przez polankę z ustami rozszerzonymi drwiącym uśmiechem. Szydził z siebie samego, że tak dziecinnie odwleka chwilę przykrego obowiązku.

Dotarłszy do źródła umył twarz i szyję i napił się wody z dłoni, po czym zaczął napełniać pierwszą manierkę.

Skąpana w księżycu cisza, ogarniająca świat płaszczem spokoju, została rozdarta z tą straszną, a przecież nieuniknioną nagłośnią, jaka jest losem wszystkich cisz, przez huk czterech wystrzałów z karabinu Morellego.

Manierka wypadła z rąk wachmistrza. Porwał swój karabin i pojechał na miejsce alarmu. Usłyszał inne słabe wystrzały i ich echa. Pędził jak szalony, wyężdżając słuch.

Ale strzelanina umilkła.

Wpadł między drzewa. Płuca ustawały z wysiłku. Serce biło jak młotem. Znalazł się na miejscu — trafiłby po omacku — gdzie powinien być Morelli.

Ale Morellego nie było.

Rzucił się na swoje miejsce i skierował wzrok w srebrną dal. Chwytał z trudem powietrze. Z czoła lał się słony, gryzący pot, przeszkadzając widzieć. Przetarł z pasją oczy, które wreszcie zobaczyły.

Przed nim, może w odległości stu jardów albo dalej, biegł Morelli. Biegł krótkimi, nierównymi zygzakami, ścigając drugiego człowieka... którego nagość jaśniała w mrocznym świetle jak skóra trędowatego.

Wachmistrz zerwał się na nogi i wrzasnął z całej siły płuc:

— Morelli! Wracaj, Morelli!... Zostaw go!... Wracaj, ty piekielny głupcze! Wracaj!

Morelli nie dał żadnego znaku, że usłyszał, jeżeli usłyszał. Zabięął z ręcznie drogę wariatowi, złapał go i zatrzymał.

— Wracaj! — ryczał wachmistrz. — Wracaj! Zostaw go!

Ale zmaganie się dwóch postaci w świetle księżyca trwało w dalszym ciągu.

Zabrzmiały ponownie echem wystrzały i u ich nóg zaczęły się rozpryskiwać fontanny piasku.

Wachmistrz patrzył bezradnie. Nagle naga, jaśniejąca postać zachwiała się i osunęła na ziemię, zamykając się jak scyzoryk. Morelli spojrział i — jął biec z powrotem.

— Żywo! — wrzasnął wachmistrz i zaczął strzelać raz po razie do cienia, z którego przypuszczalnie padły pociski, celowane w uciekającego.

Morelli .był już tuż... tuż... Wachmistrz strzelał bez przerwy, powstrzymując oddech.

Tuż... tuż... Tak blisko, że wachmistrz widział już wyraźnie twarz, otwarte, wykrzywione z wysiłku usta i wytrzeszczone szeroko oczy.

— Żywo! I czegoś ty narobił? Żywo! — ryczał do pędzącego wachmistrz.

Ale w połowie zbocza Morelli stanął, zakręcił się powoli, omdlewająco wkoło i runął na twarz. Ironiczna gracja tego ruchu była przerażająca.

Wachmistrz rzucił karabin, spuścił się na brzuchu po zboczu, chwycił za śmiesznie sterczące pięty i wciągnął ciało między drzewa. Ciągnął powoli, cal po calu. W trakcie tego padły w piasek koło niego trzy pociski. W cieniu poczuł się z powrotem bezpieczny.

Nim się jeszcze pochylił nad nieruchomym towarzyszem, zrozumiał, że ma u nóg trupa... Dalej na piasku, na odkrytej przestrzeni leżało lśniące, nagie ciało szaleńca, który przez swoją ucieczkę sprawił, że wachmistrz pozostał sam.

XXI

Minęła noc. Promienie słońca przedarły się poziomo między pniami drzew i załyły polankę jasnym, ostrym światłem.

Dookoła panowała pustka i martwota, a przynajmniej tak się mogło zdawać. Człowiek, stojący na środku polanki i rozglądający się w otoczeniu, zauważyłby lepiankę, ukrytą wśród palm na południowo-zachodnim skraju oazy i dwie błyszczące w słońcu lufy karabinowe, wysunięte z krzywego okienka. Naturalnie ujrzałby momentalnie okiem wyobraźni dwóch ukrytych ludzi, klęczących wewnątrz chaty z karabinami przy ramionach.

Ale w lepiance nie było żywej duszy. Wachmistrz znajdował się na polance. Leżał w płytkim dole z tej strony, koło źródła, na wprost wschodniej ściany chaty. Ciężko się napracował nim wykopał ten dół. Upatrzył sobie w tym celu dogodne miejsce u stóp palmy, gdzie stałe kładły się jaśniejsze lub gęstsze cienie i rozrzucił obok liście palm, które wyglądały tak naturalnie, jakby spadły same.

Leżał na brzuchu wewnątrz jamy, z karabinem pod prawą ręką. Pod lewą miał dwa końce rozplecionej liny. Z dołu wychodziły trzy liny, biegły po ziemi za drzewami i nikły w drzwiach chaty. Tam łączyły się z innymi linami w taki sposób, że o ile ta pośpieszna mechanika nie była wadliwa, pociągnięcie za jeden koniec miało powodować wystrzał dwóch widocznych karabinów, a za drugi — drugich dwóch, sterczących z okienka z drugiej strony.

Ale w dole znajdowały się jeszcze inne przedmioty, a mianowicie: łopata saperska, zapas amunicji w postaci stosu ułożonych starannie łódek, trzy pełne manierki wody, plecak wypełniony daktylami, składany nóż i szabla bez pochwy.

Wachmistrz pracował przez całą noc od chwili śmierci Morellego. Naprzód koło dołu, a potem przy urządzeniu samostrzelnego mechanizmu w chacie. Przypuszczał, że to drugie okaże się niepotrzebne. Rozplecenie liny, zdjętej z siodła jucznego, ustawienie karabinów, popodpieranych siodłami i szablami, obmyślenie rozkładu lin, powiązanie ich, wypróbowanie i ukrycie za pniami drzew zajęło mu całe godziny czasu, które w samotności wydały się wiecznością.

Ale teraz przygotowania były skończone. Pozostawało jedynie czekać. Leżał w dole, zamieniony w sam tylko słuch. Słońce wtaczało się coraz wyżej na rozgorzałe niebo, prażąc niemilosiernie świat i jego. Właśnie ognista kula wypłynęła nad szczyty palm.

Czekał.

Czas przestał dla niego istnieć. Pomimo że nie zmrządził oczu przez całą noc, nie chciało mu się wcale spać. Nie można powiedzieć, że w trakcie tego czekania myślał, gdyż myślenie jest świadomością czynnością mózgu. Nie myślał w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz umysł jego był wypełniony bezustannie obrazami i czymś, co służyło tym obrazom za tło... niby taśma filmowa, na której rozwijają się obrazy... Tylko, że ten kinematograf pamięci i wyobraźni składał się z obrazów, które pomimo że następowały bez przerwy jedno po drugim, nie miały ze sobą żadnego związku... Tło spełniało podwójne zadanie: trzymało obrazy i nadawało im ostateczną treść, tkając niejako z ich pozornej bezsensowności deseń znaczenia.

Ekranem była ambicja. Wyraz ten wyskoczył na ekran i został pochwycony przez świadomość. Wachmistrz zrozumiał, że nie było to właściwe określenie. Mogło nim być wczoraj, a z pewnością było w ciągu tych dni, jakie upłynęły między wczoraj a kradzieżą koni. Ale nie teraz. Określenie ambicja było za słabe, za ubogie, za mętne. Ambicja oznacza pragnienie, chęć osiągnięcia czy zdobycia jakiejś rzeczy. Ambicja nie obejmuje takich uczuć... takiego opętania, jakie czuł w sobie w tej chwili. Przypomniał sobie... jak to dawno temu?... przypomniał sobie, że mówił o tym Morellemu: powiedział, że wzbiera w nim ambicja silniejsza niż wszystkie dotychczasowe ambicje życia, ambicja pomszczenia się przed śmiercią na kanalii arabskiej... Pierwszy raz wtedy wspomniał o rzeczy, która fermentowała w nim od tego pierwszego dnia... Pierwszy i ostatni...

Ale czuł ją w sobie bezustannie, czuł jak wzbierała z dziką, przerażającą szybkością. I mógł uprzytomnić sobie jej ewolucję jeżeli zaciął zęby, zmarszczył czoło, wysiłkiem woli zatrzymał strumień obrazów i zrobił miejsce świadomej myśli... Mógł uprzytomnić sobie kolejne fazy przeżycia: naprzód półironicznego pragnienia, potem zdecydowanego pragnienia, potem ambicji, potem gorącego płomienia tęsknoty i wreszcie wścieklej, nieodpartej determinacji... Dokona tego.

Dokona! Dokona tego, co postanowił !

Ciało jego naprężyło się jak struna. Uniósł się na łokciu. Palce zacisnęły się same niby żelazne kleszcze wokół lufy leżącego obok karabinu. Rzekł głośno:

— Dokonam! Dokonam! Dokonam!

Dźwięk własnego głosu obił się dziwnie o jego uszy, już tak dawno nastawione na pochwylenie zgoła innego dźwięku. Nie wiedział, że się odezwał. Głos był tak niesamowity, że spróbował go jeszcze raz. Ukłonił się w kierunku lepianki.

— Dzień dobry! — rzekł i doznał jeszcze większego zdziwienia. Potrząsnął gwałtownie głową ruchem cierpiącego zwierzęcia i spróbował jeszcze raz.

— Psiakrew, jak to dziwnie słuchać własnego głosu, kiedy się rozmawia z samym sobą!

Mówiąc słuchał z uwaga. Teraz głos wydał mu się naturalniejszy. Przekonał się, że rozmowa z samym sobą należała raczej do przyjemności niż odwrotnie. Rozgaądał się więc na dobre.

— Teraz już bliżej niż dalej. I balon strzeli w górę. Pewnie przed samym świtem wydało mi się, że ci trzej wyjechali ze swego cienia. To znaczy, że chcą okrążyć oazę i zajechać z innych stron... wiedzą, że nie mogą się bronić na wszystkich punktach... ale nie wiedzą, że ani mi się to śni, złodzieje! Pokażę, że nie tylko oni mają olej w głowach. Pokażę... Boże mój, ależ gorąco... człowiek topnieje na pot... nie mam na sobie suchej nitki... Spieszcie się takie syny!

...Dziwne, że już wcześniej nie spróbowali tego okrążenia. Musieli nie mieć na miejscu koni. Pewnie nie chcieli ich stracić... Ale czekali długo... Może taki był plan? No tak!... Chociaż... dużo bym dał za to, żeby wiedzieć dokładnie, ilu będę miał gości... Na tę wizytę wybiorą się wszyscy... Bydło! Teraz, kiedy został tylko jeden... przyjdą wszyscy, ale czy ich jest trzech, czy czterech? Nie więcej niż czterech, jeżeli w ogóle czterech, lak... Myślę, że musiało ich być trzech, a potem czterej złapali Jocka i Cooka, przyprowadzili ich z powrotem i zabili.... Później zakatrupiliśmy trzech... czy czterech... powiedzmy trzech... pozostaje czterech... Tak. Nie inaczej. Czterech. Tak. Tak, jestem gotów ich przyjąć. Jestem gotów...

Głos stawał się coraz donośniejszy, słowa płynęły spienioną falą.

— Cuchnące bydło! Parszywe psy! Czarne, psiakrew, nasienie! Dostanę ich. Dostanę. Dostanę! Na Boga, dostanę!... Ciekawe, z której strony nadciągną... Jeżeli który zbliży się od tyłu, to mnie to drzewo zasłoni. Tak... Powinienem zobaczyć dwóch z tej strony, zanim oni zobaczą mnie w mojej dziurze. Moja kryjóweczka! Moje gniazdko! Mój wspaniały, kochany okopik! Och, jak tu dobrze! Kochane...

Nagle usłyszał swój głos z całą świadomością i spostrzegł się, że kłęczy, oraz że ten głos przeszedł w chrapliwy, opętańczy krzyk. Że oszalały rzucił na ziemię hełm i że słońce praży bezpośrednio nieosłoniętą głowę.

— Chryste! — szepnął — Chryste!

Porwał manierkę z wodą, wyrwał korek i wychlusnął całą zawartość na głowę i szyję. Następnie włożył z powrotem hełm.

Legł znów w ukryciu drżąc całym ciałem. Postarał się opanować zdenerwowanie. Rozluźnił napięte, rozdygotane mięśnie i odetchnął wolno i głęboko.

Zaklął się wobec samego siebie, że nie otworzy ust... do przybycia gości.

Przesunął mokrą ręką po szczęce i policzku. Sprawilo mu to przyjemność, bo się uśmiechnął... Przed świtem, po skończonej nocnej pracy, zrobił dziwną rzecz. Umył się i ogolił; ogolił tak starannie, jakby w godzinę później miał wziąć udział w uroczystej paradzie. Ogoliwszy się, zajął się ubraniem. Było ono poplamione, zatłuszczone i podarte, ale doprowadził je do jakiegoś takiego stanu. U butów świeciły wyczyszczone ostrogi. Owijaczki leżały równo i obcisłe, koszula była starannie obciągnięta i wepchnięta w bryczesy. Rzemienny pas został wyszorowany mydłem, a sprzączki — piaskiem i wodą. Przez piersi leżała próżna ze względu na wygodę ładownica, również wyczyszczona, połyskująca małymi, mosiężnymi sztyftami... Dno dołu wysłane było złożoną derką dla uchronienia paradnego ekwipunku od zetknięcia z brudzącym piaskiem.

Ta staranna toaleta zajęła mu prawie godzinę. Zrobił ją prędko, w milczeniu, prawie automatycznie. W czasie czynności szorowania i czyszczenia, z warg jego, wolnych od długiego, świerzbiącego zarostu, wydobywały się co chwila zduszone przekleństwa:

— Parszywe bydło... Śmierdząca dzicz!...

Teraz leżał cicho... cicho jak śmierć... To czekanie nie mogło już trwać bardzo długo. Postarał się opanować nerwy i poczuł w sobie szczególny spokój. Ciało leżało, rozprężone i swobodne, chociaż pod naporem słońca lały się z niego strumienie potu, to ciepłego, to lepkiego i chłodnego. Dziwny i niewytłumaczony był ten spokój, gdyż uszy nateęzały się i nateęzały, a mózg zamienił się ponownie w taśmę filmową...

Może ten dziwny spokój nie trwał pomimo natłoku obrazów, a był właśnie ich skutkiem, bo pomimo że ekranem pozostało urodzone z ambicji opętanie, obrazy nie ukazywały już Morellego i Sandersa; Cooka i MacKay'a, nagich i odrażających, linkę po koniach z leżącym obok trupem małego Pearsona; nieżywego Bella na progu lepianki oraz sceny uratowania wszystkich tych ludzi ze śmiertelnej opresji dzięki zastosowaniu innych środków obrony niż te, które zostały zastosowane... Nie. Teraz obrazy przypominały dawne życie sprzed wojny, na którą zaciągnął się człowiek entuzjastycznie, aby bić Niemców, a padał ofiarą powolnego okrucieństwa z rąk syfilitycznej dzicy. Prawda, że i te sceny zaczęły się od obrazu ulubionej klaczy, tak niedawno skradzionej przez tę samą dzicz... ślicznej, żywej... sierść błyszcząca w słońcu... delikatne nozdrza, rozszerzające się zabawnie, wzruszająco na powitanie pana... smukła nóżka, grzebiąca wdzięcznie w spieczonym piasku... Ale ustąpiła ona prędko obrazowi innej, bardziej ukochanej klaczy, Kitty, która nosiła go po niezmiernych obszarach Ameryki Południowej... Gdyby ona tu teraz była...

Ale Kitty znikła i po niej, bez żadnego związku przyszły obrazy z owego dnia sprzed dwudziestu lat, kiedy w domu wybuchła Wielka Awantura... Ojciec nie miał słuszności... wachmistrz dotychczas był tego zdania... żeby wypędzać w świat, bez grosza przy duszy, szesnastoletniego chłopaka... tylko dlatego... Ale pomimo wszystko pomyślał sobie teraz po raz pierwszy, że chciałby zobaczyć starego... ostatecznie to wypędzenie w świat doprowadziło do wielu rzeczy... przeżyło się twarde, piekielnie twarde czasy, ale i dobre także, niektóre bardzo dobre... i dokonało się niejednego...

Obraz starego ustąpił miejsca prawdziwemu bigosowi... Pierwsze zajęcie... młodszy lokaj... niezłe jak na takiego młodego chłopaka... Druga praca... ta była gorsza. Trzecia — drugi pomocnik pomocnika

stewarda na okręcie pasażerskim czwartego rzędu. Potem Ameryka Południowa... Potem... zmiana obrazu... zajęcie przy herbacie w As-samie... zmiana... dziewczęca Dolores w Rio, smukłe, pełne gracji ciało, owinięte obcisłym szalem. Znow zmiana... krach korzystnego przedsięwzięcia... Załamanie się prawie pewnej fortuny... zmiana... Psiakrew, operator za szybko kręci... Zastrzelenie Faire'a i ucieczka w głąb kraju... zdumiewająca historia z Hardmanem i Synami w Denver... Ani chwili wytchnienia!... Trudno dokładnie rozpoznać niektóre sceny.

Wreszcie... Och! Boże!... Noel! Noel w zielonej sukience, dająca znaki z bulwaru... dojrzał w jej oczach błyszczące łzy, którym nie pozwoliła spłynąć... Pod rondem szerokiego kapelusza migotały w słońcu rudo-złote włosy. A obok niej stał Michał. I on również dawał znaki ręką... z uśmiechem na twarzy, z przekleństwami radości w sercu...

Noel... Noel... czego by nie dał, żeby zobaczyć...

Kinematograf przestał działać. W uszy wachmistrza wpadł dźwięk. Widmo dźwięku. Nie można go było przypisać niczemu określone-mu. Ale był to przecież dźwięk: coś różnego od tej bolącej ciszy, która wydawała się częścią świata i jego samego.

W wachmistrzu skoczyło serce. Drżącymi z podniecenia palcami odsunął bezpiecznik swojego karabinu i rozpląszczył się na dnie do-łu. Natężył słuch tak, jak chyba nikt przed nim. Oczy, przed chwilą mętne, szklane i zwrócone do wewnątrz, powróciły do życia i zaświeciły jak gwiazdy. Usta wykrzywiły się uśmiechem. Przypomniało mu się ni z tego ni z owego, jak Morelli zerwał się nagle z posłania i krzyknął przez sen: „Dziesięciu Murzynków”...

Dźwięk powtórzył się... I jeszcze raz... Wachmistrz czekał, prawie nie oddychając. Znow mu się przypomniał Morelli. Zapra gnął gorąco, żeby tamci nie znaleźli jego ciała tam, gdzie je ukrył... Zapra gnął pobożnie całą duszą! Och, nie, nie znajdą!...

Drgnął. Martwe powietrze przyniosło więcej dźwięków... Przy-siągłby, że... tak... to był głos. Gruby, stłumiony głos...

Poczuł się nagle lodowato spokojny. Nerwowe drżenie opuściło go bez śladu.

Podniósł powolutku głowę i wyrzał przez azurową zasłonę z liści palmowych. Zobaczył i wezbrała w nim wielka fala radosnej dumy.

Poczuł potęgę. Poczuł się Bogiem. Zapragnął aby się oddali w jego ręce i oto posłuchali.

Widział wyraźnie. Było ich trzech. Dwaj stali na wprost jego stanowiska, wysocy, chudzi, szkaradnie posepni w swoich ciemnobrunatnych szatach. Zwrócenie do siebie plecami strzelali oczami we wszystkich kierunkach. W rękach trzymali długie karabiny dziwnego kształtu. Wachmistrz spostrzegł, że z miejsca, na którym stali, chata była niewidoczna. Trzeci gość leżał płasko na ziemi, w odległości jakich dziesięciu kroków od tamtych, z tej strony, jeszcze dalej od chaty.

Wachmistrz mógł widzieć twarze stojących. Smagłe, piękne, bestialskie twarze, z których jedna nosiła głębokie ślady ospy.

Lewa ręka wachmistrza przysunęła się do dwóch sznurów, ujęła jeden — drugi... szarpnęła...

Mechanizm okazał się pomyślany prawidłowo. Rozległ się ogłuszający, warkotliwy huk czterech wystrzałów karabinowych, przy czym kule z tych, które były wycelowane na polankę, świsnęły wysoko między koronami palm.

Trzej Arabowie — ci stojący i ten leżący — zwrócili się błyskawicznie jak jeden mąż w stronę, skąd padła salwa.

Wachmistrza ogarnęła egzaltacja. Powstał, gdyż leżąc nie mógł strzelać z całą pewnością. Karabin u jego ramienia plunął i wyższy ze stojących Arabów zachwiał się, załamał w kolanach, upadł i został bez ruchu. Wachmistrz... wszystko to odbyło się błyskawicznie... strzelił drugi raz. Drugi Arab zachwiał się, upuścił długi karabin i osunął się na kolana...

Wachmistrz odwrócił się i strzelił do trzeciego Araba, który leżąc celował do niego. W chwili gdy odciągał cyngiel, poczuł silne uderzenie w lewe udo, jakby zadane wywatowanym młotem...

Upadł, nie puszczając karabinu... po czym dźwignął się z jękiem na kolana, aby zobaczyć kto zwyciężył w pojedynku. Jego strzał musiał trafić tamtego między oczy, bo na miejscu, gdzie przed chwilę leżał człowiek, ciemniała już tylko martwa, skureczona masa.

Ale drugi Arab — klęczący — usiłował sięgnąć po karabin, który mu wyleciał z ręki, i sięgnął, pomimo że rana przyprawiła go najwidoczniej o nieludzkie cierpienie...

Wachmistrz odwrócił się powoli, wstrząsany falami bólu i spojrzał skroś polanki w otwór lufy, która zachwiała się i znieruchomiła...

I znów dwa strzały zabrzmiały jak jeden... Znów mocne, miękkie uderzenie powaliło go na ziemię... Tym razem został trafiony w lewe ramię i w pierś... Sięgnął niepewnie drżącą ręką i poczuł pod palcami ogromną, wyszarpiętą ranę. Muskające piasek usta zamamrotały:

— Dum-dum!

Nim stracił przytomność, zorientował się, że i tym razem on był górą. Klęczący Arab zamienił się również w bezkształtną masę...

Wachmistrz leżał, skurczony, na skraju swego maleńkiego okopu. Oczy miał zamknięte, usta otwarte, dolną szczękę opuszczoną... Miał strzaskane lewe udo i lewe ramię, poniżej którego ziała straszna rana, sięgająca w dół do żeber. Karabin leżał obok...

Nie wiedział o niczym... krew uchodziła z niego strugami. Leżał zupełnie nieruchomo... tak nieruchomo, jak tamci trzej, którzy podzielili z nim polankę...

Za nim, pomiędzy drzewami, rozległ się dźwięk. Widmo dźwięku, takie samo jak to, które usłyszał z taką radością przed pięciu minutami. Ale teraz nie mógł słyszeć...

Dźwięk powtórzył się ukradkowo i między drzewami podniosła się z ziemi wysoka postać w brunatnych szatach. Z kaftana wyjrzała dzika, brązowa, piękna, bestialska twarz. W ciemnej ręce widniał długi, dziwnego kształtu karabin...

Ciałem wachmistrza wstrząsnęło drżenie. W zamknięte drzwi świadomości zapukało coś, co rozległo się grzmiącym echem w całej głowie...

Drzwi otworzyły się z trudem i bolesną niechęcią. W głowie, w całym ciele zaczęło pulsować jedno słowo:

— Trzech! Trzech! Trzech!

Zdobył się na wysiłek otworzenia oczu. Powieki uniosły się powoli. Wrzasnął, ale bezgłośnie, gdyż słońce uderzyło go po głowie falą ognia. Lecz oczy pozostały otwarte.

— Trzech! Trzech! Trzech! — pulsowało w głowie, w całym ciele, w strasznych ranach.

Powróciła pełna świadomość. Zrozumiał, co miało oznaczać owo „trzech”.

— Powinno było być przynajmniej... czterech!

Unurzane w kurzu usta wymówiły słowa bez dźwięku... Prawa ręka poruszyła się automatycznie, szukając kieszeni... Palce zamknęły

się na małym rewolwerze, wyczuły wagę i chłód kolby...

— Trzech... — rzekły wargi. — Może... jednak... tylko...

Nagle... cień... Cień, który zasłonił słońce...

— Czterech. Czterech. Czterech — czterech — czterech! — zahuczało w skroniach...

Czekał... Kąsał słabymi zębami upiaszczoną dolną wargę. Kąsał mocno dla dodania sobie siły; kąsał wściekle, aby zdusić jęk, który teraz, kiedy powrócił do życia, wydierał się przemocą z płuc, wypierany stamtąd torturą ran...

Czekał, czatując spod przymkniętych w trzech czwartych oczu... Czekał z powstrzymanym oddechem...

Cień wydłużył się; stał się mniej... szy...

Nad wachmistrem stała wysoka postać. Ręka jej szukała noża wśród fałd burnusa...

Wachmistrz zebrał siły... czy też pożyczył z nieznanego źródła. Przewrócił się nagle na lewy bok, na swoje rany... Prawa ręka wyskoczyła łukiem z kieszeni bryczesów... Rewolwer zaniósł się pośpiesznym warkotem...

Arab zachwiał się, zakołysał... i runął z łomotem, nieżywy nim zdążył dotknąć ziemi...

Wachmistrz usłyszał swój własny głos.

— Czterech! — krzyknął wysokim, słabym dyszkantem. — Wiedziałem o tym.

Dźwignął się straszliwym wysiłkiem woli na jedno kolano. Twarz miał wykrzywioną do niepoznania...

Stanął, chwiejąc się, na zdrowej nodze, podtrzymywany jakąś mocą wewnętrzną czy zewnętrzną. Spojrzał na tego czwartego.

— Pies! — rzekł. — Bydle!

Porwał go gwałtowny, charczący kaszel... Z wyszarpiętej jamy, w miejscu, gdzie była lewa pierś, chlusnęła krew. Zachwiał się tak, że o mało nie upadł.

— Dziesięciu... Murzyn... ków! — rzekł. — A... a nie ma... już...

I upadł twarzą do ziemi, w poprzek ciała Araba.